

Klara S.Meralda

**ZABÓJSTWO  
W NEVILLY**

The book cover features a high-contrast, black and white halftone background. A central, diagonal banner with a white background and a black border contains the title 'ZABÓJSTWO W NEVILLY' in bold, red, sans-serif capital letters. Above the banner, there are several horizontal bands of varying halftone patterns, including a dense grid of dots and a pattern of larger, spaced-out dots. In the upper right corner, a stylized, white, hand-like figure is depicted. Below the banner, a complex network of black, branching lines resembling roots or veins is visible against the halftone background. A few small red dots are scattered within this network.

**Klara S. Meralda**

**ZABÓJSTWO  
W NEUILLY**

**Wydawnictwo Prawnicze**

**Warszawa 1988**

Okładkę projektowała:

*Bożena Korulska*

Redaktor Wydawnictwa:

*Joanna Holli*

Redaktor techniczny:

*Joanna Romanowska*

Korektor:

*Barbara Pasieka*

© Copyright by Klara S. Meralda,

Warszawa 1988

ISBN 83-219-0433-5

WYDAWNICTWO PRAWNICZE

WARSZAWA 1988

Nakład 99 725 + 275 egz.

Ark. wyd. 12, 0; ark. druk. 13, 5 (8, 95/A-1)

Oddano do składania w czerwcu 1987 r.

Podpisano do druku w październiku 1987 r.

Druk ukończono w grudniu 1987 r.

WROCŁAWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE

Wrocław ul. Oławska 11.

Zam. 1408/87. K-31.

Cena zł 250,–

Gdyby ktoś powiedział komisarzowi Lemaitre, że jest przesądny, na pewno zachnąłby się z oburzeniem. Ale kiedy w piątek rano dyrektor Police Judiciaire\*, Rondonier, zlecił mu zająć się sprawą Adeliny Bossac, od razu wiedział, iż będzie miał z tym kłopoty. Wszystkie dochodzenia, które rozpoczynały się tego dnia tygodnia, wikłały się i ciągnęły nieznośnie, przysparzając komisarzowi więcej pracy niż inne. Myśli te ujawniły się natychmiast ponurą miną. Wbrew powszechnemu mniemaniu, że komisarz policji musi mieć twarz sfinksa, wszystkie stany ducha Lemaitre'a były aż nadto czytelne dla jego otoczenia.

\* Police Judiciaire, w skrócie P. J.

– Wybrałem specjalnie pana, bo sprawa jest delikatna... – Dyrektor Rondonier uważał się za szczerwanego lisa, który potrafi powodować ludźmi. Widząc niezadowolenie Lemaitre'a uznał, iż podbicie mu bębna wznieci większy zapał do złeczonej roboty.

– Bratanek Adeliny Bossac, jej jedyny krewny jest ministrem finansów...

Twarz komisarza wyglądała teraz jak chmura gradowa.

– Proszę więc tę robotę traktować jako wyróżnienie, nie mogłem jej dać byle komu – dodał szybko Rondonier, przezornie nie patrząc już na Lemaitre'a. – I ściśle poufne, nawet wobec kolegów, no i, oczywiście, nie może być żadnego przecieku do prasy. Inspektor Moutton z komisariatu w Neuilly dostarczy panu niezbędnych danych. Życzę powodzenia. – Wyciągnął rękę w kierunku aparatu telefonicznego. – Przepraszam, już jestem zajęty.

Tylko chyba siłą nawyku Lemaitre skinieniem głowy pożegnał szefa, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Był wściekły! Gdy wrócił do swego

pokoju, jeszcze raz przebiegł w myśli rozmowę. Nie mógł zlecić tego dochodzenia byle komu! Akurat! Głowę by dał, że zarówno Gavin, jak i Martinier wywinęli się od tej roboty, tylko on, idiota, od razu dał się zrobić. Sprawa poufna wobec kolegów. No pewnie, bo zaraz by wyszło szydło z worka, że inni nie chcieli się tym parać! Bratanek minister, niech to diabli! Dla starego to równoznaczne, że sprawę prowadzić trzeba na paluszkach i w rękawiczkach.

– Niech to diabli! – powtórzył tym razem głośno, po czym westchnął i zatelefonował do komisariatu w Neuilly. Umówił się z inspektorem Moutton w małej knajpce przy Place Dauphine.

\*

Inspektor Moutton był chudym mężczyzną dobiegającym sześćdziesiątki i niejako namacalnie zaprzeczał opinii, że picie piwa powoduje nadmierną tuszę. Nim zjadł ragoût, zdążył wypić kufel, zagryzając zaś na deser camembertem delectował się drugim. Była to przyjemność zupełnie niezrozumiała dla Lemaitre'a, który nigdy nie potrafił się rozsmakować w niskoprocentowej, gorzkawej piwnej cieczy. Swoją eskałopkę popijał beaujolais.

– Wszystko wyszło przez głupi przypadek. – Moutton wytarł usta serwetką. – Gdyby mały Lamier, sierżant z mojego komisariatu, nie chodził z pokojówką pani Bossac, nie byłoby sprawy. W każdym razie rad jestem, że to nie ja, a pan będzie się tym zajmował.

– W odróżnieniu od pana, mnie to zupełnie nie cieszy – mruknął Lemaitre. – Tym bardziej, jeśli była szansa uniknięcia tego...

– Pies z kulawą nogą nigdy by się nie dowiedział, że śmierć Adeliny Bossac była skutkiem zaplanowanego zabójstwa, a nie wynikiem nieszczęśliwego wypadku, jak zresztą dotychczas sądzą jej rodzina i znajomi.

– Na czym więc polegał ten głupi przypadek? – z irytacją spytał Lemaitre.

– Na tym, że sierżant Lamier i pokojówka Adeliny Bossac, Suzanne Percot, pochodzą z tej samej bretońskiej wioski. I nie tylko są krajanami, ale od dłuższego czasu, jak to się ładnie mówi, chodzą ze sobą, co oznacza, że Lamier wieczorami bywał częstym gościem w służbowym pokoiku Suzanne.

Dwa tygodnie temu, dokładnie mówiąc 3 kwietnia, zatelefonowała do niego do komisariatu, że stało się nieszczęście. Na panią Bossac spadła wraz ze wspornikiem, na którym stała, waza z pnącą rośliną i zabiła ją na miejscu, więc żeby nie przychodził teraz do niej, bo w domu wielkie zamieszanie, i żeby czekał na jej telefon. Lamier zjawił się u narzeczonej dopiero w dzień czy dwa po pogrzebie, kiedy rodzina zmarłej już się rozjechała i w domu została tylko kucharka i Suzanne. Pani Bossac była bezdzietna i nikt z rodziny z nią nie mieszkał. Kucharka była zresztą jeszcze zaledwie parę dni. Pani Debranche, żona bratanka Adeliny Bossac, zatrzymała jedynie Suzanne, by ta pilnowała teraz domu, dalsze decyzje miały być podjęte po sezonie urlopowym, na początku jesieni.

Suzanne, jak mówił sierżant, czuła się nieswojo sama w opustoszałym domostwie, a może po odejściu kucharki nie było już żadnych przeszkód, by spał u narzeczonej. W każdym razie ostatnie dwa tygodnie nocował u niej. W poprzednią sobotę padał deszcz, zrezygnowali więc z wycieczki za miasto i Suzanne wzięła się do porządków, Lamier jej pomagał. W pokoju, w którym wydarzyło się nieszczęście, pokazała sierżantowi, gdzie wisiał przedtem wspornik i waza z rośliną. Zauważył, że w ścianie pozostał ułamany hak. Przy odkurzaniu przyjrzał mu się jeszcze raz dokładnie z bliska i zauważył, iż powierzchnia złamania od spodu wygląda na podpiłowaną.

– Jaki dowód, że całej historii z podpiłowanym hakiem nie sprokurował Lamier, napuszczony przez przeciwników politycznych Debranche a?

Moutton wzruszył ramionami. – Nie ma żadnych. Ale dochodzenie

musiało zostać wszczęte, Lamier swoje podejrzenie przekazał oficjalnie na piśmie, a ekspertyza technologiczna potwierdziła, iż hak był podpiłowany. Teoretycznie, oczywiście, możliwe, że w grę wchodzi intryga polityczna, tym bardziej, że za miesiąc są wybory do Zgromadzenia Narodowego. W dzisiejszych czasach niczego nie można wykluczyć...

– Jaka jest pana opinia o Lamier?

Moutton pociągnął większy łyk piwa.

– Niezła. Chłopak pochodzi ze wsi i robił wrażenie, że będzie się trzymał tej pracy pazurami.

– Wrogowie Debranche'a za taką przysługę zapłaciliby nieźle i chłopak z powodzeniem mógłby się urządzić gdzie indziej.

– Może uda się to panu wyjaśnić w śledztwie. Zastrzegam jednak, że nie mam w tej sprawie żadnego zdania. Na szczęście nie ja już ją prowadzę... – Wychylił duszkiem resztę piwa.

– Niech pan się tym tak nie cieszy, ostatecznie dotyczy to pana dzielnicy i nie mam zamiaru rezygnować z pana pomocy.

– Ma pan wszelkie prawo do mojej pomocy, ale nie mogę się nie cieszyć, że nie ja będę odpowiedzialny za tę robotę – zapewnił z zadowoloną miną Moutton.

– Co wiadomo o zmarłej?

– Jedyne, że była osobą bardzo zamożną i że jej bratanek jest członkiem rządu.

– To niezbyt wiele...

Moutton znów rozjaśnił twarz w uśmiechu.

– Nie widziałem potrzeby zbierania dalszych danych. Z chwilą otrzymania wiadomości o bratanku ministrze i wynikach ekspertyzy natychmiast zawiadomiłem Quai d'Orfeves, które od razu zleciło przekazać im sprawę.

– Z tego, co pan mówił, wynika, że Debranche o niczym jeszcze nie wie?

– Ani on, ani nikt inny, poza P. J.

– Zapomina pan o dziewczynie Lamiera, pokojówce Adeliny Bos-sac.

Moutton potrząsnął przecząco głową.

– Nie sądzę. Lamier ma już wystarczająco dużo rutyny, by ją chciał natychmiast informować o swych podejrzeniach, ekipa technicz-na zaś, która na miejscu zbadała resztki haka, na pewno nie udzielała pokojówce informacji.

– Ale musiało ją to zaintrygować?

– Zapewne by ją zaciekawiło, gdyby przy tym była... Lemaitre spojrział na Mouttona zaskoczony.

– Jak to?

– Postarałem się, aby ich wizyta przypadła podczas jej nieobecno-ści... – wyjaśnił niechętnie inspektor.

– Wiedział pan już wtedy o bratanku?

Moutton potaknął głową.

Lemaitre miał wielką ochotę zapytać, kiedy Moutton się o tym do-wiedział, lecz ugryzł się w język. Po cóż miał zmuszać go do przyzna-nia się, że wiadomość o bratanku ministrze spadła na niego jak grom z jasnego nieba już po wysłaniu pisma zlecającego ekspertyzę. Wynik tej ekspertyzy musiał go potem niezłe zdenerwować, facet dobija sześć-dziesiątki i chce tylko spokojnie doczekać emerytury...

– W takim razie, jak się domyślam, nie ma pan już mi nic więcej do zakomunikowania?

– Niestety...

– Przesłał pan już *dossier* na Quai d'Orfeves?

– Nie. Dyrektor Rondonier polecił mi przekazać je osobie, która będzie prowadziła dochodzenie, widać wołał, żeby nie przechodziło przez kancelarię. Mam je przy sobie...

Sięgnął po aktówkę leżącą obok na krześle. Wyjął z niej tekturową teczkę.

– Niewiele tego jest... Pismo małego Lamiera, nasze zlecenie eks-pertyzy i jej wyniki. No, ale Quai d'Orfeves szybko to uzupełni... – dodał.



Lemaitre spojrział na niego zimno i zastukał łyżeczką w talerzyk, przywołując kelnera.

– Niech pan mi przyśle tego Lamiera, o ile to jest możliwe, jeszcze dziś – powiedział, kiedy po uregulowaniu rachunku kelner odszedł.  
– Będę u siebie do szóstej.

– Czy inspektor Moutton wyjaśnił, dlaczego cię tu wezwałem? – zapytał od razu Lemaitre, gdy sierżant Lamier o piątej po południu zjawił się w jego gabinecie.

– Nie. Powiedział tylko, że mam zameldować się u pana komisarza.

– Nie zastanawiałeś się po drodze, dlaczego wzywają cię aż na Quai d'Orfeves?

Sierżant leciutko się uśmiechnął.

– Oczywiście, że się zastanawiałem.  
– I do jakich wniosków doszedłeś?  
– Że musi to mieć związek ze śmiercią pani Bossac.  
– Zgadza się. Chwała Bogu, nie udajesz służbistego dumnia. Będę więc mówić bez ogródek. Liczę, że niczego nie będziesz próbował owijać w bawełnę. Rozumiemy się?

– Myślę, że tak, panie komisarzu.  
– Sprawy rodzinne Adeliny Bossac są ci dobrze znane?  
– Jeśli rozumieć przez to, że pani Bossac była ciotką ministra Debranche'a, to, oczywiście, wiedziałem o tym. Jak również, że była wdową i nie miała dzieci.

– Jak przypuszczam, wiesz to od swojej narzeczonej. Kiedy ci o tym powiedziała?

– Och... – Lamier poprawił się na krześle. – Trudno by mi było sprecyzować datę, ale dawno... Jak tylko zaczęliśmy ze sobą chodzić, opowiedziała, gdzie i u kogo pracuje, to będzie ze dwa lata. A jak pan Debranche został ministrem, to już chodziliśmy ze sobą chyba z pół roku czy coś koło tego.

– Czy Adelina Bossac była osobą zamożną?  
– Na pewno! Jak kogoś stać na utrzymanie takiego domu... Poza Suzanne była jeszcze kucharka i dochodzący facet, obcokrajowiec, który zajmował się ogródkiem, mył samochód, sprzątał garaż, pomagał też Suzanne w cięższych robotach, jak trzepanie dywanów. Pani Bossac przyjmowała gości, jeździła... Gdyby nie...

– Do jakiej partii politycznej należysz? – przerwał mu nagle Lemaître.

– Ja? – zapytał zaskoczony Lamier.

– Przecież słyszałeś pytanie. Tak, chodzi o ciebie.

– Nigdzie teraz nie należę. Jak przyjechałem do Paryża, to zahaczyłem się początkowo u Renaulta. Tam było sporo chłopaków mocno na lewo, ciągnęli mnie na zebrania, tłumaczyli, że trzeba być zorganizowanym, nie chciałem być gorszy od nich... Ale jak się dobrze temu przyjrzałem, to doszedłem do wniosku, że to wszystko pic na wodę. Jak któremuś udało się objąć jakąś funkcję, to od razu stawał się ważny, nie ten sam człowiek. Przekonałem się, że w gruncie rzeczy każdemu chodzi o to, żeby się czegoś w życiu dochrapać i ludzie to robią pod różnymi hasłami. Pomyślałem więc, że po diabła są mi takie czy inne hasła, potrafię chyba w życiu coś osiągnąć i bez nich, i dałem sobie raz na zawsze z polityką spokój.

– Rozumiem. Ale chyba nie pozrywałeś znajomości ze wszystkimi dawnymi kolegami?

– Z tamtych czasów nie utrzymuję z nikim kontaktów, chociaż, jeśli chodzi o niektórych, nie miałbym nic przeciwko temu, byli wśród nich całkiem fajni. Ale nawet dla tych fajnych byłbym teraz tylko czarną owcą. Flick! Dla nich każdy policjant jest s.... gliną! Oni patrzą na świat przez pewne okulary i żadna siła im tych okularów nie zdejmie...

– Odżegnujesz się od polityki, ale chyba zdajesz sobie sprawę, że nadanie rozgłosu zabójstwu Adeliny Bossac, której bratanek jest

członkiem rządu, może mieć reperkusje polityczne?

– Nie jestem dzieckiem – zapewnił Lamier. – Nie było to przecież zabójstwo popełnione przez zwykłego bandytę. Ale co innego mogłem zrobić, jak zobaczyłem ten podpiłowany hak? – Sierżant wbił pytające spojrzenie w komisarza. – Miałem nie zameldować o moim podejrzeniu zabójstwa?

– Zrobiłeś to, co powinienesz – uciął krótko Lemaitre.

– Jak ktoś zabija człowieka w gniewie, to ostatecznie ludzkie, ale tak... Tu ktoś działał z szatańską premedytacją, zabijał nie będąc przy tym obecny.

– Trzeba przyznać, że morderstwo wykonane pomysłowo – potaknął Lemaitre. – Może to jednak przyczynić się do zawężenia kręgu podejrzanych, nie każdego stać na taki pomysł. Ale wracając do polityki... Skoro zdajesz sobie sprawę ze skutków, jakie miałyby przedostanie się tej wiadomości na zewnątrz, nie muszę cię informować, że obowiązuje cię w tej sprawie tajemnica służbowa. Dotyczy ona także jeszcze jednej osoby – teraz z kolei Lemaitre patrzył badawczo na sierżanta, który słuchał w skupieniu. – Chodzi mi o twoją narzeczoną. Co jej jest dotychczas wiadome? Jeśli poinformowałeś ją o czymkolwiek, proszę mi dokładnie powtórzyć.

Twarz Lamiera odprężyła się w uśmiechu.

– Panie komisarzu, ja już pracuję parę ładnych lat, a to są przecież podstawowe rzeczy. Jak mógłbym coś powiedzieć Suzanne? Pary z ust nie puściłem. Mnie na mojej pracy zależy, a jej też musi zależeć, bo chcemy się pobrać z początkiem przyszłego roku.

Lemaitre kiwnął aprobująco głową i przerzucił kilka kartek w kalendarzu.

– Jutro sobota, nie pracujesz?

– Niestety. Mam dyżur od szóstej rano.

– Uprzedź w takim razie pannę Suzanne, że koło południa wpadnę do niej na rozmowę.

– Tak jest, panie komisarzu. Tylko... – urwał nagle zmieszany.

– Tylko co?

– Bo... Ona na pewno się zdziwi i zapyta, dlaczego pan komisarz chce z nią rozmawiać. Co mam jej odpowiedzieć?

– Że nie wiesz, ale przypuszczasz, że może to mieć związek ze śmiercią pani Bossac, policja rejestruje przecież wypadki. Możesz dodać, że dziennikarze, opisując w gazetach nieszczęśliwe wypadki, czerpią te wiadomości z policyjnych rejestrów... No, to byłoby na dziś wszystko.

Lamier poderwał się z krzesła i trzasnął służbiście obcasami. Komisarz popatrzył za wychodzącym i pomyślał, że chyba Moutton miał rację. Na nim też Lamier robił wrażenie niezłego chłopaka.

Co prawda wolałby zamiast wrażenia mieć stuprocentową pewność, ale po dwudziestu latach pracy w policji wiedział również, że takiej pewności prawie nigdy nie można mieć.

W drodze powrotnej do domu zatrzymał samochód w pobliżu dużego sklepu kolonialnego. Kupił tuzin ostryg, butelkę chablis i po dłuższej chwili wahania ananasa. Miał wyrzuty sumienia w stosunku do Marcelle. Obiecał jej przecież, że ten weekend spędzą poza miastem.

– Wynika z tego, że weekend masz zajęty – stwierdziła krótko, gdy wręczył jej te zakupy.

– Tylko sobotę, ale wieczór mam wolny. Jeśli chcesz, możemy pójść do teatru – dodał szybko, widząc zachmurzoną twarz żony. W odróżnieniu od Marcelle nie lubił teatru, ale gotów był ponieść i tę ofiarę, byle nie miała mu już za złe. – I możesz mieć dla siebie samochód, wezmę służbowy.

Używanie ich renault do jego celów służbowych było przedmiotem

ciąglych utyskiwań żony. Jego argument, iż P. J. płaci mu pewien ryczałt za benzynę, był dla Marcelle bez znaczenia,

– Gdyby ci zwracali za naprawy i zużycie opon, to jeszcze bym mogła zrozumieć, ale zwrot za samą benzynę jest śmieszny – powtarzała. – I zmuszasz mnie, żebym z pieniędzy na dom odkładała na amortyzację. Ale – dodawała zawsze z westchnieniem – dla ciebie tylko cena benzyny jest kosztem używania samochodu, choć i tak pewnie nie wiesz, ile cię ona kosztuje...

W odpowiedzi tylko wzruszał ramionami, ale w głębi ducha musiał przyznawać, że Marcelle, jak zwykle, trafiała w sedno rzeczy. Mimo, iż zawsze sam kupował benzynę, nigdy nie wiedział, ile jego renault spala w ciągu miesiąca, i ryczałt, jaki dostawał za nią w P. J., był sumą nie mającą wyraźnego związku z rzeczywistością, przynajmniej dla niego.

Wiadomość o jutrzejszym użyciu służbowego samochodu poprawiła humor żony.

– W takim razie pojedę jutro do Centre Pompidou, choć w soboty i niedziele jest tam piekielny tłok, ale trudno, skoro w dzień powszedni nie mam wozu. A ostrygi zjemy dziś, wolę nie liczyć na twój jutrzejszy wolny wieczór. Pomyśleć jednak, że jak byliśmy zaręczeni, to soboty i niedziele miewałeś wolne...

Ciężko westchnął.

– Zapominasz, że nie byłem wtedy jeszcze komisarzem. – Poczut się niedoceniony. Nie dość, że jutro ma pracę, to przecież zgodził się jeszcze pójść do teatru.

\*

Kiedy wyjeżdżając z Quai d'Orfeves Lemaitre podał kierowcy adres, nie wiedząc czemu pomyślał, że na stare lata chętnie by zamieszkał w Neuilly, co było, oczywiście, zupełnie niemożliwe. W przyszłości emerytura komisarza P. J. umożliwi mu życie bez większych braków,

miał także, jak każdy Francuz, pewną sumę oszczędności w banku, ale wszystko razem wzięte nie pozwoliłoby mu na kupno domu i jego utrzymanie w takiej dzielnicy jak Neuilly. Tamta myśl przyszła mu do głowy pewnie dlatego, że dzień był ciepły i słoneczny, taki, jaki powinien być wiosenny dzień, do którego wzdycha się podczas zimowej szarugi, komisarz zaś uważał Neuilly za jedną z sympatyczniejszych dzielnic. Choćby samo położenie, niby już część Paryża, ale odległa od właściwego miasta; spokojne, dostatnie *quartier*, gdzie można zobaczyć jednorodzinne wille, solidnie zbudowane, choć ostatnio pojawia się coraz więcej nowoczesnych, tandetnych budynków.

Przejazd przez miasto trwał długo, aż wreszcie samochód wjechał w jedną z ulic Neuilly i zatrzymał się przed willą, która mogłaby pretendować do miana pałacyku. Architekt, nawiązując do dawnych tradycji, zwieńczył dom mansartowskim dachem, a frontową ścianę rozczłonkował dwoma bocznymi ryzalitami. Od ulicy oddzielał go niewielki ogródek, w którym rzędy kwitnących tulipanów biły w oczy szkarłatem na tle soczystej zieleni trawnika. Myśli Lemaitre'a o zamieszkaniu na stare lata w Neuilly rozpierzchły się całkowicie, w tym otoczeniu były zbyt nierealne. Nacisnął taster dzwonka umieszczonego w mosiężnej małej lwiej paszczy.

Drzwi otworzyła młoda dziewczyna w ciemnej sukience. Obrzuciła go szybkim zaciekawionym spojrzeniem.

– Pan komisarz Lemaitre? – stwierdziła raczej niż zapytała.

Potaknął.

– Jestem Suzanne Percot. Pracowałam u pani Bossac jako pokojówka – dodała wyjaśniająco.

Poprowadziła go przez hall w kierunku szerokich schodów. Wchodząc na nie, komisarz mimo woli pogładził dębową profilowaną poręcz z uznaniem dla rzemieślników, którzy ją tak pieczołowicie wypracowali. Potem patrzył już tylko na idącą przed nim Suzanne. Dziewczyna

była zgrabna, mimo że dość mocno zbudowana; jej nogi nie miały cienkich pęcín, były jednak rzeczywiście długie i zakończone nader foremną okrągłą pupką. Nie ulegało wątpliwości, że rozebrana prezentowała się jeszcze lepiej, należała do nielicznych kobiet, których świetne proporcje ciała maskuje ubranie.

Lemaitre zajęty oceną figury Suzanne, nim się spostrzegł, znalazł się na drugim piętrze. Pokojówka otworzyła drzwi swego służbowego pokoju, przepuszczając komisarza. Było to niewielkie pomieszczenie z częściowo ściętym sufitem i lukarną zamiast okna. Poza łóżkiem resztę umeblowania stanowiły szafa, komódka pełniąca rolę toaletki, stolik i dwa krzesła.

Uprzejmie wskazała komisarzowi krzesło, po czym usiadła *vis a vis* niego.

– Gaston powiedział mi, że pan komisarz chciał ze mną porozmawiać.

Lemaitre pomyślał, iż pani Bossac dobrze wyszkoliła domowy personel, nawet po jej śmierci dziewczyna nie ośmieliła się przyjąć go w apartamentach pryncypalki. A może – zreflektował się – był to naturalny odruch godności? Skoro przyszedł do niej, przyjmuje go u siebie, czyli w służbowym pokoju.

– Chciałem się dowiedzieć wszystkich okoliczności wypadku. Była pani wtedy w domu, prawda?

– Byłam. Kończyłam właśnie odkurzanie schodów, gdy usłyszałam nagły rumor w living-roomie.

– Wiedziała pani, że pani Bossac znajduje się właśnie w tym pokoju?

– Tak. To było około dwunastej, zwykle o tej porze, przed *déjeuner*, siedziała w living-roomie, czytając gazety. Gdy usłyszałam ten dziwny hałas, pomyślałam sobie, że pewnie poprawiała sobie włosy przed lustrem – często to robiła – lustro wisi nad kominkiem i straciła

coś z niego, może zegar w szklanej obudowie, bo odgłos był taki, jakby się coś rozbiło.

– Pobiegła tam pani od razu?

– Nie. Wpierw poszłam do schowka przy schodach, by zabrać śmietniczkę i zmiotkę. Mimo woli spjrzałam też na tablicę od dzwonek i zdziwiłam się, że pani Bossac na mnie nie dzwoni. Więc nim weszłam, zastukałam do drzwi, ale pani Bossac nie zareagowała, jeszcze raz zastukałam mocniej i znów nic, a przecież słyszałam tam przed chwilą hałas, w końcu weszłam... i... – po twarzy dziewczyny przebiegł skurcz. – To było okropne... Pani Bossac leżała w jakiejś takiej dziwnej pozie, twarzą do podłogi, a naokoło rozsypana ziemia i resztki tej wazy z rośliną. Pewnie musiałam narobić krzyku, nie pamiętam nawet, czy pobiegłam po Marie, czy ona przybiegła na moje wołanie. Zjawił się też Orchan, który tego dnia strzygł trawę i sprzątał garaż. To on podszedł do pani Bossac, nachylił się nad nią i powiedział, że wygląda jak nieżywa. Zaraz telefonowaliśmy na pogotowie, ze zdenerwowania nie mogłam znaleźć numeru państwa Debranche; dopiero jak przyjechała karetka i lekarz potwierdził, że pani Bossac nie żyje, razem z Marie i Orchanem przejrzelśmy skorowidz leżący zawsze przy aparacie. Na szczęście pani Debranche była w domu i niedługo potem przyjechała wraz z mężem, i wszystkim się zajęli.

– Pan Debranche był bardzo wstrząśnięty?

– Mężczyźni są bardziej opanowani niż kobiety. Chociaż trzeba powiedzieć, że i jego żona trzymała się dzielnie i nie płakała, jak ja i Marie. Nawet przyniosła z łazienki jakieś uspokajające proszki i kazała nam połknąć. Marie to nawet od razu pomogło, ale ja nie mogłam się uspokoić aż do rana. W nocy, co zamknęłam oczy, to widziałam tę skurczoną na podłodze postać pani Bossac...

– Państwo Debranche zostali tutaj na noc?

– Tylko pan Debranche. Kazał sobie postać w gabinecie na górze na pierwszym piętrze.



– Ciało zostało w domu?  
– Tak, do rana następnego dnia. Państwo Debranche po przyjeździe porozumieli się telefonicznie z zakładem pogrzebowym i już po południu przywieziono trumnę. A mnie kazano przygotować jakąś odpowiednią suknię dla pani. – Oczywiście Suzanne napełniły się łzami. – Wyjęłam z szafy czarną koktajlową, którą niedawno sobie kupiła, i pani Debranche ją zaakceptowała... Od przyjazdu państwa Debranche nie wchodziłam więcej do living-roomu, nie mogłam... Resztki wazy z ziemią sprzątnął za mnie Orchan. Przyszedł nazajutrz i pomagał przy wynoszeniu trumny, więcej już nie przychodził.

– Zna pani jego adres?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, wiem tylko, że mieszka w jakimś hoteliku w pobliżu Placu Bastylli.

– Pani Bossac zatrudniała go oficjalnie, tzn. płaciła za niego ubezpieczenie?

– Nie wiem, ale myślę, że nie... Nie pracował przecież co dzień, najwyżej dwa razy w tygodniu, a przeważnie raz, w czwartki...

– Od jak dawna tu pracował?

– Muszę sobie przypomnieć... – zmarszczyła brwi i przez chwilę siedziała w milczeniu. – Prawie rok. Nie pamiętam tylko, czy było to w maju czy w czerwcu, kiedy niespodziewanie się zjawił...

– Niespodziewanie?

– Tak, po prostu przyszedł i zadzwonił do drzwi. Zobaczyłam przez wizjer, że to ktoś obcy, więc otwierając nie spuściłam łańcucha. Powiedział, że nazywa się Orchan, jakieś tam nazwisko, nie zapamiętałam, ale imię od razu wpadło mi w ucho, że jest Jugosłowianinem, studiuje w Paryżu i szuka dorywczej pracy... Że może robić w domu czy w ogródku wszystkie cięższe roboty, a także że zna się trochę na samochodach. Powiedział to tak jakoś prosto i sympatycznie, więc poszłam

to powtórzyć pani Bossac. Ją też to zaciekawiło i trochę rozbawiło, dzisiaj w Paryżu ludzie nie szukają pracy w ten sposób. Kazała mu powiedzieć, żeby podał swoje imię i nazwisko, uczelnię i wydział, na którym studiuje, i żeby w następnym tygodniu, we wtorek przyszedł po odpowiedź.

Przyjął to jak rzecz najnaturalniejszą w świecie, na kartce napisał wszystkie dane, podał mi ją, powiedział jeszcze: „A więc do zobaczenia” i spokojnie odszedł.

Wtedy do roboty w ogródku przyjeżdżał ogrodnik znajomych pani Bossac z Auteuil i ciągle narzekał, że to dla niego za daleko. Pani Bossac sprawdziła w Sorbonie, nie wiem, czy sama, czy przez kogoś, że rzeczywiście student o takim nazwisku jest na którymś tam semestrze tego wydziału, co podał. Pani Bossac była zawsze dokładna i z namysłem wszystko planowała. Za tydzień, wtedy, kiedy kazała mu przyjść po południu, był u niej brydż, zawsze we wtorki urządzała brydża, i myślę, że specjalnie kazała mu przyjść tego dnia, żeby w razie czego w domu nie było samych kobiet. Przyszedł o oznaczonej porze, ale dość długo musiał czekać w hallu, aż pani Bossac została w swojej partii „wychodzącą”. I przyjęła go na miejsce tamtego ogrodnika z Auteuil.

– O ile wiem, zajmował się nie tylko ogródkiem – wtrącił Lemaître.

– Tak, również czyścił garaż, zajmował się samochodem, potrafił nawet robić małe naprawy, także mnie pomagał w cięższych robotach.

– Pani Bossac była z niego zadowolona?

– Jak najbardziej. Mówiła, że będzie miała kłopot, jak on skończy swoje studia i przestanie u niej pracować.

– Miły chłopiec?

Suzanne wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Czy ja wiem? Bardzo małomówny, nigdy słowa o sobie nie powiedział, ale pracował bardzo dobrze. Nigdy też nie znałam człowieka, który by miał takie szerokie, zrosnięte brwi, pewnie przez to wydawał

się jakiś obcy, surowy, jakby trochę dziki, chociaż zawsze był spokojny.

– Pani Bossac była osobą zamożną. Orientuje się pani, jakie było źródło jej dochodów? Była właścicielką jakichś przedsiębiorstw?

– Nigdy o tym nie słyszałam. Nie wiem, ale wydawało mi się, że żyła z tantiem i procentów od pieniędzy w banku. Regularnie przychodziły pocztą koperty z nadrukiem Banque de France... i zawsze czytywała w gazecie tabele giełdowe...

– Mówiła o tym?

– Ze mną mówiła tylko o sprawach służbowych, ale przeważnie zostawiała gazetę złożoną właśnie na tej stronie, trudno było nie zauważyć.

– Czy miała jakiegoś doradcę finansowego?

Spostrzegł, że nie zrozumiała pytania.

– Czy do pani Bossac ktoś przychodził nie w charakterze gościa lub nie obito się pani o uszy, iż odwiedza jakąś firmę adwokacką?

– Ach, o to chodzi... Tak, przychodził chyba ze dwa razy w miesiącu pan Goldstern. Pani Bossac kazała go zawsze prowadzić do gabinetu. Siedział zwykle godzinę, czasem dłużej.

– Zawsze uprzedzała panią o jego przyjeździe?

– Nie. Na początku mojej pracy zapowiedziała, że ilekroć przyjdzie pan o takim nazwisku, mam go prowadzić do gabinetu. O jego przyjeździe nigdy mnie nie uprzedzała.

– Jak długo pracowała pani w tym domu?

– Cztery lata.

– Trafiła tu pani przez ogłoszenie czy pośrednictwo pracy?

– Przez moją zamężną kuzynkę, która była dochodzącą *femme de menage* u znajomych pani Bossac. Wiedziała, że chcę zmienić pracę, po przyjeździe do Paryża pracowałam jako pomoc kuchenna w restauracji na Boulevard St. Poissonnière, robota od rana do wieczora. Mieszkałam z koleżanką w XIII dzielnicy, dojeżdżałam metro z przesiadkami.

– Posada u pani Bossac odpowiadała pani?

Kiwnęła potakująco.

– Po pracy w swoim pokoju byłam u siebie. A w takim pięknym domu nawet sprzątanie jest przyjemne.

Lemaitre wstał.

– W takim razie chciałbym obejrzeć ten piękny dom.

Na korytarzu Suzanne objaśniła:

– Obok mojego pokoju jest łazienka dla pracowników, za nią pokój kucharki, dalej schowek i stryszek na bieliznę. Czy to też chce pan komisarz obejrzeć?

– Teraz nie, może potem.

Na pierwszym piętrze obejrział sypialnię pani Bossac i sąsiadującą z nią garderobę, gabinet, pokój gościnny i ogromną łazienkę. Lewe skrzydło parteru zajmował wielki living-room, który był salonem w dawnym stylu, o prawej stronie hallu znajdowała się jadalnia, mały pokój kredensowy, pasaż, pomieszczenia kuchenne. Z wyjątkiem gabinetu z dużym mahoniowym biurkiem i ciężkimi skórzanymi kłubami, jakie pojawiły się w latach dwudziestych, oraz pokoju gościnnego wyposażonego nowoczesnie, dom był umeblowany antykami. Kiedy wszedł do salonu, z którego przez *porte-fenêtre* widać było tulipanowe rabaty, stwierdził, że nawet dziewczyna ze wsi, jak Suzanne, potrafiła właściwie ten dom ocenić. To był rzeczywiście piękny dom.

Żaden normalny Francuz nie lubi nowoczesności – myślał Lemaitre patrząc na antyczne sprzęty. – Urządzenie bogatych firm na wzór amerykański, ta niby prostota: chrom, nikiel, zamsz, to tylko poza przeznaczona dla obcych, w takim wnętrzu nie można się przecieź dobrze czuć... – on także miał w domu trochę mebli wypatrzonych przez Marcelle w antykwariatach.

Siedział na niskim fotelu obitym adamaszkiem w kolorze *bois de rose* w srebrne paski o motywach roślinnych. Wskazał Suzanne drugi

fotel. Nieco speszona usiadła; nie ulegało wątpliwości, że nie siadywała na tych fotelach.

– Tu zdarzył się wypadek? – zwrócił się do niej.

– Tu – potaknęła – Pani Bossac musiała siedzieć, jak zwykle, na tej berżerze – wskazała kanapę.

– Z czego było naczynie, które na nią spadło?

– To była ciężka, okrągła waza, chyba z kamienia. Jak przyszedłam tu pracować stała w schowku na górze. Jakies dwa lata temu pani Bossac spodobały się u kogoś pnące rośliny w mieszkaniu, kupiła scindaptus. Mnie kazała wyszorować tę wazę, mówiła wtedy, że jej pierwszy mąż dawał jej zawsze dziwaczne, niepotrzebne prezenty i że tę wazę przywiózł jej kiedyś z jakiejś podróży, ale jej się nie podobała i nigdzie jej nie postawiła. Wreszcie się przyda na scindaptusa – powiedziała. Zamówiła majstra, który zrobił i zamontował wspornik na wazę – pokazała ręką nieco na lewo od berżerki – wysoko na ścianie.

– Wspornik był też kamienny?

– Nie, to była jakby krata z metalowych sztabek pomalowana na biało.

– Wynika z tego, iż pani Bossac była dwukrotnie zamężna. Czy drugi mąż pani Bossac dawno zmarł?

– Chyba tak, bardzo rzadko o nim wspominała.

– Ten pierwszy mąż też ją odumarł?

– Nie wiem, w domu nie było żadnych pamiątek po nim.

– Z wyjątkiem wazy, która zabiła panią Bossac.

– To nie on przecież umieścił ją na tej ścianie – obruszyła się Suzanne, jakby fakt, że ofiarowany przed laty prezent stał się przyczyną śmierci, mógł sugerować winę ofiarodawcy.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza.

– Pora na *déjeuner*, nawet policja nie ma prawa przeszkadzać w porze posiłku. Mam jednak do pani jeszcze trochę pytań. Czy gdybym wrócił tu mniej więcej za dwie godziny, odpowiadałoby pani?

- Proszę przyjść, kiedy pan komisarz zechce...
- Pani narzeczony ma dyżur do której?

Zarumieniła się.

- Do osiemnastej.
- W takim razie w porządku, przyjdę o trzeciej. Myślę, że nie zajmę pani więcej czasu niż trzy godziny.

– Wielkie Bulwary – rzucił kierowcy drzemiącemu w samochodzie. Nie było sensu wracać do domu, Marcelle na pewno także zje coś na mieście, o ile nie zadowoli się kawą i barowymi sandwiczami w Centre Pompidou.

Kilka minut kluczyli opustoszałymi w weekend ulicami Neuilly, nim wjechali na Bd. Ch. de Gaulle w kierunku Place de L'Étoile.\* Na Wielkich Bulwarach ruch był chyba większy niż w dzień powszedni. Chodniki zalegał tłum różnokolorowy i hałaśliwy. Mimo iż sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, widać już było liczne grupy turystów, których skusiły zniżki, jakie oferują przed sezonem biura podróży.

\* Obecnie: Place de Charles de Gaulle.

Przy końcu Bd. Montmartre komisarz dał znać kierowcy, by się zatrzymał.

– Masz półtorej godziny na przerwę śniadaniową – powiedział. Po czym zmienił nagle zdanie:

– Nie, będziesz mi potrzebny dopiero później. Bądź o piątej trzydzieści w Neuilly, tam gdzie byliśmy.

Chociaż była dopiero połowa kwietnia, słońce prażyło mocno i nad większością tarasów kafejek i knajpek rozpościerały się już kolorowe markizy. Lemaitre włączył się w ciżbę spacerowiczów nie bez przyjemności. Przez młode liście platanów przesiewały promienie słoneczne, tworząc mozaikową grę światła i cieni.

Przyjechał tu w zamiarze odwiedzenia restauracji, w której swego czasu pracowała pokojówka Adeliny Bossac, ale zamiar ten wynikał jedynie z rutynowego nawyku, by wiedzieć jak najwięcej o ludziach

objętych dochodzeniem. Gdy tylko wysiadł, zrezygnował z wiadomości o Suzanne sprzed czterech lat, nie były mu przecież potrzebne. Był teraz rzeczywiście tylko jednym z sobotnich spacerowiczów, który postanowił zjeść tutaj swój *déjeuner*.

Wybrał niewielką starą knajpkę, gdzie we wnętrzu przetrwały jeszcze stoliki z marmurowymi blatami, a za ocynkowaną ladą królowała osobiście tęga *patronne*.

Od razu przy bufecie zamówił u niej krewetki, solę z wody, na deser jak zwykle camemberta i usiadł na małym tarasie ocienionym markizą w pomarańczowe paski. Przy sąsiednim stoliku jakaś starsza para małżeńska z wielką uwagą studiowała kartę dań, nie ulegało wątpliwości, że jedzenie poza domem było dla nich świętecznym wyjątkiem.

Po jedzeniu zamówił jeszcze u *patronne* kawę.

– Parzoną w ekspresie czy w kamionce? – spytała.

Chciał odpowiedzieć, że w ekspresie, ale na chwilę się zawahał, widząc po wyrazie twarzy *patronne*, iż pytanie jest zasadnicze, po czym szybko powiedział:

– Naturalnie, w kamionce.

*Patronne* pochwaliła wybór aprobującym skinieniem głowy.

Dopiero przy kawie i gitanie powrócił myślą do sprawy zabójstwa Adeliny Bossac.

Podróż powrotna dostarczyła komisarzowi ponownie turystycznych przeżyć. Od dawna nie korzystał z tzw. miejskich środków lokomocji i w podziemnej stacji metra zaskoczyło go zautomatyzowanie niemal wszystkich czynności, które dawniej wykonywali zatrudnieni tu pracownicy. Poczuł się niepewnym nowicjuszem wśród mas ludzi poruszających się niebywale sprawnie w tym podziemnym zautomatyzowanym świecie.

Gdy ponownie wszedł do domu Adeliny Bossac, zauważył od razu, że Suzanne ma teraz na sobie jasnoróżową bluzkę z modnymi szerokimi rękawami i jedwabną śliwkową spódnicę ściągniętą w pasie

szerokim lakierowanym paskiem. Ciemny strój pokojówki był dla mnie, teraz bała się, iż przed przyjściem Lamiera nie zdąży się przebrać – skonstatował w myśli.

Tym razem dziewczyna nie poprowadziła go na górę do siebie, lecz po otwarciu drzwi zatrzymała się w hallu, jakby oczekując dyspozycji. Ruszył pierwszy na schody, pierwszy też wszedł do gabinetu i zajął miejsce za biurkiem. Spozrzegł, iż w szufladach nie ma kluczyków.

– Pani Bossac miała zwyczaj chowania kluczy?

Suzanne, która w głębokim klubowym fotelu musiała czuć się równie niepewnie, jak na ludwikowskim fotelu, siedziała wyprostowana, nie ośmielając się wygodnie oprzeć o skórzane oparcie.

– Tak. Trzymała je zawsze w torebce.

– Skąd pani to wie? – rzucił szybko.

Nie spieszyła się.

– Bo nieraz przy mnie wyjmowała kluczyki z torebki, jak chciała w sypialni otworzyć sekretarzyk, czy też, gdy mieli być goście i potrzeba było więcej nakryć, kluczykami z torebki otwierała drzwiczki bufetu, kazała mi wyjmować pudła ze srebrnymi sztuccami, zamykała z powrotem i chowała klucze do torebki. Myślę więc, że z kluczykami od biurka było tak samo – odpowiedziała spokojnie.

– Pani Bossac często przyjmowała gości?

– Różnie bywało. Poza brydżem niekiedy w ciągu miesiąca ze dwa, trzy razy, a niekiedy przez dwa miesiące nie było żadnego przyjęcia.

– A jak było w ostatnim miesiącu jej życia?

– Na początku kwietnia, chyba drugiego, był proszony obiad na parę osób.

– Wypadek miał miejsce trzeciego kwietnia w południe. Pamięta pani, jaki to był dzień tygodnia?

– Czwartek, bo poprzedniego dnia był proszony obiad, a we wtorek brydż.



- W ile stolików grywano?
- Dawniej przeważnie był jeden, ostatnio bywało więcej osób i grano przy dwóch stolikach.
- Zna pani nazwiska ostatnich brydżystów?
- Z panią Bossac grali, jak zwykle, pani Tressaille, pan Arnaud i pan Pelade. Przy drugim stoliku siedzieli pani Debranche, pan Breçon i państwo Patton.

Lemaitre zanotował nazwiska.

- Jak długo trwał ten brydż?
- Zaczął się, jak zawsze, o szóstej po południu, grano chyba do jedenastej wieczór.
- Czy któryś z tych brydżystów był również wśród zaproszonych gości na obiedzie drugiego kwietnia?
- Była pani Debranche.
- A poza nią, kto wtedy był?
- Oczywiście był pan Debranche i jeszcze dwóch panów i pani, których nazwisk nie zapamiętałam.
- Czy po śmierci pani Bossac państwo Debranche zabierali jakieś rzeczy z tego domu?
- Nie. Nie zauważyłam. Pani Debranche powiedziała mi, że jej mąż jest teraz bardzo zajęty, chyba coś w związku z jakimiś wyborami, i nie ma w tej chwili czasu zająć się uporządkowaniem spraw po pani Bossac; więc żebym tu teraz została i pilnowała domu.
- Pani Bossac nie miała innych bliskich krewnych?
- Chyba nie. Na pogrzeb przyjechały tylko jakieś dwie kuzynki jej męża, zamieszkałe w Rouen. Wiem o tym stąd, że w dniu pogrzebu przyszły tutaj rano, myśląc, że wyprowadzenie będzie z domu.
- Nocowały tu po pogrzebie?
- Nie. Poza pogrzebem więcej ich nie widziałam.
- Czy torebka pani Bossac jest tutaj w domu?

Suzanne drgnęła, zaskoczona pytaniem.

– A gdzież indziej mogłaby być? – odpowiedziała zdziwiona.  
– Mogli ją przecież zabrać państwo Debranche jako najbliżsi krewni.

– Nie wiem, nie przyszło mi to do głowy. Jak wyjmowałam z szafy ubranie dla pani Bossac, to leżała na półce.

– Tej szafy pani Bossac nie zamykała na klucz?  
– Szaf z ubraniami – nie, zamykała tylko szafę z futrami.

Wstała z fotela.

– Zaraz pójde sprawdzic, czy torebka tam lezy.  
– Sprawdzimy oboje. – Lemaitre również się podniósł.

Torebka z jaszczurczej skóry leżała na półce w garderobianej szafie. Lemaitre bezceremonialnie otworzył ją i zaczął przeglądać jej zawartość. Suzanne przyglądała się temu pełna mieszanych uczuć. Zdawała sobie sprawę, iż komisarz pełni w P. J. wysoką funkcję, była przecież narzeczoną sierżanta z tutejszego komisariatu i wiedziała, czym jest Quai d'Orfeves. Ale tak przetrząsać, jakby szukał w niej ukradzionych komuś przez zmarłą rzeczy, kłóciło się z jej poszanowaniem cudzej własności. Oczywiście, pani Bossac nie żyje, ale to jej torebka, a nie komisarza...

W torebce była książeczka czekowa, portfel, mała portmonetka, notesik, fiolka z tabletkami nasercowymi, puderniczka, chusteczka i pomadka do ust.

– Kluczy nie ma – stwierdził patrząc na Suzanne.  
– To gdzie mogą być? – przestraszyła się.  
– Pani Bossac miała zwyczaj tutaj chować torebkę?  
– Raczej kładła ją gdzieś na wierzchu w sypialni, o ile nie miała jej przy sobie... Może pani Debranche ją tu schowała? Nie wiem...

Lemaitre podszedł do okna, wyjął wszystkie przedmioty z torebki i położył je na parapecie. Obejrzał puste wnętrze, po czym starannie zaczął macać podszewkę. Na dnie wyczuł nieregularne zgrubienia.

Nachylił otwór torebki ku światłu i zauważył, iż dolny kant podszewki tworzy fałdkę, odchylił ją, odciągnął schowany pod nią mały ekler i wyjął z ukrytej kieszonki dwa kluczyki.

– *Ca y est!* – odetchnął z ulgą. Powkładał z powrotem do torebki wyjęte z niej rzeczy, z wyjątkiem notesu i książeczki czekowej, które schował do kieszeni.

– Sekretarzyk jest w sypialni, prawda? – I nie czekając na odpowiedź pokojówki, ruszył do pokoju sypialnego pani Bossac.

– Myślę, że to ten – pokazał mniejszy kluczyk Suzanne, która zatrzymała się w progu pokoju.

I znów nie czekając na jej odpowiedź, włożył kluczyk w zamek sekretarzyka, i przekręcił. Pasował.

Szufladki zapchane były fotografiami i pakietami starych listów. Żadnej bieżącej korespondencji ani rachunków.

Zamknął klapę z powrotem.

– Wracamy do gabinetu – powiedział.

Drugi kluczyk pasował do wszystkich trzech szuflad biurka. – No i po kłopotcie z kluczykami – stwierdził z zadowoleniem.

– Ale przecież brak innych kluczy, do kredensu, do szafy z futrami, do domu... – zaprotestowała Suzanne.

– Tamte są w tej chwili nieważne, zresztą mają je na pewno państwo Debranche.

Niefrasobliwy ton Lemaitre'a zdetonował Suzanne do reszty. Siedziała wyprostowana sztywno w fotelu, starając się nie patrzeć jak komisarz buszuje w szufladach biurka.

Przeglądał uważnie dokumenty, wyciągi z kont bankowych, po czym wyjąwszy plik zużytych książeczek czekowych, ułożył je w stosik na blacie i poprosił Suzanne o papier i sznurek. Kiedy je przyniosła, wyjął z kieszeni notes i książeczkę czekową pochodzące z torebki pani Bossac, dołączył do tamtych i zapakował niezbyt zręcznie w mały pakiecik.

– Potrzebny mi będzie jeszcze plaster, taki zwykły do opatrunku.

Zauważył, iż podając plaster dziewczyna patrzyła mu na rękę, szukając na nich skaleczenia.

– Byłbym zapomniiał... Przepraszam, że panią znowu fatyguję – uśmiechnął się do niej – poproszę jeszcze o skorowidz telefonów, widziałem go w living-roomie przy aparacie...

Po wyjściu dziewczyny szybko, przyciskając mocno dużym palcem, zakleił kawałkami plastra szuflady tak, by nie można ich było otworzyć bez naruszenia tej prowizorycznej plomby. Impregnowana chropowata powierzchnia gwarantowała dobry odcisk kciuka, zastępujący oficjalną pieczęć.

Przyniesioną agendę dołączył do paczki i patrząc na Suzanne powiedział:

– Popsułem pani całą sobotę, ale to nie moja wina. Policja musi sprawdzić, czy do śmierci pani Bossac ktoś się nie przyczynił, zdarza się, że wypadek jest przez kogoś spowodowany.

– O, Boże! Jakby to było możliwe? – wykrzyknęła. – Gdyby nie złamał się hak...

– To tylko formalność, ale zawsze sprawdzamy wypadki kończące się śmiercią, takie są przepisy. Proszę mnie o nic nie pytać i najważniejsze, proszę z nikim na ten temat nie rozmawiać.

– Państwo Debranche o tym wiedzą?

– Będą zawiadomieni.

Nie patrząc już na oniemiałą w tej chwili dziewczynę, dodał:

– Pani pilnuje domu. A więc do sypialni i gabinetu nie wolno nikogo wpuścić. Samej proszę także tu nie wchodzić i nie sprzątać.

Wyrzwał przez okno. Samochód już czekał. Westchnął. Gdyby nie konieczność zabezpieczenia papierów pani Bossac, mógłby już wracać prosto do domu.

Przejazd przez miasto wydał się Lemaitrowi nieznośnie długi. W gmachu prefektury było pusto i cicho, jak zwykle w weekend. Idąc do swego pokoju, rzucił okiem w stronę poczekalni. Nie było nikogo, poza starą Conard, nieszkodliwą wariatką cierpiącą na manię prześladowczą. Zjawiała się na Quai d'Orfeves regularnie przynajmniej raz w tygodniu z wymaginowanymi oskarżeniami i nikt się już nią nie przejmował. Schował pakiecik i skorowidz w kasie ogniotrwałej i szybko wyszedł.

Marcelle przywitała go w domu z zadowoloną miną.

– Udało mi się kupić na dziś wieczór bilety do Odeonu. Grają nową awangardową sztukę.

Lemaitre poczuł się jak balonik, z którego uchodzi powietrze. Jeszcze teatr i do tego awangardowa sztuka! Był to jednak krzyk zupełnie niemy.

– To świetnie – powiedział głośno.

Tylko Marcelle w jego głosie mogła doszukać się entuzjazmu.

\*

Poniedziałek zapowiadał się fatalnie. Lemaitre nie mógł już dłużej odkładać powiadomienia ministra Debranche'a o ujawnionym morderstwie jego ciotki. Nagle też zepsuła się pogoda. Od rana padał deszcz zmieniający się wraz z podmuchami zimnego wiatru w ulewę. Na domiar wszystkiego, kiedy wyjeżdżał z domu, silnik nie chciał od razu zaskoczyć, pomyślał więc z irytacją, że będzie musiał wymienić akumulator, chociaż niedawno go ładował. Czyżby w sobotę wieczór, parkując przed teatrem, nie wyłączył, jak głupi, światel? Ta możliwość zirytowała go najbardziej.

Na Quai d'Orfeves pobieżnie przejrzał poranną pocztę, po czym westchnął i sięgnął po telefon, ale nie podniósł słuchawki, przez dłuższą chwilę siedział, trzymając na niej rękę. Wreszcie ujął ją ze złością

mruknąwszy „merde”, ale nim zaczął wykręcać numer, usłyszał zdziwione: „słucham?” telefonistki z centrali. Nie zauważył, iż guzik łączący z nią był wciśnięty. Szybko nacisnął drugi dający połączenie z miastem i wykręcił numer Ministerstwa Finansów.

Tak jak przewidywał, zaporą ciężką do sforsowania okazała się sekretarka. Za pierwszym podejściem, kiedy przedstawił się bez wymienienia swojej funkcji i poprosił o połączenie z ministrem, usłyszał tylko lakoniczne: „pan minister jest zajęty” i trzask słuchawki. Odczekał piętnaście minut i zadzwonił powtórnie, tym razem zaznaczając, iż dzwoni komisarz Lemaitre z Police Judiciaire. Odpowiedziała „proszę czekać”, by po minucie zakomunikować, że ma się skontaktować z działem kadr Ministerstwa, i po wydaniu tego polecenia uznała rozmowę za skończoną.

Z wściekłością ponownie nakręcił numer i niepomny życzeń dyrektora Rondonier, gdy tylko sekretarka podniosła słuchawkę, wypalił:

– Proszę natychmiast zakomunikować ministrowi Debranche, że komisarz Lemaitre z P. J. musi się z nim skontaktować osobiście w sprawie nie cierpiącej zwłoki! Ma pani to powtórzyć dosłownie, czekam na odpowiedź, kiedy mam przyjść.

To wreszcie poskutkowało. Po niedługim oczekiwaniu usłyszał:

– Jeżeli pan może, proszę przyjechać w przeciągu pół godziny, bo później pan minister będzie bardzo zajęty.

Rzucił „dobrze” i pierwszy położył słuchawkę.

Nie warto było brać samochodu, z Quai d'Orfeves do Ministerstwa Finansów miał dziesięć minut drogi piechotą. Spacer po deszczu podziałał też uspokajająco.

Sekretarka Debranche'a okazała się szykowną dziewczyną w wieku około dwudziestu pięciu lat. Po telefonicznym zawiadomieniu szefa, „iż pan komisarz Lemaitre przyszedł” z czarującym uśmiechem wskazała mu drzwi prowadzące do gabinetu:

- Pan minister czeka na pana.
- Gdyby do gry w piłkę nożną wystarczyły dyspozycje psychiczne, byłaby pani świetnym obrońcą w pierwszoligowej drużynie – powiedział, odwzajemniając uśmiech.

Gabinet ministra był ogromnym pokojem i Lemaitre przemierzał go w milczeniu nim dotarł do stojącego na końcu biurka, za którym siedział bratanek Adeliny Bossac. Był to dość zażywny mężczyzna po czterdziestce, o ciemnych falujących włosach ostrzyżonych modnie à la Tytus i nieco wyłupiastych orzechowych oczach. Ruch ręki, jakim wskazał komisarzowi jeden z dwóch foteli, był nie tyle uprzejmy, ile raczej polecający, wobec czego Lemaitre usiadł na drugim, tyłem do okna.

– Domyślam się, że sprawa dotyczy kogoś z pracowników Ministerstwa i uważał pan za stosowne mnie pierwszego o tym zawiadomić.

– Niestety nie, sprawa dotyczy wyłącznie osobiście pana ministra. – Lemaitre powiedział to ze złośliwą uprzejmością. – Muszę panu ministrowi zakomunikować, iż śmierć pani Bossac nie była wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Ów wypadek został spowodowany. Inaczej mówiąc, pani Bossac została zamordowana.

– To niemożliwe! – zaprotestował żywo Debranche. – Po prostu złamał się hak, na którym wisiała donica z ozdobną rośliną, przypadek, że w tym czasie ciocia siedziała na berzerce...

– Mam dowody, że hak został od spodu podpiłowany. Pani Bossac zaś miała stały zwyczaj siadywania w tym właśnie miejscu. – Ton Lemaitre'a był niemal lodowaty.

Debranche zaczerpnął powietrza, jakby nagle zrobiło mu się duszno. Opanował się jednak, tylko ręce mimo woli zacisnął na poręczach fotela. Lemaitre milcząc przyglądał mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Bratanek Adeliny Bossac dłuższą chwilę również milczał, wreszcie zorientowawszy się, że komisarz obserwuje jego reakcje, powiedział ze

zniecierpliwieniem:

– Trudno mi w to uwierzyć. W domu nie było żadnego rabunku... Jakież byłby sens morderstwa starszej, spokojnej kobiety, żyjącej z daleka od spraw publicznych, nie zajmującej żadnego eksponowanego stanowiska, zajętej tylko swymi prywatnymi sprawami?

Lemaitre wzruszył lekko ramionami.

– Nie wiem. Powody mogłyby być różne: pieniądze, obawa zagrożenia, zamierzenia kolidujące z czyimiś innymi, a poza tym – leciutko się uśmiechnął – pani Bossac nie stała tak daleko od spraw publicznych, była najbliższą krewną szefa jednego z ważniejszych resortów... – Wydało mu się, że po ostatnich jego słowach Debranche jakby się trochę odprężył.

– Uważa pan, że mogłoby to być morderstwo polityczne, wymierzone przeciwko mnie? W związku z nadchodzącymi wyborami moi przeciwnicy...

Lemaitre nie pozwolił mu dokończyć zdania.

– Powiedziałem, że nie wiem, powody bywają różne, wymieniłem tylko kilka z możliwych, ale nikt nie popełnia morderstwa bez powodu, który jest w jego mniemaniu na tyle ważny, by tego dokonać. Te sprawy wyjaśni śledztwo. Pani Bossac była zdaje się osobą bezdzietną?

– Tak, nie miała dzieci.

– Pana ojciec był bratem pani Bossac, czy poza nim miała więcej rodzeństwa.

– Nie. To znaczy między ojcem a ciotką Adelina był jeszcze drugi brat, który zmarł w dzieciństwie.

– Pan będzie więc głównym spadkobiercą?

– Prawdopodobnie... Ale to przecież nieistotne... – ton był pełen dezynwoltury.

– Pan minister należy do wyjątkowych ludzi, dla których pieniądze są sprawą nieistotną. – Powstrzymał się, by nie powiedzieć, iż podatnicy mogliby być zaskoczeni takim podejściem do pieniędzy ich



ministra finansów. Nie odmówił sobie jednak uwagi:

– Taka postawa jest tym bardziej wyjątkowa, zważywszy na funkcję, jaką pan pełni.

Debranche spojrział na niego ostro.

– Ale, niestety, dla ogromnej większości ludzi pieniądze są aż nadto istotne – z poważną miną dokończył sentencjonalnie Lemaitre. – Wracając zaś jeszcze do spraw rodzinnych pani Bossac... Od dawna była wdową?

– Około dziesięciu lat.

– Sądząc z tego, iż mieszkała sama, nie licząc służby, od dziesięciu lat była osobą samotną?

– Tak. Po śmierci pana Bossac nie wyszła powtórnie za mąż.

– Raczej po raz trzeci – sprostował uprzejmie Lemaitre. – Jak mi wiadomo, pan Bossac był jej drugim mężem.

– Poprzednie małżeństwo było bardzo krótkotrwałe i zbyt odległe w czasie, by mogło mieć jakiś związek ze sprawą, z którą pan do mnie przyszedł – odburknął z irytacją Debranche. – I jeśli będzie pan żądał ode mnie dokładnych wiadomości także o dzieciństwie mojej ciotki, to, niestety, nie będę mógł ich udzielić. Uprzedzając pana dociekliwość, z tej przyczyny, iż jej wówczas nie znałem, bo nie zdążyłem się jeszcze urodzić.

Lemaitre jakby nie zauważył ironii tej wypowiedzi.

– Czy krótki czas trwania pierwszego małżeństwa pani Adeliny Bossac spowodowany był śmiercią małżonka, czy też rozwodem? – zapytał spokojnie.

– O ile mi wiadomo, tamto małżeństwo zakończyło się szybko rozwodem. A swoją drogą trudno mi zrozumieć, iż policja, zaczynając śledztwo w sprawie domniemanego zabójstwa, nie rozporządza nawet życiorysem rzekomej ofiary...

– Najlepszy dowód, że nie staliśmy się państwem policyjnym, co zarzuca rządowi czasem opozycja. Nasze kartoteki obejmują jedynie przestępców – odparował szybko Lemaitre. – A co do domniemanego zabójstwa i rzekomej ofiary chętnie bym się z tym zgodził, gdyby to było możliwe; nie musiałbym wtedy zajmować panu ministrowi cennego czasu. Niestety, obowiązek służbowy zmusza mnie do powiadomienia o rozpoczęciu śledztwa, chyba pan minister nie chciałby dowiedzieć się o tym z gazet?

Strzał był celny. Nachmurzona twarz Debranche uległa nagłej metamorfozie. Mogłoby się teraz wydawać, iż obecność komisarza jest mu jak najbardziej miła.

– Nie posądzam naszej zacnej P. J., by chciała popierać opozycję... – spojrzenie oczu niemal jaśniało sympatią, wspieraną dodatkowo uśmiechem.

– Dotychczas pan minister nie czytał o tym w gazetach.

– A w przyszłości?

– Jeśli dochodzenie będzie przebiegało bez zakłóceń, prasa może nie mieć powodów do zainteresowania... I jeszcze jedno pytanie. Kto był na ostatnim obiedzie u pani Bossac poza państwem?

– Panowie Maurice Jobert i Leon Dudeval oraz panna Jeanne Presse.

Lemaitre wstał. Debranche, który przy przyjściu komisarza przywitał go zza biurka, teraz wstał również.

– Gdyby pan komisarz potrzebował ode mnie jakichkolwiek dalszych informacji, proszę się ze mną skontaktować w domu. – Wyjął wizytówkę i podał Lemaitre'owi. – Najłatwiej zastać mnie wieczorem w porze obiadowej. O ile nie jem akurat na mieście – dodał z jowialnym uśmiechem.

Wracając Lemaitre wstąpił na placu Dauphine do bistro na kawę. Uważał, że na początek poszło mu z Debranche'm nieźle, co nie gwarantowało jednakże, iż osoba siostrzeńca Adeliny Bossac nie przysporzy

mu później większych kłopotów.

Wyjął wizytówkę Debranche'a, na której był telefon i adres. Przez chwilę zastanawiał się, czy by od razu nie próbować zobaczyć się z jego żoną, przedtem nim dowie się ona o jego wizycie w Ministerstwie. Doszedł do wniosku, że Debranche może się potem nastroszyć, pójdą w ruch telefony i Rondonier będzie mu wiercić dziurę w brzuchu, na to zaś nie miał ochoty. Trzeba mieć psie szczęście, żeby dostać sprawę, w którą wplątany jest członek rządu – pomyślał z rozgoryczeniem i zamówił u kelnera jeszcze koniak.

Po powrocie do Prefektury wyjął z szafy pancерnej skorowidz telefoniczny zabrany z Neuilly; wypisał telefony i nazwiska gości, których wymienili mu Suzanne i Debranche. Potem wezwał inspektora Moulina i podinspektora Chartiera i nic nie wyjaśniając przekazał listę z poleceniem jak najszybszego zebrania o tych osobach możliwie dokładnych informacji. Nie był to zwyczaj często praktykowany, by współpracowników nie wprowadzono w meritum sprawy. Lemaitre, choć go to irytowało, musiał tu jednak zastosować się do polecenia dyrektora Rondoniera.

Potem przejrzał raz jeszcze wynik ekspertyzy technologicznej złamanego haka. Był to suchy opis techniczny, do którego załączone były fotografie powiększonych w dużej skali fragmentów ułamanego metalu. Pod ekspertyzą był podpis inżyniera Merciera. Lemaitre spotykał go czasem na lunchu w pobliskim bistro i uważał, że jak na inżyniera potrafił po ludzku mówić o fachowych zagadnieniach.

Merciera złapał niemal przy drzwiach, właśnie wychodził.

– Tylko jedno pytanie. Pamięta pan to? – podsunął mu wyniki badań. – Dlaczego hak nie złamał się zaraz po podpiłowaniu?

– Kwestia wytrzymałości materiału. Był podpiłowany tylko na tyle, iż odkształcenie nie musiało nastąpić od razu. Starczy? Spieszę się, jeśli chce pan wykładu o strukturze metali, to kiedy indziej. Cześć!

Odwrotnie niż w przypadku bratanka Adeliny Bossac, Lemaitre nie

miał najmniejszej trudności ze skontaktowaniem się z Gerardem Goldsternem, który zgodził się go przyjąć tego samego popołudnia. Jego kancelaria znajdowała się w szesnastej dzielnicy i wybór miejsca świadczył, iż klientela musiała się rekrutować głównie spośród zamożnych mieszkańców Passy.

Jeśli przez telefon adwokat mógł wziąć Lemaitre'a za nowego klienta, to uważne spojrzenie, jakim go obrzucił, świadczyło, że natychmiast zorientował się w swej omyłce.

– Czym mogę być panu pomocny – zapytał – bo chyba nie chodzi o poradę finansową?

Poznał, że jestem flickiem – zirytował się Lemaitre. Zawsze drażniło go, gdy natykał się na ludzi, którzy nie znając go, rozpoznawali jego zawód, chociaż nie miał go przecież wypisanego na czole.

Sucho i urzędowo zakomunikował, iż jako przedstawiciel P. J. życzy sobie, by mecenas zapoznał go ze sprawami finansowymi zmarłej niedawno Adeliny Bossac.

– Powodów, dla których interesują nas te sprawy, nie mogę, niestety, panu podać – zakończył.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy pytać o powody, kiedy policja chce zasięgnąć u mnie informacji – zapewnił z uśmiechem prawnik. – Wystarczy mi...

– Od jak dawna był pan doradcą pani Bossac? – przerwał mu Lemaitre.

Goldstern wstał i podszedł do bibliotecznej szafy, w której zamiast książek stały rzędy segregatorów. Wyjął jeden z nich i położył na biurku.

– Dokładnej daty nie pamiętam, ale zaraz będę mógł ją podać. – Przerzucił karty segregatora. – 12 listopada 1972 roku, a więc bez mała od dziesięciu lat.

– Wynika z tego, że pani Bossac zaczęła korzystać z pana usług dopiero po śmierci męża?

– Najprawdopodobniej. Nie miałem bowiem przyjemności poznać pana Bossac.

– Orientuje się pan, czym się zajmował?

– Był udziałowcem kilku poważnych przedsiębiorstw i fabryk. Czy którymś z tych przedsiębiorstw zarządzał osobiście, tego, niestety, nie wiem.

– Żyła więc potem z obcinania kuponów akcji i odsetek od kapitału?

– Nie tylko. Również z pewnych operacji finansowych, w których jej pomagałem. – Podsunął Lemaitre'owi segregator. – Pan komisarz znajdzie tu dowody wszystkich transakcji, które na zlecenie pani Bossac zostały przeprowadzone.

Lemaitre nie cierpiał wszelkich papierków, a cóż dopiero dotyczących zawiłych machinacji finansowych. Zdecydowanym ruchem odsunął od siebie segregator.

– Przyszedłem po informacje do pana – ostatni wyraz zaakcentował – a nie jako rewident prowadzonych przez pana ksiąg. Nie interesują mnie w tej chwili szczegóły. Operacje, o których pan wspominał, polegały na tym, że kupował pan i sprzedawał dla pani Bossac akcje?

– Na jej zlecenie – sprostował uprzejmie Goldstern.

Lemaitre westchnął.

– Rozumiem. Pani Bossac zlecała panu, by pan jej doradził, jakie akcje ma zlecić panu sprzedać, a jakie kupić.

Adwokat z szerokim uśmiechem rozłożył dłonie.

– Ujął to pan jak najwłaściwiej, panie komisarzu.

– Pani Bossac była zamożną kobietą?

– W przeciwnym wypadku nie potrzebowałaby moich usług...

– Na ile ocenia pan jej majątek?

– Trudno mi od razu odpowiedzieć. Poza kapitałem bankowym miała udziały i akcje, których wartość nie jest stała.

– Podliczeniem dokładnym zajmą się na pewno spadkobiercy, mnie interesuje wartość przybliżona bez dokładności do jednego franka.

Goldstern przerzucił kilka kart segregatora i przez dłuższą chwilę siedział zamyślony.

– Wolałbym jednak bez przeliczenia nie precyzować sumy – rzekł wreszcie – milion różnicy ma przecież znaczenie...

– Wynika z tego, że saldo jest nieźle – skwitował Lemaitre.

– Zupełnie nieźle – przytaknął adwokat. – Ale zawsze tak jest: pieniądź przyciąga pieniądź. Od początku naszej współpracy pani Bossac miała finansowe podstawy pozwalające jej na powiększenie majątku.

– Oznacza to, iż coroczne dochody przewyższały wydatki za ten okres?

– Można by tak przypuszczać. Nie znam jednak wysokości jej kont bankowych, z których czerpała na bieżące wydatki.

– Pani Bossac poza bratankiem nie miała nikogo z bliższej rodziny?

– Z rodziny? Nie.

Lemaitre spojrział na niego, ale Goldstern z obojętną miną podniósł się, by schować z powrotem segregator do szafy.

– Sporządziła testament?

– Przed kilkoma laty prosiła mnie o pomoc w zredagowaniu testamentu, którego kopię na wszelki wypadek kazała mi przechowywać. Rok temu jednak zażądała jej zwrotu, oświadczając iż zmienia swą ostatnią wolę. Czy rzeczywiście zmieniła i jaka była treść ostatniego testamentu, nie wiem.

– Czy pierwszy testament przewidywał również innych spadkobierców poza bratankiem?

Adwokat potaknął.

– Ilu?

– Gros przypadło dla syna brata, ale poza nim dla paru osób były mniejsze i większe zapisy.

– Kogo dotyczyły owe większe zapisy?

– Niestety, nie pamiętam nazwisk. Nie interesowało mnie przecież, komu i co pani Bossac chce zapisać, lecz właściwe pod względem prawnym sformułowania tekstu dokumentu.

Mówiąc to, Goldstern popatrzył na komisarza wzrokiem tak czystym i otwartym, iż Lemaitre nie miał wątpliwości, że skłamał.

– Czy jakiś legat obejmował wtedy i pana?

– Och, nie! Skądże znowu! Nie było żadnych przesłanek, by pani Bossac zapisywała mi cokolwiek.

– No, chociażby z wdzięczności za dobre rady...

– Gdyby chciała mnie obdarować w testamencie za dobre rady, jestem za dobrym prawnikiem, żebym się na to zgodził, a tym bardziej, abym redagował tekst takiego testamentu i w dodatku kopię przechowywał u siebie... – Ostatnie zdanie Goldstern mówił z wyraźnym rozbawieniem.

– Ale w nowym testamencie, jeśli taki został zrobiony i który nie pan redagował, mógł już znaleźć się zapis dla pana...

Adwokat zeszywniał, potem przechylił się nad biurkiem, jakby chciał, żeby siedzący po drugiej stronie jak najwyraźniej go słyszał:

– Panie komisarzu – powiedział wolno – ja nie byłem pokątnym doradcą pani Bossac, jak również nie byłem jej prywatnym znajomym. Prosiłbym, żeby pan komisarz raczył to wziąć pod uwagę.

Przeholowałem – pomyślał Lemaitre. – Facet jest kimś w swojej branży.

– Przepraszam, jeśli pana uraziłem – powiedział. – Ale reakcja na brutalne podejście pozwala zorientować się w człowieku. Jestem policjantem, w tym zawodzie stosuje się przede wszystkim metody skuteczne, nie zawsze, niestety, przyjemne. Nie będę teraz zabierał

panu więcej czasu, który, odwrotnie niż dla mnie, jest dla pana czasem zmarnowanym. Chcę jednak jeszcze otrzymać od pana, w terminie dla pana dogodnym, wykaz przedsięwzięć, w których pani Bossac miała udział lub posiadała ich akcje. Jednym słowem krótki spis majątności zmarłej Adeliny Bossac.

Adwokat popatrzył na stojący na biurku terminarz.

– Dziś mamy dwudziestego pierwszego kwietnia... Mógłbym to przygotować za parę dni, wcześniej nie dam chyba rady...

Wymieniona na początku data dwudziestego pierwszego kwietnia uderzyła Lemaitre'a jakimś nieokreślonym przypomnieniem czegoś, co się z tą datą kojarzyło, ale nie mógł sobie przypomnieć co.

– Zupełnie wystarczy. Proszę przesłać do P. J. na moje nazwisko.

Po wyjściu od adwokata pojechał do warsztatu Janota wymienić akumulator. Przy okazji kazał umyć samochód i sprawdzić ciśnienie w oponach. Janot ze swoimi stałymi klientami miał zwyczaj ucinać pogawędki, pasjonował się polityką i – odkąd Lemaitre pamiętał – niezależnie od tego, jaka partia stała u steru, zawsze był w opozycji. Teraz też z widoczną przyjemnością wymienił komisarzowi wszystkie posunięcia rządu, które uważał za chybione, i krytykował za brak inicjatywy i skutecznych działań.

Kiedy podjeżdżał pod dom, dochodziło w pół do ósmej i Marcelle od pół godziny musiała czekać z obiadem. Ledwie zdążył to pomyśleć, gdy nagle przypomniał sobie, z czym kojarzy się dzisiejsza data. Przecież dwudziestego pierwszego kwietnia brał ślub z Marcelle! I dziś była piętnasta rocznica ich małżeństwa.

Nie zastanawiając się chwili, zawrócił w popłochu do wozu, musiał przecież gdzieś kupić choćby kwiaty!

Od rana wiedział, że będzie miał ciężki dzień.

\*

Nazajutrz nie padało, ale było w dalszym ciągu pochmurnie.



Lemaitre wstał z bólem głowy. Podejrzał, iż to skutek zjedzenia wyszukanej wschodniej potrawy, którą Marcelle przyrządziła dla uświetnienia wczorajszego obiadu; w każdym razie przypraw w niej było na pewno za dużo. Nie wiedzieć czemu, zapanowała moda na obce kuchnie, jakby francuska nie była najlepsza, i Marcelle jej też ulegała. Wypił mocną kawę, croissanta zastąpił kieliszkiem koniaku, dopiero wtedy poczuł się lepiej.

Po, dziewiątej, kiedy miał pewność, że Debranche jest już poza domem, zatelefonował do jego żony i dość bezceremonialnie zapowiedział swoją wizytę na godzinę dziesiątą.

Dla pani Debranche musiała to być jeszcze wczesna pora, gdyż usiłowała go nakłonić do przyjścia później.

– Niestety, to niemożliwe. Mój dzień ma rozkład minutowy – zapewnił, co nie było całkiem zgodne z prawdą, ale uważał, iż rozmowa z osobą na to nieprzygotowaną rokuje zawsze lepsze rezultaty.

Państwo Debranche mieszkali w okolicy Parku Monceau, w dziewiętnastowiecznym, doskonale utrzymanym dawnym *hôtel particulier*. Ku zdziwieniu komisarza drzwi otworzyła mu sama pani Debranche.

Bała się skompromitować przed służbą wizytą policjanta, gdyby otworzyła pokojówka, musiałbym jej powiedzieć, kogo ma zaanonsować – pomyślał, uważnie taksując ją wzrokiem. Była drobną bardzo ładną kobietką z niewiele przekroczoną trzydziestką. Na pewno ubierała się w pośpiechu, gdyż guziki bluzki miała krzywo zapięte, natomiast makijaż zrobiony bez zarzutu, a włosy koloru miedzi, lśniące od szczotkowania równie starannie ułożone.

Wprowadziła go szybko do pokoju, który był czymś pośrednim między gabinetem a biblioteką.

– Napije się pan kawy, prawda? – i nie czekając na odpowiedź nacisnęła dzwonek na służbę. – Muszę przyznać, że pana dzisiejszy

telefon był dla mnie dużym zaskoczeniem.

– Pan Debranche nic pani nie mówił o mojej wczorajszej bytności u niego?

– Wczoraj mąż wrócił bardzo późno... – weszła pokojówka, niosąc tacę z kawą.

Nim przyszedłem, wydała dyspozycje – pomyślał. Dopiero po jej wyjściu pani Debranche dokończyła:

– Wspomniał tylko o tym bardzo ogólnikowo. Powiedział, że w nieszczęśliwym wypadku ciotki Adeliny policja dopatruje się jakichś machinacji...

– Morderstwa – sprostował spokojnie.

Na dźwięk tego słowa poruszyła się nerwowo.

– Trudno w to uwierzyć... Takie rzeczy nie zdarzają się wśród... – szukała słowa – przywoitych ludzi.

– Ma pani na myśli sferę, do której należy pani rodzina, tak? Niestety, nawet w najekskluzywniejszych środowiskach zdarzają się morderstwa. Nie przyszedłem jednak po to, żeby panią o tym przekonywać. Chciałbym natomiast dowiedzieć się o przebiegu ostatniego brydża, jaki odbył się u pani Bossac.

– Chyba nie potrafię nic ważnego powiedzieć. – Mieszała łyżeczką cukier, który już dawno był rozpuszczony. – Graliśmy w brydża, ciocia Adelina urządziła brydża często...

– Co wtorek – wtrącił.

Zaskoczona spojrzała na niego

– Jest więc pan zorientowany. Cóż mogę jeszcze dodać?

– Grano przy dwóch stolikach, prawda?

– Tak.

Lemaitre wyjął notes.

– Przy jednym siedzieli: pani Bossac, pani Tresaille, pan Arnaud i pan Pelade. Przy drugim: pani, państwo Patton i pan Breçon. Zaczęli państwo grać o szóstej po południu. A o której brydżyści zaczęli się schodzić?

W tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły i do pokoju wpadł chłopiec w wieku około dziesięciu lat. Zatrzymał się jednak nieopodal drzwi.

– Pierre – krzyknęła pani Debranche. – Kto pozwolił ci wejść?!  
Wiesz, że nie wolno mi przeszkadzać, kiedy jestem zajęta!

Chłopiec, jakby nie słysząc tych słów, stał i przyglądał się Lemaitre'owi z nachmurzoną twarzą. Potem odwrócił się na pięcie i wybiegł równie szybko, jak przyszedł.

Niespodziewane wejście dziecka pogłębiło zdenerwowanie pani Debranche.

– Przepraszam, zapomniałam, o co mnie pan zapytał?

– O której przyszła pani na brydża?

Nie od razu odpowiedziała.

– Chyba trochę przed szóstą...

– Czy była pani pierwsza?

– Nie... Byli już pani Tresaille i pan Pelade, pan Arnaud i... zdaje się pan Breçon, i wkrótce nadeszli państwo Patton.

– Goście gromadzili się od razu w living-roomie?

– Tak.

– Skoro grano do jedenastej wieczór, była chyba przerwa na jakiś posiłek?

Potaknęła ruchem głowy.

– Jedzenie podano do living-roomu?

– Nie, przeszliśmy do jadalni.

– Wyszli państwo z living-roomu wszyscy razem?

– Myślę, że tak. Nie zwracałam na to uwagi.

– Przerwa w grze trwała jak długo?

– Nie patrzyłam na zegarek. Tyle, ile trwa zjedzenie małego obiadu.

– Nikt nie wstawał od stołu i nie wychodził z jadalni? Wzruszyła ramionami.

– Któż zdobyłby się na taki *shocking*...

- Mógł ktoś mieć pilny telefon do załatwienia.
- Załatwiłby go przed obiadem lub po nim, co do tego nie ma wątpliwości – ton był kategoriyczny.
- Wynika z tego, iż również goście zaproszeni na obiad drugiego kwietnia przestrzegali *savoir-vivre'u* i wszyscy przez cały czas trwania obiadu siedzieli przy stole.
- Oczywiście.
- Niemniej jednak pani Bossac została zamordowana.
- Dlaczego pan mi o tym mówi?!
- Bo jedna z tych osób, tak przestrzegająca form towarzyskich i tak dobrze wychowanych, jest wyrafinowanym mordercą.
- Jak pan może którąkolwiek z tych osób oskarżać; przecież wypadek miał miejsce dopiero następnego dnia.
- Tak, zdarzył się nazajutrz. Ale został przygotowany wcześniej w granicach od jednego do kilku dni... – Lemaitre wypił resztę kawy. – Wystygła pani kawa – zauważył.
- Podniosła filiżankę i natychmiast postawiła ją z powrotem.
- Więc w ciągu tych paru dni ktoś inny mógł to zrobić! To nonsens rzucać insynuacje na tamtych ludzi!
- Prowadzę dochodzenie, a nie rzucam insynuacje, jak to pani określiła, różnica jest dosyć istotna.
- Ale dlaczego szuka pan sprawcy wśród nich?
- Ponieważ poza tymi ludźmi nikt inny przez ostatni tydzień nie odwiedzał domu pani Bossac.
- Nie bierze pan pod uwagę służby? Dostawców?
- Oczywiście, że brałem. Tylko zarówno pokojówka, jak i kucharka niełatwo znajdują w dzisiejszych czasach tak dobrą posadę, jaką miały u pani Bossac. Przez jej śmierć nic nie zyskują, lecz tracą. To samo dotyczy studenta-ogrodnika. Z dostawców nikt nie przekroczył progu domu, mleko i pieczywo zostawia się przed drzwiami, gazety wrzuca do skrzynki przy furtce.

– Czy wszystko to pan powiedział mojemu mężowi?  
– Nie chciałem mu zabierać za dużo czasu. Powiedziałem tylko o rozpoczęciu śledztwa.

Wiadomość ta wyraźnie sprawiła ulgę pani Debranche.

– To dobrze, nie musi przecież znać szczegółów. Ma tyle pracy i kłopotów, szczególnie teraz przed wyborami, nie chciałabym żeby się niepotrzebnie denerwował...

– Powiedział, że chętnie będzie służyć mi wszystkimi informacjami, jakich jest w stanie udzielić.

– Ależ tych samych i ja mogę panu udzielić. Chciałabym, aby pan męża oszczędzał...

– Pan Debranche o wiele mniej przejął się tą sprawą niż pani, może więc panią należałoby oszczędzać? – Obserwował ją uważnie.

– Ach, nie... – Nerwowo bawiła się rogiem serwetki.

– Byłam tylko z początku zaskoczona, trudno od razu oswoić się z taką wiadomością... Ale proszę pamiętać, że pani Bossac była krewną męża, nie moją i chociaż byłam bardzo do cioci Adeliny przywiązana, jest to dla mnie mniej bolesne niż dla niego.

– Skoro tak, to proszę o podzielenie się swą opinią o każdym z ludzi, z którymi zetknęła się pani ostatnio u pani Bossac.

Wyraźnie się spłoszyła.

– Teraz?... – spojrzała na zegarek – O Boże, bardzo pana przepraszam, ale o jedenastej jestem umówiona na mieście...

– Rozumiem. Proszę więc tylko mi powiedzieć, czy pan Debranche przyjeżdża na *déjeuner* do domu?

– Nie. Przy jego zajęciach i odległości ministerstwa...

– W takim razie czekam na panią jutro w prefekturze o trzynastej trzydzieści. Portier wskaże pani mój pokój. I jeszcze jedno. Co pani wiadomo o ostatnim testamencie pani Bossac?

To pytanie speszyciło ją wyraźnie, nie próbowała już ukrywać swego zdenerwowania.

– Ostatnim? Dlaczego ostatnim?  
– Gdyż podobno postanowiła zmienić spisana przed laty swą ostatnią wolę.

Milczała przez chwilę, jakby coś rozważając.

– Nie wiem o żadnym testamencie! – wybuchnęła. – Dlaczego ja miałabym o tym wiedzieć?!

Wstał.

– Dziękuję za kawę.

Bez słowa podała mu rękę.

Nie był pewien, czy dyrektor Rondonier byłby zadowolony z przebiegu tej rozmowy, ale on sam był zadowolony na pewno!

Inspektor Moulin zameldował się u Lemaitre'a przed przerwą na *déjeuner*.

– Orchan Lubelic tydzień temu wyprowadził się z hoteliku, gdzie mieszkał od dziesięciu miesięcy.

– Wyniósł się cichaczem, nie uregulowawszy rachunku?

– Nie, przeciwnie. Miał opłacony pokój do końca miesiąca. Wychodząc, wsunął tylko głowę do dyżurki *patronne*, by zakomunikować, że zwalnia pokój, nawet się nie zatrzymał i nie powiedział jej do widzenia.

– Ta nagła wyprowadzka zdziwiła hotelarkę?

– Raczej ucieszył ją fakt nadpłaconego komornego. Powiedziała: *drôle de garçon*, widać go coś przypiliło, jego sprawa. I że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby każdy lokator tak się wyprowadzał, bo czasem łobuza trudno dopaść, kiedy się chyłkiem z hotelu wymknie, nie uregulowawszy należności.

– Jak zachowywał się przez te dziesięć miesięcy, kiedy tam mieszkał?

– Nie miała z nim kłopotów. Dziewczyny sprowadzał nie za często, czasem na waleta przenocował kolegę. Ale według *patronne* tego

się nigdy nie da upilnować, wystarczy wyjść z dyżurki na chwilę, by darmowy lokator był już na górze. I jeśli tylko nie narobi zamieszania, macha na to ręką, gorzej, jak zdarzy się akurat policyjna kontrola. Ale ten Jugosłowianin miał szczęście, nigdy policji nie podpadł.

– Szukał go pan na Sorbonie?

– Oczywiście. Ale jest na którymś z końcowych semestrów, starsi studenci nie biegają tak pilnie na wykłady. Mam nadzieję, że w ciągu trzech, czterech dni trafię na niego, choćby poprzez kolegów... Mam też już pewne dane o George'u Arnaud. – Moulin wyciągnął notatnik.

– Urodzony w 1943 r. w Paryżu, kawaler, pośrednik handlu nieruchomościami. Wysłałem Joselina, by wy wachał w wydziale finansowym. Wygląda na to, że firma George'a Arnauda robi bokami, i to od dość dawna. Natomiast według jego konsjerżki jest to przyzwoity, zamożny lokator. Sprząta u niego. Mieszkanie ma ponoć urządzone nader elegancko. Konsjerżka nie ukrywała też zaskoczenia, że policja interesuje się jego osobą. Nie omieszkałem więc powiedzieć, iż nie mamy wobec pana Arnauda żadnych zarzutów, rutynowo sprawdzamy osoby, które znajdowały się w pewnej restauracji, kiedy zdarzył się tam niewyjaśniony jeszcze wypadek. Zastrzegłem też zupełną poufność naszej rozmowy, konsjerżka nie jest młoda, z doświadczenia wie dobrze, że poleceń policji oplać się słuchać.

– O kobiety pan pytał?

– Jasne. Owszem, odwiedzają go panie, ale dozorczyńni nie widziały potrzeby zwracania specjalnej uwagi na gości odwiedzających takiego lokatora, jak pan Arnaud. Nie sprowadzał nigdy dziewcząt ulicznych ani nie nachodziły go podejrzane indywidua.

Zadzwoił telefon. Sekretarka dyrektora Rondoniera zawiadamiiała, że szef życzy sobie, by komisarz wpadł zaraz do niego.

Lemaitre niechętnie podniósł się zza biurka.

– Dyrektor mnie wzywa. Jak pan zobaczy Chartiera, proszę go

natychmiast przysłać do mnie. I odszukać jak najszybciej tego studiującego Jugosłowianina.

- A jak odszukam, co dalej?
- Da mi pan znać, gdzie i kiedy bywa osiągalny.

Czyżby Debranche – zastanawiał się Lemaitre idąc do gabinetu Rondoniera – uderzył już do starego? Chyba nie – skonstatował, kiedy szef, podsunąwszy mu paczkę caporali i usadowiwszy się wygodniej w fotelu zapytał:

- No i jak idzie?

Niechętnie wziął papierosa, nie lubił caporali, ale Rondonier palił ostentacyjnie te mocne i tanie papierosy, jakby chciał podkreślić, że funkcja, którą teraz pełni, nie zmieniła jego dawnych skromnych przyzwyczajeń.

Podał szefowi ogień, nim powiedział:

- Myślę, że prawidłowo...
- Ma pan już jakiś obraz sytuacji?
- Jeszcze nie, ktoś dobrze główkował w tej historii... Ale widziałem się już z ministrem Debranche'm.
- I?... – Oczy szefa wpatrywały się w Lemaitre'a z żywym zainteresowaniem. – Co sądzi?

Lemaitre wolno zaciągnął się ostrym dymem caporala, oceniwszy z satysfakcją ciekawość szefa. Wynikało z niej, że stary nie miał w tej sprawie żadnych telefonów, które rozdzwoniłyby się na pewno, gdyby w rozmowie z Debranche'm popełnił jakąś niezręczność.

- Chętnie będzie mi służył wszelką pomocą, jak oświadczył.

Napięcie widoczne w spojrzeniu dyrektora Rondoniera zniknęło, oczy rozjaśniły się zadowoleniem.

- Zamknięcie kręgu podejrzanych zajmie panu zapewne sporo czasu?
- Trudno mi w tej chwili powiedzieć, pierwszy rzut obejmuje



dziesięć osób.

– Całkiem niedużo, to świetnie, tym łatwiej sam pan sobie poradzi.

Lemaitre omal nie podskoczył w fotelu.

– Jak to sam?

– No nie dosłownie, rozumiem, że jeden czy drugi pomocnik w charakterze wywiadowcy będą potrzebni, ale chodzi mi o to, żeby samo dochodzenie było wyłącznie w pana rękach. Zaznaczyłem oddając panu tę sprawę, że jest ona bardzo delikatna... Oczywiście to przedłuży czas trwania dochodzenia, ale trudno. Gdyby nawet przeciągnęło się do pół roku, to, wobec specyficznych warunków jego prowadzenia, będzie to całkowicie usprawiedliwione.

Dotychczasowe zadowolenie Lemaitre'a ulotniło się bez śladu.

Chce, żeby wynik dochodzenia nie wpłynął przypadkiem na rezultat wyborów. Jako stary policyjny wyga za nikogo by głowy nie dał, Debranche'a też nie jest pewny, tak samo, jak i ja – skwitował w duchu. Miał ochotę się jednak podroczyć i zakomunikować szefowi, że postara się zamknąć śledztwo w jak najszybszym terminie.

Widząc, że Lemaitre otwiera usta, by coś powiedzieć, Rondonier szybko wtrącił:

– Mam nadzieję, że uniemożliwił pan jakiegokolwiek przecieki do prasy.

– Dotychczas nie było żadnych przecieków na pewno. Nie mogę jednak ręczyć, iż fakt, że nagle stałem się samotnym, tajemniczym Dżemsem, ujdzie uwagi wścibskich dziennikarzy. Tak jak moi wywiadowcy będą deptać komuś po piętach, równie dobrze ktoś z prasy może zechcieć deptać po moich. – Jedyne, na co mógł sobie teraz pozwolić, to postarać się także popsuć humor szefowi.

Chcąc zaprzeczyć, iż połknął tę żabę, Rondonier wzruszył ramionami.

– Jest pan na to za szczwanym lisem. Postaram się jednakże, by

jeden czy drugi inspektor podrzucili panom z prasy jakieś dobre kąski ze spraw, które są na warsztacie.

Wyciągnął na pożegnanie rękę do komisarza.

– No, na dziś to byłoby wszystko. Gdyby wydarzyło się coś ciekawego, proszę mnie zawiadomić.

Rozstali się obaj nawzajem niezadowoleni z siebie. Pod drzwiami pokoju Lemaitre'a czekał podinspektor Chartier.

– Dowiedziałem się, że pan komisarz chce mnie jak najszybciej zobaczyć. – Chartier był młodym chłopcem po studiach i każdą robotę, nawet rutynową, traktował jeszcze z entuzjazmem.

– Trzeba było telefonicznie sprawdzić, czy jestem, na sterzenie na korytarzu szkoda czasu. Masz już jakieś konkretne dane?

– Wymagają jeszcze uzupełnienia, ale mam wszystkie adresy i dane personalne. Nie zdążyłem jednak tego przepisać na maszynie.

– Pokaż.

Podinspektor wyciągnął z tekturowej teczki arkusz papieru i położył na biurku. Lemaitre, zapalając gitana, przebiegł notatki wzrokiem.

– Na szczęście masz czytelne pismo. – Schował papier do szuflady. – To mi na razie wystarczy. Jadłeś drugie śniadanie? – Chartier potrząsnął przecząco głową.

– Nie zdążyłem.

– To idź teraz zjeść. Potem wyznaczę ci dalszą robotę. Tylko nie czekaj już pod drzwiami, zawiadomię cię telefonem.

Przez dłuższą chwilę siedział, zastanawiając się, czy by nie pojechać do domu. W najbliższych dniach czeka go masa roboty, będzie zajęty od rana do wieczora i powinien przedtem jakoś ugłaskać Marcelle. Ale czy zjedzenie dziś w domu śniadania wpłynie na to, żeby Marcelle nie miała mu potem za złe, iż całymi dniami jest poza domem? Na pewno będzie miała mu za złe, choćby nawet nic na ten temat nie mówiła. Wystarczy samo spojrzenie, jakim obrzuca go, gdy wieczorem wraca

do domu, od piętnastu lat zna to spojrzenie, pod którym doznaje zawsze bezsensownego, nie zasłużonego poczucia winy. W nagłym odruchu buntu pomyślał, że to właśnie ona mu wyrządza krzywdę tymi niemymi spojrzeniami i że to ona powinna czuć się winna.

Po dwudziestu pięciu minutach siedział z Marcelle w domu przy *déjeuner*.

Kończąc jeść cielece filety, powiedział:

– Przygotuj mi dużą kawę, bardzo mocną, czeka mnie ciężki dzień. Przez wszystkie najbliższe dni będę miał urwanie głowy. Ron-donier wepchnął mi nową robotę.

Marcelle nieznacznie wzdrygnęła ramionami.

– Zawsze, jak skończysz jedną sprawę, dają ci drugą, chyba się do tego przyzwyczaiłeś. O co w tej nowej sprawie chodzi?

– O zabójstwo.

– Mało miałeś takich? Dotychczas wydawało mi się, że morderstwa to dla ciebie chleb powszedni.

– Ale tutaj całą robotę będę musiał ciągnąć zupełnie sam. Są powody, dla których sprawa nie może nabrać rozgłosu, i nie tylko chodzi o prasę.

– Nic mi na ten temat nie możesz powiedzieć?

– Niestety, nie.

– Oczywiście, żony komisarzy P. J. nigdy nie są godne zaufania. Ręczę natomiast, że żona reportera dowiadyuje się o każdej sensacji nim jeszcze jej mąż zasiądzie do pisania. Trudno, poczekam, aż będę mogła o tym przeczytać w gazetach.

– Niewykluczone, iż nie będziesz miała takiej okazji...

Ostatnie słowa zaintrygowały Marcelle na tyle, że zrezygnowała z naburmuszonej miny.

– Nie możesz nawet powiedzieć, kto jest ofiarą?

– Tylko tyle, że kobieta.

– Ładna?  
– Nie wiem.  
– Jak to nie wiesz? Jak możesz nie wiedzieć, skoro wiesz kogo zabili.

– Nie ciągnij mnie za słówka. Sprawa wyszła na jaw w dwa tygodnie po jej śmierci, a ekshumacja nie była potrzebna.

Usłyszawszy wyraz ekshumacja, Marcelle pośpiesznie wstała od stołu.

– Zaraz zaparzę ci kawę...

Pytanie Marcelle uprzytomniło Lemaitre'owi, że dotychczas myślał o Adelinie Bossac niemal bezosobowo, a przecież do dnia trzeciego kwietnia była kobietą z krwi i kości, sympatyczną lub nie, obdarzoną lub pozbawioną urody i fakt, iż była taka, a nie inna, mógł wpłynąć na decyzję mordercy. Owdowiała przed dziesięciu laty, mając około czterdziestki. Czy rzeczywiście była przez cały czas osobą samotną, która zrezygnowała z osobistego, intymnego życia?

Po powrocie na Quai d'Orfeves przeczytał uważnie dane dostarczone przez Chartiera. Poza personaliami zawierały dość szczegółowe informacje dotyczące źródeł utrzymania i zawodów ludzi, którzy byli gośćmi Adeliny Bossac w dniach pierwszego i drugiego kwietnia. Podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę o połączenie z podinspektorem.

– Co chciałbyś uzupełnić w informacjach, które mi dostarczyłeś?  
– Jobert jest przemysłowcem. Myślę więc, że przez ludzi z giełdy można by się o nim dowiedzieć jakichś interesujących szczegółów...

Lemaitre uśmiechnął się do słuchawki z aprobatą.

– Nie zasypujesz gruszek w popiele, zajmij się tym.

Potem wrócił do listy gości.

Uczestniczka wtorkowego brydża Thérèse Tressaille była mniej więcej w tym samym wieku, co Adelina Bossac. Jeśli znały się od

czasów szkolnych – pomyślał – to byłoby niezłe... Przyjaciółka nigdy nie odmówi sobie przyjemności wspomnienia o przywarach czy niepowodzeniach drugiej, chyba, że... – westchnął – pani Tressaille postarała się przyjaciółki pozbyć, wtedy może obdarzyć zmarłą superlatywami lub przedstawić jej wizerunek zupełnie nijaki. Chociaż korciło go, żeby zobaczyć się jak najszybciej z Thérèse Tressaille, wolał przedtem usłyszeć relacje pani Debranche. Konfrontacje zeznań zawsze dają lepsze wyniki, choć nie miał złudzeń, iż wiele się od niej dowie. W tej sferze niełatwo wydusić od razu rzetelne zeznania. Do pokoju wpadł Moulin.

– Przed chwilą dzwonił kolega tego jugosłowiańskiego studenta z wiadomością, że Orchan Lubelic bywa około siódmej wieczorem w „Bon Apetit”, małej knajpce przy „Boul Michu”. Czy mam pojechać i ściągnąć go tutaj?

– Nie, sam go sobie obejrzę. Pana za to poproszę o dyskretne zdobycie dokładniejszych informacji o Paulu Breçonie. To nazwisko obito mi się kiedyś o uszy, czy nie był na liście kandydatów jakiegoś podparyskiego okręgu?

– To łatwo sprawdzić.

– Właśnie. A poza tym jak najwięcej szczegółów z jego życia. Zajmie to panu trochę czasu... I proszę informować mnie na bieżąco.

Po wyjściu Moulina spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta. Szybko nakręcił numer w Neuilly. Dłuższą chwilę czekał, nim usłyszał zdyszane nieco „Hallo?” Suzanne.

– Tu komisarz Lemaitre. Chciałem panią o coś zapytać. Czy wśród obrazów, które wiszą w mieszkaniu, jest portret pani Bossac?

Pytanie musiało dziewczynę zupełnie zaskoczyć, bo odpowiedź poprzedziła chwilą milczenia.

– Tak. Są nawet dwa portrety.

– W takim razie niedługo będę. Mam nadzieję, że nie miała pani teraz zamiaru wyjść?

– Teraz nie...

– Rozumiem. O której jest pani umówiona z narzeczonym?

– Na szóstą chcieliśmy pójść do kina.

– Nic nie będzie stało na przeszkodzie, moja wizyta nie przekroczy kwadransa.

Tym razem strój Suzanne w niczym już nie przypominał skromnego ubioru, w jakim ją zobaczył po raz pierwszy. Kwiecista „wielka koszulowa” związana była przemyślnym węzłem na biodrach opiętych błyszczącymi czarnymi spodniami.

Zaprowadziła go od razu do sypialni pani Bossac.

– Na tym obrazie była, jak mi powiedziała, jeszcze panną – wskazała niewielki pastelowy portret ciemnowłosej dziewczyny.

Ujęcie twarzy *en trois quart* pozwoliło na ukazanie wąskiego noska z małym garbkiem i młodzieńczego zarysu policzków. Był to typowy portret „dziewczęcej główki” i o portretowanej nie mówił nic więcej ponadto, iż nie ma jeszcze dwudziestu lat.

Drugi portret wisiał w jadalni i Lemaitre zdziwił się w duchu, jak mógł za poprzedniej bytności nie zwrócić na niego uwagi. Było to bardzo duże olejne płótno przedstawiające siedzącą w fotelu kobietę w wieczorowej sukni; portret pochlebnie reprezentacyjny, ale malowany przez dobrego malarza. Nie ulegało wątpliwości, iż potrafił wydobyć jakąś prawdę o modelu, którą tak rzadko potrafi uchwycić rejestrująca niby obiektywnie fotografia. W czasie powstania tego obrazu Adelina Bossac musiała mieć przekroczoną trzydziestkę, jej twarz była twarzą kobiety jeszcze młodej, ale kobiety już dojrzałej, której charakter i przeżycia nadawały indywidualny wyraz, czego pozbawiony był portrecik w sypialni. Sądząc z rysów, Adelina Bossac była przystojną

kobietą. Przynajmniej na pozór, było bowiem coś w rysunku twardo zamkniętych warg i ostrym spojrzeniu ciemnych oczu, kontrastujących z leniwą pozą całej postaci, co świadczyło, iż ta niedbale rozpostarta kobieta w wieczorowym stroju przede wszystkim wie, czego chce, i potrafi to egzekwować.

– Pani Bossac, taka, jaką ją poznałaś, była kobietą przystojną? – zwrócił się do Suzanne.

Pytanie to znów zaskoczyło dziewczynę, bo popatrzyła na Lemaitre z wyraźnym zdziwieniem nim wreszcie powiedziała:

– Była bardzo elegancka, ale nie była już przecież młoda.

Dla dziewczyny w wieku Suzanne mówienie o urodzie pięćdziesięcioletniej kobiety musiało być zapewne niedorzecznością.

– Nie była młoda, ale są starsze kobiety brzydsze i ładniejsze, do których zaliczyłabyś panią Bossac?

– Była bardzo zadbana, to pewne, przestrzegała też diety, żeby nie utyć. A strojów wszystkie młode mogłyby jej zazdrościć...

Dla Suzanne młodość kojarzyła się z brakiem pieniędzy.

\*

Nie było jeszcze szóstej, gdy zaparkował wóz przy Boulevard St. Michel. „Bon Apetit” był niewielką knajpką o dziesięciu stolikach tradycyjnie przykrytych krzasiastymi obrusami. Za barem widać było przejście do pomieszczeń kuchennych. O tej porze prawie wszystkie stoliki były puste, ruch musiał się zaczynać dopiero w porze obiadowej.

Lemaitre podszedł do baru, za którym młody mężczyzna w białym kitlu wycierał ścierką ocynkowaną ladę. Nie przerwał swego zajęcia, dopóki nie uznał, iż robota jest skończona, dopiero wtedy odłożył ścierkę, wytarł ręce i zwrócił się z pytaniem:

– Pan sobie życzy?

– Dwa razy *fine*.

Starannie odmierzył menzurką koniak i postawił przed Lemaitrem dwa napełnione do połowy pękate kieliszki. Lemaitre przesunął jeden w stronę barmana.

– Lepiej smakuje w towarzystwie.

Mężczyzna w kitlu popatrzył uważnie na ofiarodawcę i skinął potakująco głową, po tym pociągnąwszy łyk, zapytał:

– Ma pan do mnie jakiś interes?

– Do pana nie, może do jednego z pańskich klientów.

Któryś z nielicznych gości zastukał w blat stolika. Barman wyszedł zza lady, podszedł do klienta, zainkasował rachunek, zabrał puste szklanki po piwie i odniósł je na zaplecze. Kiedy wrócił za ladę, ostro powiedział:

– Nie życzę sobie draki, rozumie pan?

Lemaitre wolno upił łyk koniaku, nim odparł:

– O drace mowy nie ma. Pan jest patronem?

– Nie, ojciec. Ale on zajmuje się kuchnią, na sali ja zajmuję się gośćmi.

– Ma pan stałych klientów?

– Nie zauważył pan wchodząc, że to nie jest „Mac Donald” ani „Ritz”? Jasne, że większość klientów jada tu co dzień.

– Sądząc z dzielnicy, są to studenci?

– To pana właśnie interesuje? Chłopcy? Powinienem się od razu domyślić. Ale uprzedzam – w głosie barmana była nieskrywana irytacja – natnie się pan i może oberwać zdrowo po pysku. Tu klientela nie dla pana, źle pan trafił. – Odwrócił się i wylał swój niedopity koniak do zlewozmywaka.

– Myli się pan – powiedział Lemaitre sucho i wyciągnął legitymację.

Skutek był natychmiastowy.

– O, przepraszam! Kropnąłem się... Ale czasem zdarza się, że ktoś taki przychodzi, więc jak pan spytał o studentów, to skojarzyłem:



trochę starszy, dobrze ubrany, pijący *fine*... Jeszcze raz przepraszam.

– W porządku. Niech pan naleje następne dwie *fine*.

– Czy któryś z moich gości coś przy skrobał?

– To się okaże. Zna pan nazwiska swoich gości?

– Tylko niektórych. Jeśli ktoś zostawia dla klienta jakąś wiadomość albo jest telefon do kogoś. Z zasłyszanych urywków rozmów zna się raczej imiona. Jak brzmi nazwisko, które pana komisarza interesuje?

– Orchan Lubelic, Jugosłowianin.

– Przychodzą tu studenci różnych narodowości, ale który z nich jest Jugosłowianinem, nie wiem.

– Ma podobno bardzo mocno zrośnięte brwi.

Barman przez chwilę się zastanawiał.

– Nikt taki nie zwrócił mojej uwagi. Może nie bywa tu często?

– Nie wiem. Wiem tylko, że ma tu być dzisiaj około siódmej.

– Zaraz... Może to ten chłopak, który od kilku dni przychodzi do dziewczyny jadającej tu od dłuższego czasu... Tak... Rzeczywiście ma chyba zrośnięte brwi... Ta dziewczyna ma na imię Juliette. Wie pan komisarz, jak podchodzi się do stolika, gdzie siedzi chłopak z dziewczyną, to siłą rzeczy patrzy się na dziewczynę, a nie na chłopaka, a ta Juliette jest bardzo ładną dziewczyną. Aż szkoda, że będzie miała przykrości...

– Nie musi mieć. Jeśli jej towarzysz jest tym, który mnie interesuje, chcę tylko z nim porozmawiać. Będzie pan mu mógł powiedzieć, że ktoś chce z nim zamienić parę słów? Zajmę stolik – Lemaitre rozejrzał się po sali – o, tam, w kącie. Pokaże mu pan miejsce, gdzie będę siedział.

– Zrobione. Spytam go, czy nazywa się Lubelic, jeśli tak, to ktoś ma do niego interes.

Kiedy Lemaitre dopijał swoją drugą *fine*, do „Bon Appetit” zaczęli napływać klienci. Usiadł przy wybranym stoliku.

Syn właściciela przeistoczył się teraz z barmana w kelnera, dwoił się i troił, przyjmując zamówienia, przynosząc z kuchni potrawy, wyskakując za kontuar, by nalać piwo, zabrać butelkę wina czy obsłużyć gościa, który chciał wypić spóźniony *aperitif*. Od czasu do czasu rzucał spojrzenie w kierunku Lemaitre'a i lekko przeczący ruch głowy sygnalizował, że oczekiwanej osoby jeszcze nie ma. W pewnym momencie podbiegł, niosąc pełną tacę.

– Przepraszam, iż nie przyjąłem zamówienia, ale tę eskalopkę mogę panu komisarzowi jak najbardziej polecić... – i z wprawą prestidigitatora rozłożył nakrycie, przełożył na talerz zawartość tacy i odpłynął w kierunku innych gości.

Zapewne zapach świeżo usmażonej eskalopki sprawił, że Lemaitre z chęcią zabrał się do jedzenia. Nawet myśl o Marcelle czekającej na niego z obiadem nie wpłynęła na pohamowanie apetytu, kuchnia „Bon Apetit” zasługiwała na taką nazwę.

Kończył już jeść, gdy przyszło mu do głowy, że usłużny syn właściciela mógł go wystawić do wiatru i uprzedzić Lubelica, że interesuje się nim jakiś *flick*. Zaraz jednak uznał to za mało możliwe, właścicielom lokali zbyt zależy na dobrych stosunkach z policją, by poszedł na taki numer.

Zdażył już wypić po obiedzie kawę, kiedy przed jego stolikiem stanął wysoki, ciemny chłopak o chmurnej twarzy i zrosniętych brwiach.

– Podobno ma pan do mnie jakiś interes?

Lemaitre wskazał mu krzesło, by usiadł. Chłopak przyglądał mu się dłużej chwilę, wahając się, czy ma skorzystać z tej propozycji. Nie spodziewanie zjawił się barman i bez słowa postawił na stoliku dwie filiżanki z kawą. To poskutkowało, Orchan Lubelic usiadł.

Lemaitre bez pośpiechu rozwinął z papierka kostkę cukru, wrzucił do kawy i mieszając łyżeczką powiedział:

– Szuka pan jakiegoś dorywczego zajęcia?

Chłopak znów się nastroszył:

– Kto panu o tym powiedział?

– Doszło do mnie całkiem okrężną drogą. Jeśli to pana tak interesuje, wiadomość ta wyszła od Suzanne Percot, pokojówki zmarłej pani Bossac. Wspomniała komuś, że zatrudniała ona pana do robót w ogródku i garażu. A może ten ktoś pytał ją, czy nie zna kogoś odpowiedniego, bo ktoś tam poszukuje pracownika, nie ma to chyba żadnego znaczenia. W każdym razie proszono mnie, bym się z panem skontaktował. Ale nim pana odnalazłem, trochę to trwało, panna Suzanne wiedziała tylko, jak się pan nazywa i że studiuje pan na Sorbonie, możliwe więc, że propozycja pracy okaże się już nieaktualna, ale ja chcę się wywiązać z danej obietnicy odnalezienia pana.

Orchan Lubelic jakby się odprężył i stracił nieufność.

– Mogę wziąć każde zajęcie, byle nie codziennie. O jaką pracę chodzi?

– Nie chcę udzielać niekompetentnych informacji, dowie się pan od ewentualnego pracodawcy. Podam panu telefon. I jeszcze jedno: osobie tej zależy na referencjach, kto mógłby ich udzielić?

Chłopak znów spochmurniał.

– Przecież wie pan, że pani Bossac nie żyje.

– Dawno przyjechał pan do Francji?

Odburknął:

– Kilka lat...

– No to zdążył już pan porobić sporo znajomości, proszę mi podać jakieś nazwiska.

– Nazwiska kolegów na nic nikomu się nie zdadzą. Mogą najwyżej powiedzieć, że mnie znali, i co z tego?

– Ale przecież z czegoś się pan przez te lata utrzymywał?

Lubelic ściągnął swe zrosnięte brwi, które teraz tworzyły szeroką poziomą krechę.

– Widocznie miałem z czego, to moja sprawa i nikomu nic do tego.

– I przed pracą u pani Bossac nie miał pan żadnej płatnej roboty? Nawet studenci utrzymywani przez rodziców mają się różnych zajęć, by zarobić na ekstra wydatki.

– Trudno spamiętać wszystkie dorywcze roboty...

– Wystarczy, jak pan sobie przypomni ostatnią przed zajmowaniem się ogródkiem pani Bossac. Może się pan nie obawiać, nie jestem pracownikiem urzędu finansowego, tropiącym niezapłacone podatki. – Ostatnie zdanie mógł Lemaitre z czystym sumieniem zaakcentować.

– Przez parę godzin dziennie zajmowałem się starym inwalidą, woziłem go w wózku na spacer i tym podobne...

– Nazwisko i adres?

– Jule Froisier, rue des Morillons 37.

– Dlaczego przestał pan tam pracować?

Minęła dłuższa chwila, nim odpowiedział:

– To był nudny, nieznośny starowina i nie pasowała mi praca co dzień, zbyt dużo czasu traciłem na dojazdy.

– Źle płacił?

– Dłużej mi się tam nie opłacało.

– Ale nie rozstał się pan z nim źle?

– Nie... – i pośpiesznie dorzucił. – Muszę już wracać do swego stolika, czekają na mnie. Niech pan da ten telefon. – Wyjął długopis i sięgnął po papierową serwetkę, by zapisać.

– Skoro pan się teraz spieszy – Lemaitre przerwał, by zapalić papierosa, zaciągnął się i dopiero wtedy dokończył:

– Umówmy się tak: powtórzę memu znajomemu to, czego się od pana dowiedziałem, i jeśli, jak zaznaczyłem na początku, propozycja tej pracy jest nadal aktualna, zostawię tutaj u barmana wiadomość, kartkę z nazwiskiem i telefonem. Może więc pan wracać do stolika swych

znajomych. – Zastukał głośno na kelnera, akcentując, że uważa rozmowę za skończoną. Odniósł wrażenie, jakby Orchan Lubelic się zawahał, chciał coś powiedzieć i zrezygnował. Wstał i rzuciwszy: „Dziękuję za kawę” szybko odszedł.

\*

Nazajutrz z samego rana Lemaitre wezwał inspektora Moulina i podał mu nazwisko i adres inwalidy, który zatrudniał Lubelica.

– Niech pan tam jedzie zaraz i wyciągnie od niego wszystko, co może powiedzieć o tym chłopaku. Froisier ponoć jest stary i nudny, ale tym lepiej, bo jest szansa, że będzie opowiadać drobiazgowo, a w naszej pracy drobiazgi bywają czasem diablo ważne, liczę na pana dobrą pamięć. Jako przyczynę przyjscia może pan podać chęć zdobycia referencji, bo pana ciotka chce chłopaka zatrudnić, niech pan sobie sam wymyśli, w jakim charakterze. Jeśli panu przyjdzie do głowy jakiś lepszy powód wizyty, tym lepiej. I zaraz po powrocie proszę mi dać znać.

Ku zdziwieniu Lemaitre'a Moulin nie skontaktował się z nim do południa. Stary Froisier musi być rzeczywiście nieznośnym gadułą – pomyślał. Postanowił nie czekać teraz dłużej na inspektora i wyskoczyć do najbliższego bistro. Gdy wróci, zastanie już pewnie Moulina i zdąży z nim porozmawiać, nim o w pół do drugiej przyjdzie żona ministra Debranche'a.

Moulin zjawił się dopiero o pierwszej z wiadomością, iż Jule Froisier nie żyje, został zamordowany w kwietniu ubiegłego roku. Dowiedział się tego od dozorczyńni, do której poszedł, gdy okazało się, że w mieszkaniu Froisiera mieszkają zupełnie inni ludzie. Pojechał więc do dzielnicowego komisariatu po dokładne informacje. Zabójstwo było na tle rabunkowym. Morderca zabrał z biurka pieniądze i numizmaty dużej wartości, które inwalida całe życie zbierał. Sprawcy nie znaleziono.

Froisier został zabity uderzeniem w głowę, znalazła go nieżyjącego w inwalidzkim wózku siostrzenica, która miała klucze od mieszkania. Zamki nie były uszkodzone, wyglądało na to, iż do drzwi zadzwonił ktoś, kogo Froisier znał. Lubelic od pewnego czasu już u niego nie pracował, sprawdzono, oczywiście, dokładnie jego alibi, jak i wszystkich możliwych znajomych starego. Alibi Lubelica było niepodważalne, był w tym czasie w Sorbonie na seminarium, potwierdził to prowadzący je profesor, był również jego podpis na liście studentów. Zajmujący się tą sprawą inspektor Janot, z którym Moulin zjadł drugie śniadanie i który mu to wszystko opowiadał, doszedł w końcu do wniosku, że morderca musiał podać się za inkasenta lub listonosza i Froisier bez obawy otworzył drzwi. Śledztwo ciągnęło się rok bez rezultatu, aż wreszcie zamknięto je adnotacją: *ad acta*.

Słuchając relacji inspektora, Lemaitre zasępił się. Wiadomość o zrabowaniu numizmatów obudziła podejrzenie: czy w mieszkaniu Adeliny Bossac rzeczywiście nie było żadnego rabunku?

– Czy morderca Froisiera w poszukiwaniu łupu splądrował mieszkanie? – zapytał nagle Moulin.

– Nie. Mieszkanie początkowo wydawało się siostrzenicy nie naruszone. Widać pierwsze kroki morderca skierował do biurka i łup od razu wpadł mu w ręce, nie musiał dalej szukać – odparł nieco zdziwiony tym pytaniem Moulin.

Czy Debranche i jego żona, nie mówiąc o służbie, musieli wiedzieć o wszystkich kosztownościach, które miała u siebie Adelina Bossac? – myślał szybko Lemaitre. Z mieszkania mogło coś zniknąć przed tym, nim spadła na nią kamienna waza, i mogła tego jeszcze nie zauważyć...

– No, cóż... – Lemaitre odchylił się w głąb swego obrotowego fotela opierając ręce na poręczach. – Gdyby pana z zupełnie nie związanych z tą sprawą powodów bardzo, ale to bardzo interesowała osoba

Orchana Lubelica, co by pan teraz zrobił, dowiedziawszy się, czego pan się dzisiaj dowiedział?

Moulin uśmiechnął się nieznacznie.

– Sprawdziłbym raz jeszcze nader dokładnie i dociekliwie jego alibi w tamtej sprawie.

Lemaitre uśmiechnął się również.

– Otóż to. Chciałbym tylko jeszcze przypomnieć, że trzeba to zrobić „koronkowo”, Lubelic nie powinien się o tym dowiedzieć.

Ta ostatnia uwaga ubodła inspektora.

– To chyba oczywiste – odparł wstając.

– Nie będę oczekiwał zbyt szybkiej rewizji tego alibi – Lemaitre chciał zatrzeć skutek swych ostatnich słów – wiem, że czeka pana ciężka, trudna robota, ale wiem też, że mimo tego, świetnie pan sobie z nią poradzi.

Kiedy Moulin wyszedł, Lemaitre pomyślał o sobie z niesmakiem: postępuję idiotycznie, zupełnie, jak stary Rondonier, któremu się wydaje, że potrafi chytrze podbić komuś bębenka...

\*

Pierwszą reakcją Lemaitre'a, gdy zobaczył Denise Debranche wchodzącą do jego gabinetu, było mimowolne uznanie dla jej urody. Stwierdził, iż „w pełnym rynsztunku” wygląda wręcz znakomicie i może śmiało konkurować z dwudziestolatkami.

Nie ulegało wątpliwości, iż Denise Debranche odczytała tę opinię w oczach Lemaitre'a, bo natychmiast uśmiechnęła się do niego czarująco. To z kolei ostudziło jego podziw. Od wizyty w jej domu czekał na dzisiejszą rozmowę, która nie miała być rozmową towarzyską.

Poprosił ją, by usiadła. Sam, siedząc w swym obrotowym fotelu za biurkiem, w milczeniu przeglądał notatki Chartiera.

– Pan chciał, abym...

Przerwał jej ruchem dłoni.

– Będę za chwilę zadawać pani pytania, na które proszę odpowiedzieć – i znów wrócił do przeglądania papierów.

Zachowanie Lemaitre'a wytrąciło panią Debranche z równowagi.

– Nigdy nie byłam wzywana na policję.

Pominał jej słowa milczeniem. Siedziała teraz zdetonowana.

Wreszcie oderwał wzrok od notatek i obojętnym głosem zapytał:

– Kim jest pan Breçon?

Poruszyła się gwałtownie.

– Pan Breçon? – powtórzyła, jakby chciała zyskać na czasie. – Znajomym cioci Adeliny, zapraszała go na brydża.

– O tym wiem. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej. Zdaje się, że jest udziałowcem w jakiejś spółce francusko-amerykańskiej? Podobno też zaangażowany jest w polityce?

– Możliwe... chyba tak...

– Prosiłbym o konkretne stwierdzenia. Nie jest pani tego pewna?

– Nie.... a raczej tak.... ale nie chciałabym udzielać szczegółowych informacji, żeby czegoś nie poplątać, nie pomylić się.

– Był stałym gościem brydżowych spotkań?

– Tak.

– Od jak dawna?

– Trudno mi odpowiedzieć, przedtem nie przychodziłam tak często do cioci Adeliny... pewnie grywał u niej w brydża od dawna.

– Sądząc z jego wieku był, pominąwszy panią, najmłodszym z brydżystów, więc nie grywał chyba u niej od lat?

Speszyła się.

– Nie wiem... może rzeczywiście dawniej nie grywał..

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę i usłyszał przejęty głos Chartiera:



– Jobert kupił większość udziałów w „L'Echo de France”. Mój informator przypuszcza, że Jobert tylko firmował kogoś. Taki pakiet to kupa forsy i gdyby Jobert kupował „L'Echo” dla siebie, musiałby sprzedać inne swoje udziały i akcje, czego nie zrobił. Dowiedziałem się też, że Joberta łączą stosunki z ministrem Debranche'm. Przydadzą się te wiadomości?

– Prawdopodobnie, w każdym razie dziękuję ci. Teraz jestem zajęty – Lemaitre zakończył rozmowę.

Chartier mówił do słuchawki głośno, spojrzał więc na panią Debranche, by zorientować się, czy coś dotarło do jej uszu. Ale pani Debranche patrzyła w okno, zaabsorbowana swoimi myślami.

– Co pani może powiedzieć o panu Jobert? – zapytał.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Wiem tylko tyle, że jest przemysłowcem. Nie pamiętam, czy go przedtem w Neuilly spotkałam.

– Ale jest znajomym pani i pani męża?

– Naszym znajomym? Nie. Ale mąż zna tylu ludzi, poza tym nie żyjemy wyłącznie z jego ministerialnej pensji. Jak pan wie, jego ojciec był współwłaścicielem jednego z francuskich banków.

Lemaitre o tym nie wiedział. Nie spytał jednak, który bank był w rękach Debranche'ów, sprawdzenie nie będzie trudne, po cóż miał rozwiewać przekonanie pani Debranche o wszechwiedzy komisarza policji.

– A pan Dudeval? Co mogłaby pani o nim powiedzieć?

– Znów pana rozczaruję, bo prawie nic – spojrzała na niego z uśmiechem.

Nie miał złudzeń, że ten uśmiech przywołała z wprawą towarzysko wyrobionej osoby, chcąc zmienić nastrój rozmowy.

– Tyle wiem, że jest dziennikarzem. Pewnie dlatego pan Jobert przyprowadził tę małą aktoreczkę do cioci Adeliny na obiad, bo chciał, by Dudeval zrobić jej reklamę – znów się uśmiechnęła.

– O panu Arnaud też pani tak niewiele wie? – zapytał sucho.

Zmarszczyła brwi.

– O panu Arnaud wiem, że bywał od dawna, ciocia Adelina traktowała go prawie jak domownika.

– Pan Pelade?

– Również znała go od dawna, tak jak panią Tressaille. O ile się nie mylę, z panią Tressaille chodziły razem do szkoły, w każdym razie znały się od wczesnej młodości. – Znudzony ton jej wypowiedzi świadczył, że wobec zachowania Lemaitre'a towarzyskie formy uznaje za zbędne.

Popatrzył jej prosto w oczy.

– Wyjaśniłem już pani przedtem, dlaczego interesują mnie ludzie, którzy w dniach pierwszego i drugiego kwietnia byli gośćmi bliskiej krewnej pani męża. To, czego się od pani dowiedziałem, mówi o nich bardzo niewiele; nie usłyszałem też pani opinii o nich, których za naszym pierwszym widzeniem nie udzieliła mi pani, tłumacząc to brakiem czasu.

– Trudno mi wydawać opinię o gościach, którzy nie byli przecież moimi gośćmi. Być może, więcej szczegółów uda się panu dowiedzieć od służby.

Nie ulegało wątpliwości, że chciała uświadomić Lemaitrowi, iż zniża się do pouczenia maluczkich.

– Myślę, iż byłoby lepiej, gdybym się ich dowiedział wpierrw od pani – odparł spokojnie. – Ale trudno.

Wstał.

– Jeśli będę od pani potrzebował jeszcze jakichś informacji, dam znać.

Nie podając mu ręki, skinęła na pożegnanie głową. Gdyby w tej chwili zapytano Lemaitre'a, co myśli o wielkiej finansjerze, z jego

odpowiedzi wzięto by go za zajadłego komunistę, choć w rzeczywistości jego poglądy polityczne były raczej umiarkowane i jeśli oscyływały trochę w kierunku lewicy, to w bardzo niewielkim stopniu. Mimo przewidywania, że z pierwszych przesłuchań Denise Debranche niewiele się od niej dowie, zły był, iż nie mógł ani razu przyprzeć jej do muru. Na obecnym etapie śledztwa było to zresztą niemożliwe, zbyt mało jeszcze w tej sprawie wiedział, nie mógł nawet zaryzykować bluffu. Dopalając gitana, zaciągnął się ostatni raz mocno i zgasiwszy niedopałek połączył się z sekretariatem Rondoniera, i zapytał, czy szef może go teraz przyjąć.

– Muszę znać stan finansów i źródła pozaministerialnych dochodów ministra Debranche'a – oznajmił z impetem, ledwo wszedł do gabinetu dyrektora. – Ponieważ zgodnie z pana żądaniem muszę prowadzić śledztwo bez zwracania na nie niczyjej uwagi, myślę, że na pana zlecenie odpowiednie komórki przedstawią panu dane o prywatnych dochodach członków obecnego gabinetu, z czego udostępni mi pan to, co dotyczy Debranche'a.

– Oczywiście, można to zrobić – potaknął Rondonier zaskoczony gwałtownością wystąpienia. – Ma pan jakieś trudności?

Lemaitre spojrział na niego spođe łba.

– Jak na dochodzenie, które musi być prowadzone w rękawiczkach, chyba normalne, jeśli normalne jest, że żona dygnitarza nie, przyjmuje do wiadomości, iż jest przesłuchiwana w sprawie, w której chodzi o morderstwo.

– Nie zachował się pan chyba nieuprzejmie w stosunku do pani Debranche? – zaniepokoił się Rondonier. – Nie chciałbym, żeby jej mąż miał do nas pretensje.

– Niestety, nie zachowałem się niegrzecznie wobec pani Debranche, ze szkodą dla tempa prowadzenia śledztwa.

– Mówiłem przecież panu, że czas w tym przypadku nie odgrywa roli...

– Ależ oczywiście, od razu przyjąłem do wiadomości, że aksjomat, który wbija się policjantom do głowy, iż czas działa na korzyść przestępcy, nie zawsze jest aksjomatem.

Rondonier udał, że nie dostrzega ironii.

– Jak zwykle wyjątki potwierdzają regułę. Wracając zaś do pana prośby, zaraz wydam w tej sprawie polecenie i jak tylko otrzymam te dane, natychmiast przekażę je panu.

Lemaitre wyszedł z gabinetu szefa niemal odprężony; gdyby nie wyładował przy nim swojej irytacji, nie pozbyłby się jej przez cały dzień. Kiedy wrócił do swego pokoju, zastanowił się, czy dobrze zrobił, nie powtórzywszy Rondonierowi wiadomości, jaką otrzymał od Chartiera. Ale przecież zdążył to zrobić, gdy potwierdzą się przypuszczenia, że Jobert kupił większość udziałów w „Echo” w imieniu Debranche’a. Mieć w swoim ręku taki organ, to jest coś; choć każdy czytelnik gazet się zachnie, prasa nader skutecznie potrafi manipulować ludźmi, urabiać ich nastroje i opinie. „Echo de France” jest poczytną gazetą. Jeżeli Debranche ją kupił, to jako instrument działania, a nie lokatę kapitału. Z rentownością gazet często bywa krucho, nierzadko zdarzają się finansowe plajty. Ale mógłby kupić „Echo”, bez ryzyka utraty majątku i bez naruszenia stanu posiadania, za pieniądze, które by mu wpadły dodatkowo, których dotychczas nie miał... Na przykład ze spadku po Adeline Bossac...

Doszedłszy do tego wniosku, uprzytomnił sobie, że Chartier nie powiedział dokładnie, kiedy transakcja sprzedaży akcji została przeprowadzona. Jak na złość, telefon w pokoju podinspektora był zajęty.

Na widok wchodzącego do pokoju inspektorów komisarza Chartier wyskoczył zza biurka. Usłyszawszy, że Lemaitre chce znać datę wykupienia akcji „Echo”, stropił się mocno. O to swego informatora nie

zapytał. Był tak zmartwiony, iż pokpił sprawę, która okazała się ważna, że zmusił Lemaitre'a do powiedzenia pocieszająco:

– Nic straconego, jeśli się tego dowiesz – i dodał już normalnym tonem: – Zależy też mi na tym, by sprawdzić, czy rzeczywiście Jobert był podstawiony przez Debranche'a, nie działaj więc zbyt pochopnie, chciałbym mieć wiadomości zupełnie pewne. Twój informator dla sprawdzenia tego musi mieć trochę czasu i nie trzeba go zanadto przyciskać, by nie odniósł wrażenia, iż ta wiadomość jest dla ciebie specjalnie ważna.

\*

Dom, w którym mieszkała Thérèse Tressaille, był solidną dużą kamienicą wybudowaną na początku stulecia, z szeroką klatką schodową ozdobioną sztukateriami. Windą wykładaną mahoniem i umieszczoną w okratowanym szybie Lemaitre wjechał na trzecie piętro. Nie zapowiedział swej wizyty telefonicznie i liczył się z tym, iż pani Tressaille może nie zastać, wołał jednak w tym przypadku ryzykować metodę zaskoczenia.

Osoba, która otworzyła mu drzwi, okazała się panią Thérèse Tressaille. Kiedy się przedstawił i powiedział, że chciałby u niej zasięgnąć pewnych informacji, spytała:

– Nie pomylił pan przypadkiem nazwisk? Czy na pewno ze mną chce pan rozmawiać?

– Jak najbardziej z panią.

Zaprowadziła go do niedużego pokoju o nie określonym charakterze, który ze względu na biurko i biblioteczną szafę mógłby uchodzić za gabinet, czemu przeczyły jednak ogromna kanapa, pufy, serwantka i małe stoliczki.

Wskazała mu miejsce na kanapie, po czym usiadła w jej drugim końcu, obróciwszy się w jego stronę.

– Jest pan pierwszym komisarzem policji, którego widzę nie na filmie, a w życiu – powiedziała.

Ugryźł się w język, żeby nie odpowiedzieć, iż jest pierwszą poznaną przez niego kobietą po pięćdziesiątce, która nie dokłada żadnych starań, by wydawać się młodsza. Włosy miała bardzo mocno szpakowate, twarz bez makijażu, a granatowa suknia spięta była pod szyją broszką.

– Domyślam się – odpowiedział – że konfrontacja wypada na korzyść filmu.

– Bo ja wiem... – przechyliła nieco głowę. – Nie jestem tego pewna. Według mnie komisarz policji nie powinien wyglądać na supermana ani z drugiej strony tak szmatłowo jak Colombo, a pan robi wrażenie zwykłego, przyzwoicie wyglądającego człowieka. Ale może pozory mylą i potrafi pan w pościgu za przestępcą wyskoczyć z trzeciego piętra, nie robiąc sobie krzywdy, i stoczyć walkę z dziesięcioma terrorystami, unieszkodliwiając ich wszystkich, a na podstawie znalezionej w podmiejskim pociągu niedopałka odnaleźć w Paryżu ukrywającego się przestępcę.

Mimo woli roześmiał się.

– Niestety, nic z tych rzeczy.

– A więc cieszę się, że moje spostrzeżenia są trafne. Napije się pan koniaku? Będę mogła pochwalić się znajomym, że piłam *fine* z komisarzem P. J.

– Muszę zrezygnować z tej propozycji, nie mogę stwarzać okazji, aby pani komukolwiek o naszym spotkaniu opowiedziała.

– O!... – popatrzyła na niego bardzo bystro. – A więc?...

– A więc, przede wszystkim, muszę zastrzec poufność naszej rozmowy, powodów, niestety, nie mogę pani wyjawić. Przyszedłem porozmawiać o zmarłej na skutek nieszczęśliwego wypadku pani znajomej, Adelinie Bossac.

– Chwileczkę. Jeśli pan nie chce, to trudno, ale ja zaserwuję sobie jednak *fine*.

Wstała, podeszła do serwantki i wyjęła z niej butelkę koniaku i kieliszki.

– Przyjęłam do wiadomości zastrzeżenia o dyskrecji, więc może się pan jednak napije?

Potrząsała przecząco głową.

Nalała sobie kieliszek i wypila spory łyk.

– Słucham dalej.

– Od jak dawna znała pani Adeline Bossac.

– Och, od wieków... To znaczy od czasów liceum.

– Czyli przyjaźń od ławy szkolnej?

– Można to tak nazwać. Rzeczywiście w szkole przyjaźniłyśmy się bardzo. Wie pan, takie dziewczęce przyjaźnie były wtedy nagminne, w tamtych czasach nie było instytucji boy-frienda i dziewczęta przyjaźniły się tylko między sobą, dziś to zdaje się zupełnie zanikło. Potem, gdy obie weszłyśmy w życie, pewne więzy pozostały, choć nie była to już, oczywiście, dawna przyjaźń od serca, nasze serca zaczęły już zajmować mężczyźni. Byłyśmy, zresztą, bardzo różne. Nie wiem, czy gdybym poznała Adeline w dorosłym życiu, mogłabym się z nią szczerze zaprzyjaźnić, ale dawna szkolna przyjaźń była zawsze jakąś spinającą nas kłamrą, no i znałyśmy się jak łyse konie...

– Rozumiem. Ale w każdym razie zna pani przebieg życia pani Adeliny Bossac?

– Oczywiście.

– Jej śmierć była dla pani zaskoczeniem?

– Cóż za pytanie! – zachnęła się – jasne, że była zaskoczeniem dla każdego, kto ją znał. Chyba każda śmierć w nagłym wypadku musi być zaskoczeniem i w pierwszej chwili trudno w nią uwierzyć. Adeline była tak pełna energii i nie dopuszczająca do siebie myśli o starości, że był to grom z jasnego nieba.

– Musiała jednak myśleć nie tylko o starości, ale i o śmierci, skoro spisała swego czasu testament.

Pani Tressaille poruszyła przecząco dłońmi.

– To nie ma żadnego związku. Każdy to robi, kto rozporządzą dużym majątkiem, a Adelina go miała. Jak się prowadzi bieżące operacje finansowe, planuje się i następne, obmyśla się zamierzenia na przyszłość; w takich przypadkach testament jest jakby planowaniem perspektywnym, dbałością o nasze finanse, gdy nas nie będzie.

– Pani również zrobiła testament? – wtrącił szybko.

– Nie mam pieniędzy Adeliny, lecz mam córkę, nie muszę więc go robić. Wszystko, co mam, przypadnie jèj z mocy prawa. Adelina zrobiła testament, kiedy po śmierci męża musiała sama zacząć zawiadywać swym majątkiem. Nie miała przecież dzieci.

– Tak, ale przed rokiem postanowiła go zmienić. Zabrała przechowywaną u doradcy finansowego jego kopię, przy sporządzaniu nowego nie zwróciła się już do niego o pomoc. Czy wie pani, dlaczego go chciała zmienić?

– Nie wie pan dlaczego ludzie czasem zmieniają zapis testamentowy?

– Na ogół wówczas, kiedy dochodzą do wniosku, iż wobec jakichś zaistniałych okoliczności ich ostatnia wola jest teraz inna niż ta, którą przedtem w testamencie wyrazili.

– Dlaczegoż więc pyta mnie pan o przyczynę?

– Bo chciałbym mieć pewność. Postanowiła zmienić sukcesorów?

– Mogę tylko przypuszczać, nigdy jej testamentu nie czytałam. Wiem natomiast, co z nim zrobiła, bo podarła go na moich oczach.

– W jakich to było okolicznościach?

– W zupełnie zwyczajnych. Byłyśmy umówione, że po południu wpadnę do niej. Gdy przyszłam, siedziała w sypialni przy sekretarce, przeglądając jakieś papiery. Już kończę – powiedziała, kiedy weszłam.

– Nie przyjmowała pani w living-roomie?

– To zależy, popołudniami, gdy byłyśmy same, często siedziałyśmy na górze u niej. Mogłam swobodnie wyciągnąć nogi na kozetce, a



Adelina wygodnie ulokować się na łóżku.

– Przepraszam, że przerwałem. Co było dalej?

– Złożyła papiery i wsunęła je do którejś z szufladek, z wyjątkiem jednego, który złożyła i podarła, po czym podarte kawałki wrzuciła do kominka i przytknęła do nich zapaloną zapałkę.

– Wiesz, co teraz palę? – zapytała.

– List miłosny od rzeźnika, który mógłby cię skompromitować – odpowiedziałam żartem coś w tym rodzaju.

– Testament – wyjaśniła. – Muszę zadać sobie trochę trudu i zrobić nieco inny – dodała. I więcej na ten temat nie było mowy.

– Jakie były jej stosunki z bratankiem i jego żoną?

– Nie miała sama dzieci, więc do Jeana była bardzo przywiązana, u Denise doceniała jej urodę, sposób ubierania się, obie były wobec siebie bardzo poprawne.

– Pan Debranche odwzajemniał uczucia ciotki?

– W dzieciństwie każdy ma jakąś ukochaną babkę czy ciotkę, ale nie spotkałam nikogo dorosłego, dla kogo babka lub ciotka byłaby taką ukochaną osobą. Adelina była dla niego krewną w nie prostej linii i myślę, że niczym więcej, choć, oczywiście, odnosił się do niej zawsze z należytą atencją.

– Pani Bossac nie poinformowała pani o treści drugiego testamentu?

– Nie. Zresztą, z jakiego powodu miałyby to robić?

– Tego testamentu ani w sekretarze, ani w biurku w gabinecie nie znaleziono. Orientuje się pani, gdzie mogła go przechowywać?

– Nie mam pojęcia. Poprzedni chyba wyjęła z papierów trzymany w sekretarzyku, więc skoro go tam nie ma, to... – wzruszyła lekko ramionami – może w ogóle go nie ma?

– Chce pani powiedzieć, iż nie zrobiła drugiego testamentu?

– Nie wiem, ale zupełnie możliwe. Może nie mogła się zdecydować na taki czy inny zapis, może uzależniła to od jakichś okoliczności,

które umocniłyby jej decyzję...

– Ale skoro zrobiła pierwszy – jak pani mi wytłumaczyła – dla porządku spraw finansowych i niszcząc go powiedziała pani, że musi zrobić inny?

– Pierwszy zrobiła dawno, kiedy zaczęła sama zajmować się swym majątkiem, i na pewno miała zamiar zrobić drugi, ale z tych czy innych przyczyn mogła z tym zwlekać, lecz naprawdę nie wiem i nie mogę panu udzielić na ten temat żadnych konkretnych informacji.

Lemaitre obrzucił wzrokiem pokój, nie zauważył jednak nigdzie popielniczki. Wynikało z tego, że pani Tressaille jest osobą niepalącą, nie wytrzymał jednak i zapytał:

– Nie przeszkodzi pani, jeśli zapalę papierosa?

– Najzupełniej nie – uśmiechnęła się – chociaż do stereotypowego wizerunku komisarza P. J. bardziej pasowałaby fajka. Zaraz przyniosę popielniczkę. – Wyszła i za chwilę wróciła z porcelanową popielniczką wielkości dużego talerzyka.

– Znajomi, którzy mnie odwiedzają, przeważnie okropnie kopcą, małe popielniczki trzeba było bez przerwy opróżniać – wyjaśniła, po czym usiadłszy popatrzyła na zaciągające się dymem Lemaitre'a.

– Ciekawa jestem, jakie będą następne pytania? Bo nie przypuszcza pan chyba, że nie będę próbowała wyciągnąć jakichś wniosków z tej rozmowy, zbyt pańska wizyta mnie zaintrygowała, bym nie próbowała dociec, niestety zgodnie z pana żądaniem tylko na własny użytek, gdzie w tym wszystkim „leży pies pogrzebany”. Bo o coś konkretnego musi panu chodzić. Ciekawa jestem, czy analizując pana pytania wpadnę na jakiś trop? Ale, jak dotychczas nic tego nie zapowiada, jestem jak tabaka w rogu... – westchnęła i szybko dodała: – Czy nie zabawne jest, jak długo używa się przysłów, których treść dawno przebrzmiała? Od stu lat nie używa się tabaki, a chyba ze dwieście, kiedy trzymano ją w rogu...

Lemaitre nie mógł pozwolić sobie na odpowiedź, że w odniesieniu do siebie również mógłby użyć tego samego przysłowia. Zamiast tego powiedział:

– Dwa dni przed śmiercią pani Bossac grała pani u niej w brydża razem z panem Pelade i panem Arnaud. Pan Pelade, zdaje się, również należał do jej dawnych znajomych?

– Znajomych? – Thérèse Tressaille roześmiała się. – Można by i tak to nazwać. Ale pana określenie wydało mi się zabawne, gdyż Gaston Pelade był swego czasu mężem Adeliny...

– Był jej pierwszym mężem? – zaskoczenie Lemaitre'a było zupełne.

– Gdyby go pan poznał w młodości, mógłby się pan nie dziwić. Patrząc teraz na niego, trudno to sobie wyobrazić, bardzo się w ostatnim czasie posunął, ale był szalenie przystojny i Adelina zagięła parol na niego, w końcu udało się jej swego dopiąć i zaciągnęła go do ołtarza.

– Z pani słów wynika, że niełatwo było go tam zaciągnąć?

– Który młody człowiek pali się natychmiast do żeniaczki, nawet wtedy, kiedy wydaje mu się, że jest zakochany, a Gastonowi dość długo tak się nie wydawało. Ale Adelina potrafiła go w końcu o tym przekonać.

– A potem dość szybko doszła do wniosku, że zrobiła to niepotrzebnie? O ile wiem, małżeństwo trwało krótko.

– Chyba ze cztery lata, ale to nie ona zażądała rozwodu.

– On?

– Tak i bardzo szybko ożenił się po raz drugi. Dla Adeliny była to największa życiowa porażka...

– A więc była to tzw. wielka miłość jej życia?

– W tym małżeństwie kochała przede wszystkim siebie i nie mogła się pogodzić z myślą, że Gaston odszedł od niej dla innej kobiety.

– I mimo rozejścia się utrzymywała z pierwszym mężem stały kontakt?

– Nie, to było przedtem nie do pomyślenia, zbyt zranił jej miłość własną. Ale w końcu każda rana się zabliznia, nawet zranionej miłości własnej, choć ta goi się najdłużej. Kontakt nawiązał się przeze mnie. Przed dwoma laty natknęłam się na Gastona przypadkiem na ulicy. Lubiłam go swego czasu i on mnie chyba lubił, bo obydwójce i ucieszyliśmy się z tego niespodziewanego spotkania. Od tamtej pory odwiedzał mnie od czasu do czasu, nigdy jednak w rozmowie nie zahaczaliśmy o osobę Adeliny. Byłoby tak pewnie zostało, gdyby nie sprawa jej wtorkowych brydżów. Co wtorek grywało się u niej w brydża, dobrych parę lat w tym samym składzie: Adelina, ja, George Arnaud i Leon Maçon, póki Maçon nie dostał zawału, po którym córka zabrała go do siebie na wieś. I Adelina musiała łątać wtorkowego brydża, ściągając za każdym razem kogoś innego, kto akurat miał czas i mógł przyjść, było to uciążliwe. Pomyślałam wtedy o Gastonie. Nie trzymały go w domu obowiązki rodzinne, od dawna był wdowcem, jego druga żona zginęła w wypadku samochodowym, z interesów prawie się wycofał, miał więc czas, i nic nie mówiąc umówiłam się z Adeliną u mnie tego dnia, kiedy zapowiedział swą wizytę Gaston. Po pierwszym momencie zaskoczenia poszło nadspodziewanie dobrze, obydwójce odnieśli się do siebie jak normalni znajomi. I gdy potem podsunęłam Adelinie myśl, że Pelade mógłby we wtorki zastąpić Maçona, wzruszyła tylko ramionami i powiedziała: „Właściwie, czemu nie? Szukanie co tydzień czwartego zajmuje za dużo czasu. Możesz go przyprowadzić w najbliższy wtorek.” Nie była to zbyt elegancka forma zaproszenia i nie byłam pewna, czy je przyjmie. Zapusiłam więc sondę, zatelefonowałam do niego i rozmawiając o tym i owym, wtrąciłam: „byłabym zapomniała, Adelina pytała, czy zagrałbyś u niej co wtorek w brydża, chcemy skompletować stałą partię”. Odpowiedziała mi długa cisza i już myślałam, że nic z

tego, kiedy odparł niemal dosłownie tak jak ona: „Właściwie... mógłbym...”

– Kiedy to było?

– Kiedy został czwartym do brydża? O, dobrze ponad rok, to była jesień, chyba październik, może początek listopada.

– I nie odniosła pani potem wrażenia, że mogliby się ponownie zejść?

Potrząsnęła energicznie głową.

– Najzupełniej nie. On przychodził tylko na brydża, a ona, gdyby myślała o legalnym związku, to na pewno nie z nim...

– A więc był ktoś taki? Do ostatka? Kto?

Thérèse Tressaille wypiła zalegającą dno kieliszka resztę koniaku.

– Powiedziałam panu, że Adeline i mnie łączyło raczej wspomnienie dziewczęcej przyjaźni i proszę nie wymagać ode mnie, abym mówiła o jej osobistych sprawach, do czego nie jestem upoważniona.

– Czy fakt, że pytanie zadaje funkcjonariusz P. J., nie stanowi dla pani wystarczającego upoważnienia?

– Nie – odpowiedziała swobodnym tonem. – Odpowiadałam panu dotychczas na wszystkie pytania, ale o sprawach dotyczących domeny jej najbardziej osobistego życia nie mogę mówić.

– Ale wie o nich pani?

– Tylko dlatego, że znałam ją na tyle dobrze, iż mogłam się sama w nich zorientować, okres wzajemnych zwierzeń skończył się wraz ze szkołą.

– Informacje na temat pierwszego małżeństwa pani Bossac dotyczyły także jej spraw najbardziej osobistych, a jednak udzieliła mi ich pani.

– To należało do zamierzonej przeszłości i wszyscy o tym wiedzieli.

Lemaitre zapalił następnego papierosa.

– Powiedziałem pani, iż nie mogę podać powodu, dla którego zadaję pani te wszystkie pytania. Mogę tylko powiedzieć, że jest wystarczająco ważny i, gdyby pani go znała, nie wątpię, iż pozbyłaby się pani skrupułów. Nie mam jednak żadnego prawa zmuszać pani do odpowiedzi. – Strząsnął popiół do popielniczki, zdusił w niej niedopalonego papierosa i odwróciwszy głowę w stronę Thérèse Tressaille spojrzął jej prosto w oczy:

– Czy może pani mi powiedzieć, jak długo trwała ostatnia „osobista sprawa” pani Adeliny Bossac?

– O, dobrych parę lat.

– Spotykała pani tę osobę u niej w domu?

– Oczywiście.

– Czy poza panią inni znajomi także o tym wiedzieli?

– Nie wiem, myślę, że niektórzy się domyślali.

Rozległ się dzwonek. Pani Tressaille poszła otworzyć i nie wracała przez kilka minut. Lemaitre poczuł się nagle zmęczony. Niech diabli wezmą dochodzenia, które muszą być prowadzone w tak idiotyczny sposób! Że też nie umiałem się wykręcić, kiedy stary wpychał mi tę sprawę! – pomyślał z irytacją. Żałował też, iż odmówił proponowanego mu przez panią Tressaille kieliszka koniaku. Pani Tressaille wróciła z zafrasowaną miną.

– Przepraszam, ale zjawiała się osoba, która przychodzi robić mi większe porządki. Nie będę mogła teraz poświęcić panu więcej czasu... Jeśli chciałby pan jeszcze ze mną rozmawiać, może umówimy się na następne spotkanie.

Lemaitre wstał, zanotował jej numer telefonu i wyszedł z uczuciem ulgi. Zatrzymał swego renault przy pierwszym spotkaniem barze. Zamiast koniaku zamówił dużą whisky z lodem. Z bistro zadzwonił do komisarza Moutton z komisariatu w Neuilly.

– Jak leci? – zapytał Moutton, gdy usłyszał głos Lemaitre'a.

- Tak, jak pan przypuszcza. Nie mam powodów do zachwytu. W słuchawce rozległo się ciche parsknięcie.
  - Dobry pan Bóg chroni starych dzielnicowych policjantów...
  - Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby chronił również i młodszych z Quai d'Orfeves, ale jak dotychczas nic tego nie zapowiada. Ma pan może pod ręką małego Lamiera? Chciałbym z nim porozmawiać.
  - Zaraz sprawdzę. Jeśli jest na miejscu, czy mam go panu przysłać?
  - Wystarczy mi, jak podejdzie do telefonu.
  - Chciałbym wiedzieć, kto był najczęstszym gościem u pani Bossac – powiedział, gdy po dwóch minutach sierżant Lamier zameldował się przy telefonie. – Dowiedz się tego od panny Suzanne.
  - Na to pytanie mogę od razu odpowiedzieć. Był nim pan Arnaud...
  - Orientujesz się również, jaki charakter miały te odwiedziny?
  - Oczywiście. Suzanne nie miała przede mną tajemnic, to znaczy...
  - Rozumiem – przerwał Lemaitre. – Chciałbym jednak, żebyś dowiedział się od niej jak najwięcej szczegółów. Interesują mnie również jej spostrzeżenia dotyczące wszystkich gości, którzy byli u pani Bossac w dniach pierwszego i drugiego kwietnia. Co o nich w ogóle wie, co słyszała i widziała w związku z ich osobami nie tylko w czasie tych dwóch dni. Ile ci na to potrzeba czasu?
  - Wystarczy dzisiejszy wieczór.
  - Nie za mało?
  - Wieczór kończy się ranem – wyjaśnił Lamier. – O której mam się zameldować u pana komisarza? O ósmej?
  - Nie, bądź o dziesiątej.
- Potem zadzwonił do Marcelle z propozycją zjedzenia śniadania na mieście.

Marcelle wybrała małą knajpkę w pobliżu Opery, by móc potem pobuszować w stoiskach Au Printemps i Lafayette. Kiedy zamówił langusty, skwitowała to cichym „O!” i spytała, czy dostał podwyżkę. Zaprzeczył.

– Chciałem się tylko trochę odprężyć.

– W domu nie możesz? – ręka Marcelle sięgająca po *hors d'oeuvre* zawisła w powietrzu.

– Jak najbardziej mogę, po to przecież jest dom. Ale czasem dla odetchnięcia potrzebna jest odrobina niecodziennosci.

Nałożyła na talerzyk sałatkę z karczochów. Nim jednak zaczęła ją jeść powiedziała:

– Może więc powinieneś zjeść to śniadanie nie z codzienną żoną?

Pogłaskał ją po rękę. Zapewne, gdyby nie podwójna whisky, nigdy by tego publicznie nie zrobił.

– Codzienna żona w niecodziennych okolicznościach jest także niecodzienna – zapewnił.

Marcelle poruszyła powątpiewająco głową i zabrała się do jedzenia.

Na Quai d'Orfeves, nim zaczął robić notatki z przedpołudniowej rozmowy, zjrzał jeszcze raz do danych dostarczonych przez Chartiera. Przy nazwisku Thérèse Tressaille były one dość lakoniczne: urodzona Vobert, wiek 53 lata, rentierka, od 3 lat wdowa po Jule Tressaille współwłaścicielu fabryki instalacji sanitarnych. Córka, lat 30, zamężna za François Boude, inżynierem pracującym w Zakładach Metalurgicznych Spółki Boufron-Cottard.

Gdy zanotował przebieg rozmowy, nie był taki z niej zadowolony, jak przedtem. Przegapił możliwość usłyszenia opinii pani Tressaille o Debranche'u, mógł bardziej zahaczyć o jego osobę. Zapewne zna go od dzieciństwa i wie o nim sporo. Oczywiście może to zrobić przy następnym spotkaniu, ale Thérèse Tressaille była osobą inteligentną, co do



tego nie miał wątpliwości; teraz będzie na różne pytania przygotowana i powie tylko to, co będzie uważała, że może powiedzieć, odpadnie moment zaskoczenia, który ułatwia wyłuskanie prawdy. W każdym razie na plus dzisiejszego przedpołudnia może zaliczyć niespodziewane zidentyfikowanie Gastona Pelade jako pierwszego męża Adeliny Bossac. Czy dowiedziałby się tego od kogo innego? Żona Debranche'a nie pisnęła o tym słowa. Czy mogła nie wiedzieć, że człowiek, którego nieraz musiała spotkać na brydżu w Neuilly, był przez parę lat wujem jej męża? Sądząc z wieku syna, Denise Debranche musiała wyjść za mąż jedenaście czy dwanaście lat temu...

Wziął kartkę papieru i zaczął notować daty: Adelina Bossac urodziła się w 1932 r., czyli w 1973 r., kiedy Debranche'owie się pobrali, miała lat czterdzieści jeden i od dawna była żoną Bossaca. Ostatecznie, Debranche mógł nie wtajemniczać żony w sprawy pierwszego małżeństwa jego ciotki lub poinformować ją o tym ogólnikowo. On sam znał Pelade'a na pewno, kiedy małżeństwo Pelade'ów się rozpadło miał kilkanaście lat. Zmiał kartkę i wrzucił do kosza. Przejrzał raz jeszcze zapis rozmowy z panią Tressaille i u dołu ostatniej strony dopisał: zięc – zakłady metalurgiczne, podkreślił to i zaopatrzył wykrzyknikiem. Spojrzał na zegarek, dochodziła szósta po południu. Zdecydował, że na dzisiaj ma dość.

Po obiedzie poszedł z Marcelle do kina i przez cały wieczór udało mu się nie myśleć o sprawie Adeliny Bossac. W nocy śniło mu się, że idą z Marcelle przytuleni do siebie aleją jakiegoś nieznanego parku, w którym nie ma nikogo prócz nich, przez drzewa prześwieca słońce. Kiedy zatrzymał się, by ją pocałować, zobaczył, że obejmuje Denise Debranche i że guziki jej bluzki są krzywo zapięte.

Obudził się. Marcelle spała cichutko przywarta do jego boku. Przez uchylone żeberka blaszanych żaluzji sączyło się światło, nie wiedział – ulicznych lamp, czy księżycy.

Nazajutrz zastał rano na biurku kartkę od inspektora Moulin „Dotyczy Paula Breçona: w 1981 r. kandydował na mera w Melun pod Paryżem. Głośna sprawa z fałszowaniem głosów, wybory unieważniono. Breçon wycofał swą kandydaturę przed powtórzeniem głosowania. Od trzech lat idzie wzwyż po szczeblach swej partyjnej drabiny. Ostatnio uważany jest za prawą rękę przewodniczącego Falcone'a, choć oficjalnie nie należy do najwyższych władz stronnictwa.”

To przez tę aferę łączyłem jego nazwisko z wyborami. Oczywiście był jeszcze za młody, by kandydować przedtem do Zgromadzenia Narodowego – uprzytomnił sobie Lemaitre.

Czym kierowała się Adelina Bossac, zapraszając do siebie przeciwnika politycznego swego bratanka – zastanawiał się. Z tego, co mówiła Denise Debranche, można było wywnioskować, iż nie po raz pierwszy wtedy tam się zjawił.

Odszukał numer Neuilly, by zapytać o to Suzanne. Telefon jednak nie odpowiadał, musiała wyjść po zakupy, o ile nie odsypiała u siebie na górze nieprzespanej nocy. Dopiero po dłuższej chwili uprzytomnił sobie, iż nazwisko Breçon zanotował już podczas swej pierwszej bytności w Neuilly. Suzanne nie znała wszystkich nazwisk gości niedzielnego obiadu, ale wtorkowych brydżystów wymieniła od razu. Nie ulegało więc wątpliwości, że Breçon musiał bywać w tym domu.

Punktualnie o dziesiątej zjawił się sierżant Lamier, Lemaitre wyciągnął w jego kierunku gitany.

- Zdążyłeś się wyspać?
- Nie za bardzo.

Lemaitre zadzwonił do portierni, by posłali woźnego do bufetu po dwie duże kawy.

– Zdążyłeś choć zjeść *croissanta*? – upewnił się nim odłożył słuchawkę.

– Nawet dwa, Suzanne wie, że zawsze rano jestem głodny. I jedyna rzecz, która mi się u Anglików podoba, to ich śniadania. Kiedyś w nocy przytaszczono do naszego komisariatu angielskiego turystę, tak się „doprawił”, że nie pamiętał, gdzie mieszka; położyliśmy go spać. Rano można się już było z nim porozumieć, choć po francusku mówił jak hiszpańska krowa. Na wszelki wypadek, by się znowu gdzieś nie zgubił, polecono mi go odtransportować. Ale ledwo zobaczył szyld jakiejś knajpy, natychmiast kazał zatrzymać samochód, że jest głodny i musi zjeść śniadanie. Tak się awanturował, że nie było rady. W obawie by się ponownie nie zakropił, obaj z szoferem z nim wysiedliśmy. Na szczęście nie zamówił żadnego alkoholu, tylko zażądał na gorąco szynki z jajkami i Bóg wie, co jeszcze. Kiedy zdziwiłem się, odpowiedział, że u nich tak się właśnie jada. Potrafią zjeść *na petit déjeuner* tyle, co u nas w południe.

– Zgadza się – przytaknął Lemaitre – tylko, że to, co jadają w Anglii jest bardzo niesmaczne.

Kiedy woźny przyniósł kawę, Lemaitre wyciągnął magnetofon i założył kasetę, co wyraźnie speszyło Lamiera.

– Wolisz bez magnetofonu?

Sierżant skwapliwie potaknął. Schował więc magnetofon do szuflady, lecz jej nie domknął, i wyciągając blok do pisania, nacisnął guzik „startu”.

– Zaczynaj od Arnauda – powiedział, zapisując to nazwisko w bloku, by stworzyć wrażenie, iż będzie notować.

Lamier poprawił się w krześle ze skupioną miną.

– Kiedy Suzanne zaczęła tam pracować, pan Arnaud był stałym gościem czy jak to nazwać, bo przychodził prawie co dzień. Początkowo myślała, że to brat, szwagier czy inny bliski krewny, bo pani Bossac wychodziła do niego w stroju bardzo domowym i byli ze sobą po imieniu. Często też przychodził na siódmą na obiad, a

wychodził tak późno, że Suzanne i Marie już spały i pani Bossac sama zamykała za nim drzwi frontowe.

Suzanne była niezepsutą dziewczyną, nie miała nikogo przede mną i nie przyszło jej nawet do głowy, że, kobieta w tym wieku, do tego wdowa, może sobie na takie rzeczy pozwalać. I to osoba tak dystyngowana. Pierwszy raz ją zastanowiło, gdy byli goście, wśród nich pan Arnaud, a ona podawała im w living-roomie kawę, i pani Bossac, siedząc w gronie tych gości, zapytała go: „A u ciebie co słychać? W zeszłym miesiącu nie przyszedłeś na mój *jour fixe* wyjeżdżałeś?” A on poprzedniego dnia był u niej właśnie na obiedzie i siedział Bóg wie jak długo. Suzanne wtedy taca o mało z rąk nie wypadła. Powiedziała o tej scenie Marie – kucharce. Ta jednak ucięła krótko: – Nie twoja sprawa, rozumiesz?

– Kiedy właśnie, że nie rozumiem – przyznała się Suzanne. – Jak mogła coś takiego powiedzieć, skoro on prawie stale tu jest.

Marie wtedy zaczęła się z niej śmiać:

– Ale ty jesteś głupia, nawet nie przypuszczałam... Powiedziała tak przy gościach, bo woli, żeby inni nie wiedzieli, że on tu przychodzi. Ale jeśli ci na tej posadzie zależy, przestań się tym interesować i zastanawiać, co robi i co mówi do kogoś pani Bossac, to są jej sprawy, ty pilnuj swoich.

Oczywiście, Suzanne nie mogła o tym wszystkim nie myśleć, tyle tylko, że nie rozmawiała więcej na ten temat z Marie. Raz tylko jeszcze ją spytała, czy pan Arnaud jest kuzynem, czy nie? Marie aż obruszyła się na to pytanie: – Jeszcze by tego brakowało! Pewnie, że nie jest.

Od tamtej pory przez pewien czas, gdy pan Arnaud zostawał po obiedzie, Suzanne kładąc się do łóżka usiłowała nie spać, nasłuchując, kiedy usłyszy szcęk zamykanych na dole drzwi, ale wbrew swej woli zasypiała szybko. Kiedy już z tą całą sprawą się oswoiła, gdzieś po półtora roku pan Arnaud przestał już tak często przychodzić. Nie

wpadał w ciąg dnia, co zdarzało się przedtem. Za to pani Bossac często telefonowała przed południem, chyba do jego biura, bo Suzanne słyszała wtedy, jak wymieniała jego nazwisko. Czasem też wieczorem, kiedy przychodziła zabrać opróżniony kieliszek ze stoliczka przed telewizorem, pani Bossac nakręcała numer, który nie odpowiadał, bo bez słowa odkładała słuchawkę. A czasem musiała czekać z podaniem obiadu i trzy kwadranse, bo właśnie pani Bossac rozmawiała przez telefon i gdy tylko Suzanne wchodziła, odprawiała ją z pokoju ruchem ręki. Trwało to jakiś czas, potem znów przyszedł okres częstszych wizyt pana Arnauda. Później znów stały się one rzadsze i tak na przemian, z tym tylko, że okresy sporadycznych odwiedzin stawały się coraz dłuższe.

– A ostatnio? – zapytał szybko Lemaitre.

– W ostatnim miesiącu przychodził, ale tylko wtedy, kiedy byli goście.

– Czy panna Suzanne słyszała kiedy lub była świadkiem jakiejś kłótni, czy może sceny robionej przez panią Bossac Arnaudowi?

– Nie. To właśnie Suzanne dziwiło i imponowało. Powiedziała mi, że, gdybym to ja z nią tak kręcił, podrapałaby mi twarz paznokciami.

– Co panna Suzanne mówiła o pani Tressaille?

– Że była bardzo zaprzyjaźniona z panią Bossac, mówiły sobie po imieniu. Przychodziła nie tylko na brydża, odwiedzała panią Bossac także, gdy nie było gości, szła wtedy do niej na górę. Siedziały i rozmawiały wygodnie rozlokowane w sypialni, Suzanne przynosiła im tam kawę czy koktajle.

– A pan Pelade?

– Pan Pelade od dłuższego czasu przychodził z panią Tressaille na wtorkowego brydża i też musiał być chyba starym znajomym, bo pani Bossac mówiła mu *per ty*. Ale poza wtorkowym brydżem w Neuilly nie bywał.

– Wiem, że ta czwórka stanowiła stały skład jednego stolika. Czy osoby, które pierwszego kwietnia grały przy drugim stoliku, też były stałymi współpartnerami, gdy wtorkowy brydż urządzany był na dwa stoliki?

– Tego na pewno nie wiem, Suzanne mówiła, że w ostatnich miesiącach dość często przychodzili wtedy pan Breçon i pani Debranche. Pan Breçon, według Suzanne, jest bardzo elegancki, nawet skarpetki ma odpowiednio dobrane do krawata, i, na moje nieszczęście, chce teraz, żebym do ślubnego garnituru sprawił sobie zamszą kamizelkę, taką, jaką widziała u pana Breçona.

O pani Debranche uważa, że jest bardzo ładna i lepiej się prezentuje niż pani Patton, która jest od niej młodsza, bo nie ma jeszcze trzydziestki. Dziwi się też, że pani Patton chciała wyjść za swego męża, który ma chyba dwa razy więcej lat niż ona i że na pewno zrobiła to tylko dla pieniędzy, bo Patton jest gruby i łysieje... Nawet sobie zażartowałem, czy jak zacznę tyć i łysieć, to już na męża nie będę się nadawał...

O gościach, którzy byli na obiedzie drugiego kwietnia, poza państwem Debranche, nic konkretnego nie mogła powiedzieć. Nie przypomina sobie, żeby ci dwaj panowie, którzy wtedy byli, odwiedzali przedtem panią Bossac. Ale głowy by za to nie dała, bo może na początku, jak zaczęła tam pracować, któryś z nich kiedyś i był, ale nie pamiętała, wtedy wszyscy goście byli dla niej nowi i mogli się jej mylić. W każdym razie później ani jednego, ani drugiego w Neuilly nie widywała. Pewna natomiast jest, że młoda pani, która przyszła z jednym z nich, nigdy przedtem nie była. Na eleganckie kobiety Suzanne ma oko, potrafi zapamiętać każdy szczegół ich garderoby. Ta pani i jeden pan niedługo po obiedzie wyszli. Zostali pan Debranche i ten drugi, bo pani Debranche też poszła zaraz po tamtych.

Suzanne przynosiła im do gabinetu kawę i koniak. Myśli, że rozmowa dotyczyła chyba interesów, bo pani Bossac siedziała za biurkiem.

Zawsze goście przechodzili po obiedzie do living-roomu, jednego pana Goldsterna przyjmowała w gabinecie.

– Pozostały więc nam tylko spostrzeżenia panny Suzanne o brataniku pani Bossac...

– Suzanne twierdzi, że pani Bossac była z niego bardzo dumna. Słyszała kiedyś, jak mówiła do kogoś przez telefon w tym czasie, jak pan Debranche został ministrem, że same pieniądze nie miałyby znaczenia i żeby osiągnąć to, co osiągnął Jean – pan Debranche ma na imię Jean – trzeba sobą coś reprezentować.

– Pan Debranche często bywał w Neuilly?

– Nie za bardzo, tylko pani Debranche, szczególnie ostatnio, częściej przychodziła na brydża, pan Debranche nigdy na brydża nie przychodził.

– Panna Suzanne lubiła panią Bossac?

Lamier jakby się trochę stropił:

– Jakby tu powiedzieć... Raczej nie myślała o pani Bossac w ten sposób... Była dla niej chlebodawczynią i Suzanne uważała, że ma dobrą posadę. Trzeba też przyznać, że pani Bossac nigdy nie zrobiła Suzanne żadnej przykrości.

– Pani czy panna Marie, bo nie wiem, kucharka, pracowała tam od dawna?

– Chyba przyszła ze dwa lata wcześniej niż Suzanne. Zdaje się, że udało się jej wyzwolić od męża nicponia i bardzo ceniła sobie spokojne i dostatnie życie u pani Bossac. Suzanne nawet nie wie, czy jest formalną rozwódką, bo Marie o nieudanym małżeństwie nie lubiła mówić.

– Pana narzeczona nie wie, gdzie pani Marie teraz pracuje?

– Obejrzała w Paryżu kilka miejsc, gdzie szukali kucharki, ale żadne jej się nie podobało, i doszła do wniosku, że taka posada, jak u pani Bossac, już się nie trafi, że prędkiej na prowincji znajdzie spokojną robotę, jaka jej odpowiada.

– Panna Suzanne nie dziwiła się, że tak ją pan o gości pani Bossac wypytuje?

– Nawet nie przyszło jej do głowy, że ją o coś specjalnie wypytuje, nie wypytywałem jej przecież jak świadka przy przesłuchaniu. Miałem do rana sporo czasu – Lamier uśmiechnął się – wystarczyło tylko doprowadzić na podpadający temat, moje pytania świadczyły tylko o zainteresowaniu tym, o czym ona mówi...

– Zrobiłeś kawałek ładnej roboty; szkoda, że nie mogę podziękować panie Suzanne za informacje – przynajmniej do czasu rozwiązania tej sprawy. Gdyby panna Suzanne przypomniała sobie jeszcze coś, co wiązałoby się z ostatnimi dniami życia pani Bossac, choćby jakiś szczegół, który zwrócił jej uwagę, daj mi znać.

Popatrzył za wychodzącym sierżantem. Musi być z siebie zadowolony – pomyślał. – Przecież on pierwszy wpadł na trop morderstwa, pewnie teraz liczy na awans... Nie wie tylko, że jeśli zidentyfikowanie zabójcy narobi kłopotu Rondonierowi, spodziewany awans rozplynie się w sianej mgle...

Wbrew sugestiom szefa, a może właśnie dlatego, Lemaitre'owi zależało na tym, żeby ze sprawą Adeliny Bossac uporać się jak najszybciej. Jeżeli w końcowym efekcie okaże się, że to pan minister uśmiercił swą ciotunię, to trudno. Zamknięte dochodzenie złoży na ręce starego – myśląc o tym, czuł złośliwą satysfakcję – a jak on z tego wybrnie, co będzie robić, by nie nadać biegu sprawie przed wyborami, jego rzecz... Gdyby jeszcze nie musiał sam tego dochodzenia prowadzić i mógł w normalny sposób korzystać ze współpracy swych inspektorów, miałby niemal stuprocentową szansę, iż przed wyborami morderca Adeliny Bossac zostanie rozpoznany.

A tak nie może normalnie wzywać ludzi na przesłuchania ani podać przyczyn, dla których policja się nimi interesuje, musi wyczyniać łamańce, by nikt z jego ekipy, a tym bardziej prasa, nie wpadł na trop, że prowadzi dochodzenie w sprawie o morderstwo, gdzie wśród podejrzanych



jest członek urzędującego gabinetu, jeden z liderów rządzącej partii.

Gdyby to nie mały sierżant Lamier, a jakiś dziennikarz wy wachał pierwszy tę historię, wtedy rzecz prosta nie prowadziłyby śledztwa szyto-kryto, a wszystko toczyłoby się przy otwartej kurtynie według normalnej rutyny. Tylko że chłopcem sypiającym z Suzanne był nie polujący na sensacje dziennikarz, lecz pochodzący z jej rodzinnej wsi sierżant dzielnicowego komisariatu, którego uczono, że policja zawsze stoi na straży prawa. Piękne hasła wymyśla się na użytek małuczkich... Małemu Lamierowi nie mogło zaświtać w głowie, iż bywają okoliczności, w których lepiej nie zwracać uwagi na popełnione przestępstwo.

Lemaitre wyjął taśmę z magnetofonu i schował ją do pancерnej szafki.

*Déjeuner* zjadł w pobliskim bistro, by nie marnować czasu na jazdę do domu i z powrotem. Chciał wykorzystać piątkowe popołudnie na dalsze rozmowy z kwietniowymi gośćmi Adeliny Bossac; w weekend trudno kogoś zastać, o tej porze roku, kto może ucieka już z miasta. On też, gdy tylko mógł, zawsze od połowy kwietnia wyjeżdżał z Marcelle na te dwa dni z Paryża.

Z tego, czego dowiedział się od Lamiera, najchętniej wziąłby teraz na warsztat Arnauda. Skoro jednak ten facet miał dość swej przyjaciółki, warto było o nim wiedzieć jeszcze więcej. Inspektora Moulina nie udało mu się złapać, zostawił więc dla niego kartkę, by Arnaudem przez kilka dni zajęli się wywiadowcy. Potem zatelefonował do Pattonów i zaskoczony pani Patton zapowiedział na popołudnie swoją wizytę.

\*

George Patton był naturalizowanym we Francji Anglikiem, rzecz w odniesieniu do tej narodowości niemal niespotykana. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby dotyczyło to jego żony, ona jednak była rodowitą

Francuzką. Ale Anglik, syn Albionu traktującego przez wieki Francję jako największego wroga, przyjmujący obywatelstwo tego kraju – było to dla Lemaitre'a nie tylko czymś zaskakującym, lecz i podejrzanym. Co prawda, od czasu pierwszej wojny światowej wojska obu państw były siłami sprzymierzonymi, a przez parę ostatnich dziesiątków lat wspólnota przynależności do NATO i potem do EWG umacniała tę więź, wzajemne animozje odnosiły się już do historii – to jednak formalna zmiana obywatelstwa przez Pattona była w oczach Lemaitre'a postępkami odbiegającym od normy. Co innego, gdyby wybrał Francję tylko jako miejsce swego pobytu, choćby na całe życie. Takich zasiedziały Anglików ceniących uroki *La Douce France* było wielu.

Dlaczego Patton postąpił inaczej? Braterstwo broni braterstwem broni, przyjaźń przyjaźnią, ale dobrze wiedzieć, co dzieje się w domu przyjaciela, znać sekrety, które nie wychodzą poza jego cztery ściany... Naturalizowany we Francji Anglik może być dobrym angielskim patriotą, oznaczonym numerkiem w *Intelligence Service*... Lemaitre nie miał wątpliwości, że równie dobrze Francuzi osiadli w Anglii także mają swe numerki w *Secret Service* po drugiej stronie Kanału.

Według informacji dostarczonych przez podinspektora1 Chartier a Patton „robił” w przemyśle perfumeryjnym. Może więc nie *Intelligence Service*, a wywiad gospodarczy? Po chwili się zreflektował. Przemysł perfumeryjny w Anglii nie miał na świecie większego znaczenia. Może więc naturalizował się po to, żeby pozwolono mu tutaj usadowić się lepiej w branży? Jest teraz udziałowcem dwóch największych firm. Dla rasowego biznesmena miernikiem wszystkiego są pieniądze, co do tego Lemaitre nie miał wątpliwości. Osad nieufności wobec Pattona jednak pozostał.

Jaki rodzaj znajomości mógł łączyć Adeline Bossac z Pattonami? Z wiadomości, które przez Lamiera dostarczyła Suzanne, wiedział, że od pewnego czasu grywali u niej w brydża. Nie bywali jednak w Neuilly

na oficjalnych przyjęciach. Może prowadzili razem jakieś interesy, łączyły ich sprawy finansowe?

Przed pójściem do Pattonów zatelefonował do Goldsterna z zapytaniem, czy pani Bossac lokowała jakieś pieniądze w przemyśle perfumeryjnym, czy miała udziały w tej branży. Niemał się ucieszył, gdy usłyszał potwierdzającą odpowiedź, własna domyślność sprawiła mu przyjemność. Podziękował i chciał zakończyć rozmowę, ale Goldstern wykrzyknął:

– Chwileczkę! Odpowiedziałem panu zgodnie z prawdą, że miała udziały, nie zdążyłem jednak powiedzieć, iż się ich w ostatnich dniach pozbyła. Odradzałem jej to posunięcie, bo inicjatywa tym razem wyszła od niej. Na polecenie pani Bossac od dwudziestego marca wysprzedawałem jej akcje firmy Corton i spółka, bardzo szybko cena ich zaczęła spadać na łeb na szyję. Ostatnie akcje sprzedałem, kiedy już była duża bessa. Był to zresztą trick, na którym ktoś dobrze zarobił, bo w krótkim czasie sytuacja zmieniła się diametralnie.

– Ktoś postarał się wywołać sztuczną bessę, by móc tanio wykupić akcje tej firmy?

– Oczywiście. Podejrzywałem to od początku, ale pani Bossac nie dała się przekonać.

– Sprzedała swe akcje z dużą stratą?

– Niestety, tak.

– Jak długo trwała ta bessa?

– Do pierwszych dni kwietnia.

Gdy o zapowiedzianej godzinie zjawił się u Pattonów, natychmiast rzuciło mu się w oczy to, czego nie wziął pod uwagę, zastanawiając się nad przyczyną naturalizowania się Edwarda Pattona. Otóż nie wziął pod uwagę różnicy ich wieku; pani Patton była ćwierć wieku młodsza od męża. Wiedząc, że w przyszłości zostanie po nim wdową, być może wolał, by dziedziczenie jego majątku opierało się na prawie francuskim.

We wszystkich czytanych w młodości przez Lemaitre'a angielskich powieściach dziedziczyli tylko najstarsi synowie, żony otrzymywały dożywocie. Patton był po pięćdziesiątce i mógł mieć w Anglii dorosłe dzieci z pierwszego małżeństwa. Obecna pani Patton ze względu na jej wiek mogła być jego żoną od lat nie więcej niż dziesięć. Wątpliwe więc, żeby aż do tego momentu pozostawał kawalerem.

Z wyglądu przypominał raczej typowego starszego Francuza. Był średniego wzrostu, dobrej tuszy, miał żywe ciemne oczy i jeszcze mało tknięte siwizną ciemne włosy łysiejące od czoła.

W living-roomie pani Patton, uprzejmie zapraszając Lemaitre'a by usiadł, przyglądała mu się z ciekawością, podczas gdy od strony barku dobiegło rzeczowe pytanie Edwarda Pattona:

- Co pan woli: Martini, szkocką czy *fine*?
- Szkocką – automatycznie odpowiedział Lemaitre
- Mnie nalej Martini z odrobiną whisky i sokiem z grejpfruta – zadysponowała jego żona.
- Przyrządź sobie sama, bo pan komisarz ma na pewno czas ograniczony.
- Mąż ma antytalent do robienia koktajli – powiedziała szybko pani Patton.

Patton podał szklaneczkę Lemaitrowi, nie zwracając na żonę uwagi, i usiadł na przeciwko niego.

- Czemu możemy zawdzięczać pańską wizytę? – zapytał spokojnie.
- Pańskie interesy związane są z przemysłem perfumeryjnym, prawda? – Lemaitre pytanie Pattona zniwelował swoim.
- Tak. Jestem udziałowcem dwóch firm: „Jean Laumier” oraz „Corton”.
- Spory pakiecik akcji tej ostatniej firmy był również w posiadaniu pani Adeliny Bossac?

– Możliwe. Ale jeśli je posiadała, to chyba w ilości nie odgrywającej roli.

– Pani Bossac była państwa dobrą znajomą? Od jak dawna datawała się ta znajomość?

– Byliśmy u niej na brydżu na dwa czy trzy dni przed jej śmiercią – odpowiedziała spontanicznie pani Patton.

– To nie jest odpowiedź na pytanie pana komisarza – przerwał jej mąż. – Lepiej, żebym ja udzielał odpowiedzi. Poznaliśmy się z panią Bossac kilka lat temu – zastanowił się – chyba ze trzy czy cztery, trudno więc mówić o specjalnej zażyłości. Łączyły nas zwykłe stosunki towarzyskie.

– Czy akcje, o których wspomniałem, nabyła za pana poradą?

– Nie. Być może przed zakupem zasięgnęła mojej opinii, ale nie przypominam tego sobie.

Pani Patton podniosła się z fotela.

– To ja nie będę panom przeszkadzać.

Przy drzwiach odwróciła się ze słowami:

– Załatwię coś na mieście. Będę w domu o ósmej.

Patton zrobił ruch, jakby chciał się za nią zerwać, ale się opanował. Widać jednak było, że zapowiedziane wyjście żony z domu zaniepokoiło go.

Ma sobie za złe słabość do niej i trzyma ją krótko, ale boi się ją stracić, nie jest jej pewien – pomyślał Lemaitre.

– Czy wiedział pan – zwrócił się do Pattona, patrząc mu prosto w oczy – iż pani Bossac niedługo przed swym wypadkiem zaczęła się wyzywać tych akcji?

Patton spokojnie wytrzymał spojrzenie.

– Nasza znajomość miała charakter wyłącznie towarzyski – na ostatnie słowo położył nacisk. – Nie interesowałem się jej sprawami finansowymi, o ile wiem, miała jakiegoś finansowego doradcę...

– Rozumiem – odparł wolno Lemaitre i potaknął głową. Potrząsnął

lekko szklanką, by kostki lodu oziębiły whisky, upił łyk i szybko zapytał:

– Czy pan również wtedy wysprzedawał akcje Cortona?

Patton podnosił szklankę do ust, gdy Lemaitre rzucił to pytanie. Ręka ze szklanką znieruchomiła.

– Pan komisarz się myli – powiedział z uśmiechem – nie pozbywałem się akcji Cortona, ponieważ – zrobił efektowną pauzę i w ciemnych oczach zabłyśły iskierki ironii – ich wówczas nie posiadałem. Jestem udziałowcem tej firmy dopiero od trzech tygodni.

Wypił resztę whisky i odstawił szklankę na stolik.

– Domyślam się, że nabyty pakiet akcji jest na tyle duży, iż odgrywa pan w tej firmie jakąś rolę?

– Oczywiście. Wczoraj wszedłem do zarządu spółki.

– Nie sądzi pan, że gdyby pani Bossac żyła, żałowałyby pewnie, iż się tych akcji pozbyła?

Edward Patton rozłożył dłonie.

– Prawdopodobnie. Możemy się tylko pocieszyć, że nie zdążyła się już tym zmartwić...

Jeśli to on jej podsunął pomysł sprzedaży tych akcji, a można być tego niemal pewnym, to zdaje sobie sprawę, że ja tak właśnie myślę, ale jeszcze lepiej wie, że nikt mu nie może za to nic zrobić! – pomyślał z tłumioną pasją Lemaitre, dopijając szkocką. – Nabył ogromny udział za psi grosz. Bez posłużenia się Adelina Bossac pewnie nie byłoby go na to stać.

– W czasie pamiętnego, bo ostatniego przed śmiercią pani Bossac, brydża u niej obiad podano w jadalni? – Zaskoczył Pattona zmianą tematu, bo minęła chwila nim odpowiedział:

– Naturalnie. Trudno by go było jeść przy stolikach brydżowych.

– Pamięta pan, w jakiej kolejności przechodzili państwo z living-roomu do jadalni?

– Przeszliśmy wszyscy razem. Oczywiście, nie myślę o przechodzeniu przez same drzwi – dodał ze złośliwym uśmieszkiem – tu na pewno panie przeszły pierwsze, ale kolejności panów, pan komisarz wybaczy, nie pamiętam. Nie zanotowałem, kto kogo pierwszego przepuszczał przez drzwi.

Lemaitre wstał.

– Szkoda, być może ten szczegół okaże się ważny.

Zaskoczona mina Pattona sprawiła mu wreszcie satysfakcję, dość miał tego, by ten podejrzany Anglik traktował go jak durnia.

– I jeszcze jedno, czy po skończonym brydżu wszyscy państwo od razu się rozeszli? – Z pewnym trudem Lemaitre starał się zachować spokój.

– Nie wiem. My w każdym razie wyszliśmy, wstaję rano i nie lubię zarywać nocy.

Odprawiając komisarza do wyjścia, Patton nie wytrzymał:

– Mam chyba prawo znać przyczynę pańskiej wizyty?

Lemaitre zatrzymał się i popatrzył na niego zimno.

– Pewne sprawy wynikłe ze śmierci pani Bossac wymagają uporządkowania. Jeśli będą nam jeszcze pana informacje potrzebne, skontaktuję się telefonicznie. – Bardzo rzadko udawało mu się coś powiedzieć tak urzędowym tonem.

Gdy tylko wsiadł do swego renault, otworzył obie szyby, miał uczucie, że po wizycie u Pattonów brakuje mu powietrza.

Czy Patton, namawiając Adeline Bossac do sprzedaży akcji, zachęcił ją zarobkami, jakie mogła osiągnąć później na sztucznie wywołanej bessie? – zastanawiał się po drodze. – Chyba tak... W przeciwnym razie, gdyby tylko ją ostrzegął, że akcje „Cortona” będą spadać i lepiej je sprzedać, o ile nie ma z morderstwem nic wspólnego, wiedziałby przecież, że się potem zorientuje, iż ją ordynarnie oszukał i jej kosztem opanował konkurencyjną firmę. Czy poszedłby na to? Dość wątpliwe,

choć po osobniku takim jak Patton, był o tym przekonany, wszystkiego można się spodziewać. Czy byłby w stanie wykupić taką ilość akcji, jaką wykupił, gdyby Adelina Bossac żyła i jako wspólniczka giełdowego tricku wykupiła także duży pakiet, gdy ceny akcji spadły do minimum? Czy ilość, jaką zdobyłby wtedy Patton, pozwalałaby mu wejść do zarządu firmy? Lemaitre pomyślał o Goldsternie, może on to będzie wiedział. Jeśli nie, trzeba mu będzie dać płatne zlecenie. W każdym razie, musi mieć odpowiedź na to pytanie...

Zatrzymał się przy czerwonych światłach i dopiero teraz zwrócił uwagę, że jest jedno z najładniejszych, jakie może być, wiosennych popołudni. Ruch uliczny, jak zwykle o tej porze, był ogromny, ale ludzie szli wolniej, mniej niż zazwyczaj zaaferowani, rozświetlona słońcem ulica mieniła się kolorami barwnych kobiecych strojów.

Mógł już o tej porze z czystym sumieniem skończyć na dziś pracę i jechać prosto do domu. Wrócił jednak na Quai d'Orfeves sprawdzić, czy Moulin lub Chartier nie mają dla niego nowych wiadomości. Nie było nic, żadnej notatki. Pokój inspektorów był pusty.

– Oczywiście – pomyślał ze złością – każdy pracuje w obowiązującym limicie godzin, tylko on jeden, jak dureń, nie liczy czasu pracy... O tym, że robi to z własnej nieprzymuszonej woli i w dodatku wbrew sugestiom Rondoniera, by przy tej sprawie unikać pośpiechu – wołał w tej chwili nie pamiętać.

Zadzwoił do Goldsterna, ale nikt nie podniósł słuchawki, musiał już też rozpocząć weekend. Pogorszyło to jeszcze humor Lemaitre'a.

Jego weekend nie zapowiadał się dobrze. W sobotę mieli być w południe na świątecznym *déjeuner* u znajomych, z okazji rocznicy ich ślubu czy jakiejś innej, będą tam tkwić do późnego popołudnia... Na niedzielę zaś Marcelle zaprosiła do domu gości, według niej nie mogą żyć jak odludki. I była to dla niej wystarczająca przyczyna, dla której



przez dwa dni, zamiast wałęsać się w rozpiętej koszuli po domu i wylegiwać, będzie musiał wbity w garnitur prowadzić bezsensowne towarzyskie rozmowy.

Wracał do domu w tak złym humorze, że nie urzekał go nawet perłowo-popielaty wiosenny zmierzch, który tak zachwyca w Paryżu nawet cudzoziemców.

\*

Biegam po domach jak komiwojażer – westchnął, szukając na liście lokatorów Gastona Pelade. Jak na złość, dyżurka konsjerżki była pusta. Chciał go rano uprzedzić telefonicznie, że musi się z nim zobaczyć. Kobięcy głos w słuchawce, poinformował go, że pan Pelade nie wróci wcześniej niż o drugiej po południu.

Teraz dochodziła trzecia, porę tę Lemaitre uznał za najbardziej odpowiednią. Pelade, o ile jada w domu, po powrocie zjadł już *déjeuner*, a wyjść jeszcze na pewno nie zdążył.

Drzwi otworzyła mu, sądząc z zachlapanego wodą fartucha, gospośia. Gdy zakomunikował jej, że przyszedł zobaczyć się z panem Pelade, jej reakcja zaskoczyła go zupełnie.

– Teraz, kiedy pan Pelade śpi po jedzeniu? Nie mogę go przecież budzić... Proszę przyjść za godzinę.

Potrzeba wypoczynku, którą w połowie dnia odczuwają ludzie starsi, była dla Lemaitre'a czymś zupełnie niezrozumiałym. Sam nigdy po jedzeniu się nie kładł ani nie ucinął w ciągu dnia drzemki.

– Niestety, będzie go pani musiała obudzić. Proszę powiedzieć, że przyszedł komisarz Lemaitre z Police Judiciaire.

– Czy pan Pelade wie, że pan komisarz miał przyjść? – próbowała jeszcze bronić odpoczynku Pelade'a.

– Wie – odpowiedział, by przełamać wreszcie jej opory.

– W takim razie proszę czekać, to trochę potrwa...

Zaprowadziła go do jadalni.

– Pan ma zwyczaj sypiać po południu na sofie w gabinecie...

Rozejrzał się po pokoju. Jadalnia utrzymana była w stylu rustykalnym, z ciemnymi dębowymi meblami. Musiały być swego czasu robione na zamówienie – ocenił. Na ścianach w wąskich czarnych ramach wisiały sztychy.

Miał ochotę zapalić papierosa, ale się powstrzymał, zdając sobie przy tym sprawę, iż gdyby był w domu rzemieślnika czy sklepikarza, na pewno by się nie krępował i zapalił, nie czekając na pozwolenie gospodarza. Podeszedł do okna. Rue de La Tour, jak przystało na szesnastą dzielnicę, była spokojna i cicha. Na balkonie *vis-a-vis* stała obejmując się młoda para.

Odwrócił się od okna i zobaczył wchodzącego do jadalni Pelade'a. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie o wiele starszego niż był. Bardzo szczupły, wysoki, przygarbiony, z pobrużdżoną zmarszczkami twarzą.

– Przepraszam, że musiał pan czekać. – Wyciągnął do Lemaitre'a rękę, jej kruchość była wyczuwalna w dotyku. – Proszę do gabinetu – dodał z uśmiechem, który był ujmujący, mimo że zmarszczki pogłębiły się w fałdy.

Kiedy w gabinecie usiadł na przeciw i patrzył na niego ciemnoniebieskimi oczami, których gęsta oprawa jeszcze się zachowała, Lemaitre stwierdził, że Pelade, zgodnie z tym, co mówiła pani Tressaille, musiał być w przeszłości niesłychanie przystojnym mężczyzną. Teraz jednak, mimo niespełna sześćdziesiątki, wyglądał na zupełnie starego człowieka. Ubranie wisiało na nim niczym worek, jak to bywa u starców, którzy pod koniec życia niepomierne wychudli.

– Przyszedłem do pana w związku z testamentem pani Adeliny Bossac, która, jak panu zapewne wiadomo, zmarła trzeciego kwietnia na skutek nieszczęśliwego wypadku... – zaczął.

– Panie komisarzu, zachodzi chyba jakaś omyłka – zaprotestował żywo Pelade – mnie testament pani Bossac na pewno nie dotyczy.

– Nie wykluczone, iż nie dotyczy – zgodził się Lemaitre – bo w ogóle nie wiadomo, jakich dotyczy osób.

– Przepraszam – Pelade znów przerwał – ale dlaczego w takim razie mnie pan łączy z tym testamentem?

– Bo faktem jest, że testament zginął.

– Nie przypuszcza pan chyba, żebym ja go ukradł! – w głosie nie było oburzenia, tylko zdumienie. – A raczej, przepraszam – zmytygował się – skoro pan tu przyszedł, takie przypuszczenie musi być oczywiste. Mam tylko nadzieję, że nie jestem jedynym, lecz jednym z podejrzanych – uśmiech znów pofałdował twarz Pelade'a, ciemnoniebieskie oczy patrzyły na Lemaitre'a z rozbawieniem.

– Zgadza się, jest pan jednym z wielu podejrzanych. Można zapalić?

– Jak najbardziej. Może zapali pan mojego? Tylko, że ostatnio pałę bardzo słabe. – Podsunął Lemaitre'owi papierośnicę.

– Dziękuję, przyzwyczajony jestem do swoich gitanów. – Podał Pelade'owi ogień.

– Szczerze mówiąc... – Pelade przerwał, by zaciągnąć się dymem – bardziej by mi odpowiadało, gdyby mnie pan podejrzewał o jakieś przestępstwo dużego formatu, a nie o małą kradzież.

– Wolałby pan być posądzony o morderstwo?

– Przyzna pan chyba, że trudno odnosić się z szacunkiem do zwykłego złodziejaska, natomiast na zbrodnię chyba rzadko kogo stać, jest czymś wyjątkowym, dalekim od pospolitości. A wyjątkowość, choćby szokowała, zawsze trochę imponuje... Więc z dwójga złego wolałbym budzić oburzenie niż lekceważenie... Ale skoro pan komisarz nie daje mi tego wyboru, mam prośbę... Czy nie zgodziłby się pan wraz ze mną uczcić szklaneczką szampana moją obecność na liście podejrzanych o

kradzież testamentu pani Bossac? Lekarz zabronił mi pić alkohol, lecz pozwolił przy wyjątkowej okazji wypić szampana...

– Schorzenie wątroby?

Pelade wzruszył ramionami.

– Nie wiadomo, wszystko wyjaśni się w trakcie operacji. Ponieważ to niezadługo, inna wyjątkowa okazja może się nie zdarzyć. Więc, zgodzi się pan?

Podejrzewają raka i on o tym wie – pomyślał Lemaitre.

– Zgadzam się. I to chętnie.

Popatrzył ze współczuciem za wychodzącym z pokoju. Dlatego tak wychudł...

Po chwili Pelade wrócił, trzymając owiniętą w serwetkę butelkę. Zaraz po nim zjawiała się gospoia, niosąc na tacy kieliszki.

– Bez kubek z lodem, ale jest zimny, był w lodówce.

Przez dłuższą chwilę wychudłymi rękoma mocował się z opornym drutem oplatającym korek. Lemaitre z trudem powstrzymywał się, by mu w tym nie pomóc.

– Czy pan komisarz mógłby mnie poinformować – zapytał Pelade, gdy siedzieli już z kieliszkami w ręku – jakie mogły mną powodować motywy, dla których popełniłem tę kradzież?

– Niestety, nie...

– Rozumiem. – Pelade westchnął. – Chodzi pewnie o tzw. dobro śledztwa. Szkoda, bo mnie samemu nic nie przychodzi do głowy. Gorzej, nawet nie wiem, gdzie ten testament był.

– W sekretarzyku w sypialni.

– To fatalnie się składa, gdyż tego progu moja noga nie przekroczyła od ponad trzydziestu lat. Testament chyba nie zginął w tamtym czasie?

– Nie, zaginął niedawno. – Boję się więc, że zawiodę pana, jeśli chodzi o tę kradzież testamentu...

- Też mi się, niestety, tak wydaje – przyznał Lemaitre.
  - Naprawdę, bardzo mi przykro, że nie jestem sprawcą tej kradzieży, bo pewnie by to panu ułatwiło pracę...
  - Trudno, będę się musiał z tym pogodzić.
- Pelade ponownie napełnił kieliszki.
- Doskonały rocznik – rzek Lemaitre, pokazując na butelkę.
  - Niezły, cieszę się, że panu smakuje, bo mnie bardzo. Do posiłków pijam teraz wodę mineralną, w której nie potrafię się rozsmakować. Ale przyrzekłem, że do operacji będę się lekarzy słuchać.
  - Kiedy wybiera się pan na operację? – Lemaitre mimo woli zapytał tak, jak się pyta bliskiego znajomego, którego stan zdrowia niepokoi.
  - Za dwa tygodnie czy coś koło tego. Co prawda chętnie pokrajali by mnie zaraz, ale chciałem jeszcze uporządkować różne sprawy.
- Przez parę chwil popijali w milczeniu.
- Co pan sądzi o Debranche'u – przełamał wreszcie ciszę Lemaitre.
  - Przypuszcza pan, że mógł zabrać testament w obawie, iż Adelina zmieni zapis na jego niekorzyść?
  - Nic nie przypuszczam czy raczej przypuszczam wszystko, na tym polega dochodzenie, że bierze się pod uwagę każdą możliwość – objaśnił Lemaitre. – Moje przypuszczenia dotyczą wszystkich, którzy byli w domu pani Bossac w dniach pierwszego i drugiego kwietnia.
  - Więc w dalszym ciągu podejrzewa mnie pan, że mogłem to ukraść?
  - Szczerze mówiąc, nie, do czego się przed paroma minutami przyznałem, ale dopóki nie trafię na właściwy trop, musi pan, tak jak i pozostali, na tej liście figurować. Ale pytałem pana o Debranche'a.

– Chce pan, bym rzucał podejrzenia na innych?  
– Broń Boże, na nikogo nie może pan rzucić podejrzenia, bo, jak powiedziałem, podejrzeni są wszyscy. Może więc pan tego się nie obawiać.

- Ale mogę przyczynić się do zidentyfikowania złodzieja?
- Oczywiście.

Popatrzył stropiony na komisarza.

– Nie chciałbym być donosicielem nawet mimowolnym.  
– Czy uważa pan również, że moja praca jest także nieetyczna? – obruszył się Lemaitre.

– Ależ nie, wręcz przeciwnie. Tylko, że pan, szukając przestępcy, ujmie go wtedy, kiedy będzie pan miał niezbite dowody. To, co ja bym powiedział, nie może być poparte żadnym dowodem...

– Nigdy pan nie zeznawał w żadnej sprawie, nie zetknął się z żadnym policyjnym dochodzeniem?

- Nie.

Lemaitre westchnął.

– To widać. Ale wie pan chyba, że policja nie może działać w próżni? Gdy prowadzi dochodzenie, zwraca się do różnych ludzi, o których wie lub przypuszcza, że mogą udzielić odpowiedzi na istotne w danym momencie śledztwa pytania. Oczywiście, każdy może odmówić odpowiedzi, nie można przecież nikogo zmusić do mówienia, jeśli tego nie chce. Pan także może nie odpowiadać na moje pytania, tylko po co? – Opróżnił resztę kieliszka. – Po co ma pan tak postępować? Chce pan w ten sposób pomóc złodziejowi? Uważa pan, że złodziejstwo i inne przestępstwa powinny być bezkarne?

– Wcale tak nie uważam i zgadzam się z panem – ton Pelade'a był poważny – że przestępca powinien ponosić karę. Będę więc odpowiadał na pana pytania. – Ujął butelkę, by po raz trzeci napełnić kieliszki.

- Proszę tego nie robić – zaprotestował Lemaitre. – Jak znam

lekarzy, pozwolono panu na kieliszek lub dwa. Więcej może zaszkodzić.

– Nic mi już nie zaszkodzi – powiedział Pelade cicho.

– W każdym razie ja pasuję. Proszę pamiętać, że przyszedłem tu służbowo.

– Szkada... – Pelade odstawił butelkę na stolik. – Jedyna pociecha – uśmiechnął się – że ta reszta sprawi przyjemność mojej gospodyni...

Może by mu ten trzeci kieliszek nie zaszkodził – pomyślał Lemaitre zły na siebie, miał uczucie, jakby skrzywdził dziecko.

– Proszę mi wierzyć – zwrócił się do Pelade'a – że następnego kieliszka odmówiłem z największym samozaparciem. Chętnie też nie mężczyłbym pana dalszymi pytaniami, ale muszę to robić.

– Powiedziałem już, że gotów jestem na nie odpowiadać.

– Znał pan Debranche'a od dziecka. Jaki to człowiek?

– Naprawdę chcę odpowiadać na pańskie pytania i proszę mnie źle nie zrozumieć. Ale o dorosłym nie potrafię nic powiedzieć. Jako chłopiec robił wrażenie pewnego siebie, co u starszych dzieci jest raczej rzadkie... Straciłem go z oczu nim dorósł. Nigdy nie zajmowałem się polityką, nie miałem najmniejszych w tym kierunku predyspozycji. Debranche, skoro się tym para, musi na pewno je mieć. Spotkałem go przelotnie raz, u Adeliny Bossac chyba w zeszłym roku, nie wiem nawet, czy mnie poznał.

– Pan jednak go rozpoznał?

Pelade uśmiechnął się tym swoim ujmującym uśmiechem.

– Wychodząc, powiedział do Adeliny: zatelefonuję do cioci czy coś w tym sensie i wydało mi się nieprawdopodobne, że mógł kiedykolwiek mówić do mnie „wuju”.

– A pani Bossac nigdy panu o nim nie mówiła?

– Ja nie odwiedzałem mojej pierwszej żony, przychodziłem tam od pewnego czasu tylko na brydża. Poza odzywkami brydżowymi nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

– Natomiast zna pan i odwiedza panią Thérèse Tressaille...

– Mam powiedzieć, co o niej myślę?

– Prosiłbym pana o to – przytaknął Lemaitre.

– O mój Boże, znów pana zmartwię, ale za Thérèse Tressaille mogę dać głowę, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem testamentu. To nie tylko bardzo przyzwoity, porządny człowiek, ale i bardzo miła, i inteligentna kobieta. I gdyby mi wolno było panu komisarzowi doradzać, radziłbym panu szukać sprawcy kradzieży poza nią.

Dobrze, że mogę szermować brakiem testamentu – pomyślał Lemaitre – gdyby był, jeszcze bardziej utrudniałby to paskudne śledztwo.

– Pani Bossac i pani Tressaille, o ile wiem, bardzo się przyjaźniły?

– Podejrzewam, że można to raczej odnosić do czasów szkolnych, bo miały bardzo odmienne psychiki i charaktery. Ale przez całe życie utrzymywały bliskie kontakty. Znały się od tak dawna, iż myślę, że te więzy utrzymywały się na zasadach podobnych, jak w rodzinie, która może nam pod wieloma względami nie odpowiadać, ale mimo to jest nam bliska.

– Pani Bossac była lepiej uposażona materialnie niż pani Tressaille?

– Trudno powiedzieć, żeby pani Tressaille była źle sytuowana, choć od śmierci męża jej warunki na pewno się mocno pogorszyły, natomiast pani Bossac była osobą wyjątkowo zamożną.

– Czy pani Bossac mogła zrobić jakiś zapis na rzecz pani Tressaille?

– Adelina Teresie? Nie, nie sądzę – roześmiał się bezgłośnie. – I



nie tylko dlatego, że były w jednym wieku, a przeważnie zapisuje się młodszym od siebie; ale znając Adeline Bossac, a znałem ją, mam wrażenie, nader dobrze, wydaje mi się nieprawdopodobne, by chciała obdarzyć kogokolwiek spoza swej rodziny. Nie należała do osób, które lubią komukolwiek coś dawać, jeśli w grę nie wchodzi ekwiwalent.

– Przypuszcza pan, że wszystko zapisała bratankowi?

Pelade wzruszył lekko ramionami.

– Być może miała jakieś zobowiązania, które w testamencie musiała uwzględnić, ale myślę, że gros majątku przypadło Debranche'owi, nie założyłbym się, czy nie z pominięciem jego żony...

Butelka szampana stała na stoliku w najbliższym zasięgu wzroku Lemaitre'a. Wolałby, żeby jej tu nie było, szampan był świetny. Nie chciał też, żeby po jego wyjściu Pelade uległ pokusie.

– Chyba lepiej – wskazał na butelkę – by stała w lodówce pod opieką gosposi, jak dłużej postoi w ciepłe, straci smak.

– Ma pan rację. – Pelade podniósł się żywo.

– Co natomiast sądzi pan o Arnaud? – zapytał, gdy Pelade powrócił do pokoju. – Nie w związku z testamentem, a w ogóle...

Pelade zrobił wyrazistą minę, udając komiczne strapienie.

– W ogóle? Och nic. Nul.

– Nic w matematyce ma symbol zero. Czy, gdybym pod pańskie „nic” podstawił zero, zgodziłby się pan na to?

– Nie bardzo mi wypada, ale nie byłbym szczery, gdybym zaprotestował. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że gra w brydża na tyle dobrze, by taktycznie zmniejszać ryzyko przegranej do minimum.

– Skoro jest pan szczery, chętnie usłyszałbym pańskie uwagi o

innych brydżystach: panu Breçon, państwu Patton i pani Debranche.

– Niestety, nie mam o nich żadnego sądu, nie wiem, czy z kimkolwiek z nich zamieniłem kilka zdań, a jeśli już, to zupełnie zdawkowych. Graliśmy zawsze przy oddzielnych stolikach, a poza tym oni na mnie nie zwracali żadnej uwagi, podobnie jak ja na nich. Z wyjątkiem może pani Debranche. To ładna, efektowna, mała kobietka, która chciałaby robić wrażenie, że potrafi panować nad sytuacją, a wydaje mi się, że jest raczej odwrotnie...

Widać było, że Pelade jest już zmęczony, na poszarzałej twarzy bruzdy zdawały się jeszcze głębsze. Lemaitre zgasił niedopalonego papierosa.

– Więcej pytań już nie mam, zabrałem panu i tak dużo czasu.  
– Było mi miło pana poznać – powiedział Pelade przy pożegnaniu.  
– Mnie też – odpowiedział szczerze Lemaitre.  
– Mój lekarz nie ograniczył dyspensy na wypicie szampana do jednej tylko okazji. I gdyby pan miał jeszcze jakieś podejrzenie, mam jeszcze butelkę tego samego rocznika... – uśmiechnął się do Lemaitre'a swym miłym, nieco smutnym uśmiechem.

Biedak zdaje sobie sprawę, że ma niedużo czasu przed sobą – myślał Lemaitre, schodząc ze schodów. Nie często się zdarzało, by ktoś tak szybko wywołał jego sympatię.

\*

– Alibi Orchana Lubelica pisane jest palcem na wodzie! – wykrzyknął z triumfem inspektor Moulin, wpadając we wtorek rano do gabinetu Lemaitre'a.

– Uważa więc pan, że śledztwo w sprawie Froisiera zostało „skopane”?

Moulin opadł na krzesło.

– Diabli wiedzą... Jeśli to nie Lubelic maczał w tym morderstwie palce, to podważenie jego alibi nie ma dla sprawy znaczenia.

– Ma pan słuszność – przyznał Lemaitre – brak alibi nie jest jeszcze dowodem, iż to on zabił starego inwalidę. Ale ciekaw jestem, jak pan wpadł na to, że jego alibi nie jest pewne.

– Seminarium profesora Lebaux, na które wówczas chodził, trwało dwie godziny: od czternastej do szesnastej. W tym czasie według opinii lekarskiej stuknięto Froisiera. Na seminarium obowiązywało podpisywanie przez studentów listy obecności, krążyła ona obiegiem na początku seminarium. Można ją było co prawda podpisać przy wejściu, ale zwykle wchodzono w ostatniej chwili i po rozpoczęciu zajęć podawano ją sobie do podpisu z rąk do rąk. Rzecz w tym, że dwugodzinne seminarium miało dwudziestominutową przerwę na papierosa. Wtedy ostatni, który się podpisywał, kładł listę na stoliku profesora i leżała tam już do końca zajęć.

Jest zatem możliwość, że Lubelic zjawił się w uczelni dopiero podczas przerwy, mógł swobodnie wejść do opustoszałej sali i podpisać listę leżącą na stoliku. Mógł też podpisać ją na kilka minut przed rozpoczęciem seminarium i wyjść. Pewne natomiast jest, że Lebaux rzeczywiście tego popołudnia rozmawiał z Lubelicem na temat jego pracy seminaryjnej, co mi sam profesor potwierdził, gdyż pamięta, że go swego czasu pytała o to policja. Z tego, czego dowiedziałem się od studentów, wynika że najłatwiej można było „dopaść” profesora Lebaux w trakcie przerwy, chociaż, jeśli się tego dnia specjalnie nie spieszył, także i po seminarium nie odmawiał studentom rozmowy. Podpis Lubelica na liście i zapewnienie profesora o jego obecności na seminarium, której dowodem była zapamiętana z nim rozmowa, mogły się wydawać wystarczającym alibi.

Pytanie tylko, kiedy Lubelic z profesorem rozmawiał: w trakcie

przerwy, czy po seminarium? Nikt o to profesora nie pytał, zresztą na pewno by nie pamiętał, podchodzili do niego i inni studenci, nie z nim jednym tego dnia rozmawiał.

– Zorientował się pan, jaką ma opinię u kolegów?  
– Uważają go za mruka, ale dziewczętom się podoba. Nie szuka też towarzystwa swych krajanów.

– Na jakim jest wydziale?  
– Studiuje socjologię.  
– Jak mu idzie nauka?  
– Przeciętnie, bez rewelacji, ale i bez zawałania semestrów.  
– Utrzymuje kontakt z rodziną w kraju?  
– Nie wiem. Odniosłem wrażenie, jeśli chodzi o jego kolegów, że w ogóle niewiele o nim wiedzą. Być może dziewczyny coś więcej mogłyby o nim powiedzieć, ale nie chciałem zbyt mocno ciągnąć za język w obawie, aby moje zainteresowanie jego osobą nie dotarło do niego. Chciał pan by moje indagacje nie wzbudziły podejrzeń.

– I słusznie. Lepiej przez pewien czas wziąć go „na oko”.  
– Jego dziewczyna, z którą stołuje się w „Bon Apetit”, ma na imię Juliette. Czy on stale z nią razem jada, nie wiem. W każdym razie barman dziewczynę na pewno wskaże. Ma pan kogoś pod ręką, kto mógłby się tym teraz zająć?

Moulin się skrzywił.

– Z tym gorzej. Dwaj najlepsi wzięli na sznurek George Arnauda, trzeba będzie się rozejrzeć.

– No to dziękuję, to na dziś byłoby wszystko... A swoją drogą – Lemaitre się uśmiechnął – myślę, że inspektor z piętnastej dzielnicy, ten, z którym pan jadł śniadanie, nie miałby zachwyconej miny, gdyby usłyszał, jak wyglądało alibi Lubelica.

– Uważa pan, że powinienem go zawiadomić? – nastroszył się Moulin.

– Nie, broń Boże. Teraz Orchan Lubelic potrzebny mi jest w stanie, jeśli można tak powiedzieć, nienaruszonym przez inne śledztwo. A poza tym nie mamy obowiązku wtrącać się do cudzych dochodzeń, prawda?

– Mógłbym się założyć, że inspektor Jannot nie darowałby mi tego do końca życia – mruknął Moulin wstając.

– I, oczywiście, uważaliby tam – dorzucił jeszcze Lemaitre – że Quai d'Orfeves zrobił im to tylko przez złośliwość...

Moulin był już w drzwiach, gdy Lemaitre zawołał:

– Jeszcze jedno! Wie pan, co mnie najbardziej interesuje u Orchana Lubelica? Pieniądze! Czy je ma? Z czego żyje i czy nie powodzi mu się teraz lepiej niż poprzednio?

Inspektor skinieniem głowy przyjął to do wiadomości i zamknął za sobą drzwi.

Gdyby Lubelic zabił i obrabował starego inwalidę, czy szukałby potem pracy u Adeliny Bossac? – zastanawiał się Lemaitre po wyjściu Moulina. W dwóch wypadkach byłoby to możliwe. Gdyby obawiał się spieniężyć zrabowane numizmaty albo gdyby był zawodowym bandytą i upatrzył sobie bogatą Adelinę Bossac jako następną ofiarę. Fakt, iż chłopak studiował, teoretycznie nie wykluczał tych możliwości, kryminalistyka notuje jeszcze bardziej zaskakujące przypadki. Jednakże – według swego wyczucia – raczej gotów był przypuścić, iż jeśli Lubelic popełnił zabójstwo, to odważył się na to jeden raz. Czy jego ofiarą byłby wtedy Froisier czy Adeline Bossac, Lemaitre nie potrafił odpowiedzieć.

Goldsterna udało się Lemaitrowi złapać dopiero w południe i, co gorsza, nie uzyskał odpowiedzi na nurtujące go pytania związane z Pattonem. Doradca finansowy Adeliny Bossac nie znał jej dalszych

planów wobec firmy Corton, czy zamierzała w ostatnim momencie bessy wykupić tyle akcji, by w sumie zarobić lub zostać znaczącą udziałowczynią. Nie wiedział też, czy w marcu pozbyła się tych akcji, ulegając jakimś perfidnym podszeptom czy poradom udzielanym w dobrej wierze. Kategorycznie zaś odmówił dostarczenia jakichkolwiek informacji dotyczących Pattona. Zapewnił, iż nigdy nie trudnił się zbieraniem poufnych wiadomości. Zajmuje się doradztwem wobec osób, które powierzają mu troskę o ich interesy, a to zaś z tamtymi czynnościami nie ma nic wspólnego. Wie, oczywiście, iż są indywidua, które się czymś takim parają, ale z tą kategorią ludzi nie miał nigdy nic do czynienia.

Nie ulegało wątpliwości, że Goldstern poczuł się urażony. Po raz drugi Lemaitre, nie zdając sobie z tego sprawy, pomniejszył jego status zawodowy. Przeprosił więc adwokata, wyjaśniając swą gafę niezajomością sfery finansów i brakiem orientacji w tej dziedzinie.

Goldstern sumitowania wysłuchał zimno, po czym poinformował, iż dane o stanie majątkowym jego klientki wysłał, zgodnie z życzeniem Lemaitre'a, na Quai d'Orfeves. Przypuszcza więc, że wszelkie informacje, jakich mógł udzielić policji, dotyczące spraw finansowych zmarłej, którymi on się zajmował, będą już wyczerpane.

Lemaitre zaklął po położeniu słuchawki. Gdyby mu nie nadepnął na odcisk, mógłby się dowiedzieć, kto może dostarczyć o Pattonie wiadomości. Pewien był, że adwokat wie doskonale, do kogo mógłby go w tej sprawie skierować.

Że też, cymbał, musiał się nadać! Jakby było o co! Gdyby mnie ktoś potraktował jak ulicznego wywiadowcę, to bym się roześmiał lub wzruszył ramionami... Stwierdziwszy to Lemaitre nie zgłębiał, czy jest w tym momencie stuprocentowo szczerzy.

Poprawił mu się trochę humor po przyjściu Chartiera. Podinspektor przyszedł z wiadomością, iż „L'Echo” zmieniło właścicieli w

pierwszym tygodniu kwietnia. Informator Chartiera podtrzymywał także swe przypuszczenie, iż Jobert służył jedynie jako parawan, za którym ukrywali się inni. Potwierdzały się również opinie o bliskich kontaktach Joberta z niektórymi członkami rządzącej partii, m.in. z Debranche'm.

Lemaitre nie był o zurnalistach zbyt dobrego zdania, szczególnie jeśli chodzi o publicystów. Irytował go brak bezstronności, z jakim podchodzili do omawianych problemów; uważał, iż każdy z nich, szczególnie spośród tych błyskotliwych o ciętym piórze, potrafiłby w równie przekonujący sposób udowodnić tezę wręcz przeciwną niż tę, którą właśnie lansował. W gazetach uznawał jedynie rzeczowe informacje bez komentarzy.

Teraz zachodziła konieczność zorientowania się w zmianach, jakie zapewne zaszły w „L'Echo de France”. Nie miał znajomości w świecie dziennikarskim na tyle bliskich, by mógł bez wywołania szerszego zainteresowania zasięgnąć w tej sprawie języka. Co prawda mógłby zwrócić się z tym do komisarza Gavina, który za młodych lat pisywał w gazetach kroniki sądowe i do dzisiaj chętnie obracał się w środowisku dziennikarzy. Nie był jednak z nim zaprzyjaźniony; obawiał się również, iż Gawin będzie chciał się dowiedzieć, z jakich powodów interesuje się „L'Echo”.

Jedynym kolegą z Quai d'Orfeves, z którym łączyła go naprawdę duża zażyłość, był Jacques Ternier. Zazwyczaj dzielili się swymi wątpliwościami, jakie nastroczały się podczas dochodzeń, znali wzajemnie prowadzone przez siebie w danej chwili sprawy, obaj też wiedzieli, że mogą na siebie liczyć w wypadku jakichś kłopotów. Cóż byłoby prostszego niż poprosić Jaquesa, by wydusił z Gavina wszystko, co wie o tamtej gazecie. Ale od chwili przekazania mu przez Rondoniera sprawy zabójstwa Adeliny Bossac jako poufnej Lemaitre unikał Terniera. Nie był pewien, czy na pytanie, co teraz robi, wykręciłby się jakąś zmyśloną historijką, a jeszcze bardziej nie miał pewności, czy potrafi się

oprzeć chęci, aby szczerze mu o wszystkim opowiedzieć, głowę by dał, że Ternier zachowa wszystko przy sobie. Jednakże polecenie szefa, by nikt o sprawie nie został powiadomiony, obowiązywało go, niezależnie od wewnętrznych sprzeciwów.

Biedził się nad tym dość długo, nim zdecydował się i nakręcił numer Temiera:

– Słuchaj stary, mam do ciebie prośbę. Pod jakim chcesz pretekstem wywiedz się od Gavina o zmiany, jakie zaszły w „L’Echo de France”. Kręci się wśród dziennikarzy i na pewno będzie wiedział, a jeśli nie, to będzie mógł się dowiedzieć. Mam paskudną sprawę, o której nie chcę jeszcze z tobą mówić i nie chcę, żebyś się teraz o coś pytał. Oczywiście, że potem ci wszystko powiem, ale nie wiem jeszcze, kiedy to będzie. Jestem diabło zajęty, więc jak tylko się czegoś dowiesz, przezadzwoń mi, dobrze.

Usłyszawszy „tak” jeszcze dorzucił:

– Nie mam nawet czasu, by dowiedzieć się, co się u ciebie dzieje, i, mimo że brak mi widoku twojej gęby, przez pewien czas będę musiał się bez niego obejść ze stratą dla siebie, jak się domyślasz... – i szybko położył słuchawkę.

Jakże chętnie zapytałby teraz Jacquesa, co pomyślał o tym jego telefonie.

\*

Z brydżowych gości Adeliny Bossac dotychczas poza Breçonem nie przesłuchał jedynie Arnauda. Wolał przed rozmową z nim mieć informacje dostarczone przez wywiadowców, a także poznać opinię Thérèse Tressaille, której nie zdążył o niego zapytać.

Nie udało mu się jednak z nią skontaktować. Telefon w jej domu przez cały dzień nie odpowiadał. Również nazajutrz rano nikt nie podniósł słuchawki. Czyżby wystraszył ją na tyle, że zdecydowała się



wyjechać? Tego nie przewidział, byłoby mu to bardzo nie na rękę. Po wielokrotnym daremnym telefonowaniu zdecydował się w porze *déjeuner* zadzwonić do mieszkania jej córki i od niej się czegoś dowiedzieć.

Tu wreszcie podjęto słuchawkę. Odetchnął z ulgą i poprosił panią Boud.

– Niestety, nie ma – usłyszał w odpowiedzi.

– Właściwie chciałbym skomunikować się z jej matką, panią Tressaille. Czy jest obecna w Paryżu?

W słuchawce rozległ się śmiech.

– Od początku, gdy usłyszałam pana głos, miałam to wrażenie, komisarz Lemaitre, prawda? Jestem u córki, która na trzy dni wyjechała do chorej teściowej, a ja przez ten czas zajmuję się wnuczką. Chciałam nawet zawiadomić pana, że nie będzie mnie w domu, ale pan wziął mój telefon, nie dając mi w zamian swego...

Wyjaśnił, że chciałby dokończyć przerwana przez przyjście sprzątaczkii rozmowę i że zależy mu na czasie.

– Czy nie ma pani możliwości oddania – o mały włos nie powiedział: pozbycia się – dziecka na parę godzin?

– Mała ma dopiero cztery lata i nie zostałaby przy nikim obcym. Ale... mam pomysł. Czy miejsce naszego spotkania byłoby panu obojętne?

– Oczywiście.

– To proszę przyjść jutro do Ogrodu Luksemburskiego o dziesiątej rano. Będziemy tam na pana czekać niedaleko sadzawki. Teraz muszę już kończyć i przypilnować małą przy jedzeniu.

Na drugą po południu wyznaczone było posiedzenie u Rondoniera. Odbywały się one co dwa lub trzy tygodnie, był to tzw. przegląd bieżących spraw, nazywany popularnie *nasiadówką*. Obowiązek uczestnictwa dotyczył wyższych funkcjonariuszy, inspektorzy byli przy tej

okazji pomijani, czego im, oczywiście, zazdrozczono.

Lemaitre chętnie by się z dzisiejszego posiedzenia wykręcił. Zwykle z Ternierem siadali niedaleko siebie i często sztubackim zwyczajem wymieniali między sobą karteczki z uwagami. Ternier świetnie rysował i Lemaitre zachował dotąd kartkę z narysowanymi przez niego podobiznami kolegów, których głowy umieszczone były na tułowiaach różnorakich zwierząt, od barana począwszy – tego wieńczyło popiersie Rondoniera. Dziś wolałby z Ternierem się nie zetknąć. Może więc, jeśli upomni się teraz u starego o obiecane informacje dotyczące majątku Debranche'a, uda mu się przy okazji nakłonić Rondoniera, by zwolnił go z dzisiejszej nasiadówki. Ruszył do jego sekretariatu i natknął się na wychodzącego szefa.

Pewnie nie zdążył dotąd wyskoczyć na *déjeuner* – pomyślał. Widać było, że się spieszy, mimo to zaryzykował i zatrzymał go.

– Obiecał pan mi dostarczyć dane o dochodach ministra Debranche'a...

– Ach tak, tak, rzeczywiście. Ale tyle ostatnio mam na głowie, że nie zdążyłem jeszcze wydać tego zlecenia, ale to przecież nie było takie pilne, nie ma pan powodów do pośpiechu.

Naturalnie, chce odsunąć osobę Debranche'a na jak najdalszy plan, że też się dałem nabrać, że mi to zaraz załatwi... – Lemaitre był wściekły.

– Rozpatrzenie wszystkich informacji może także umożliwić wykluczenie osoby, której dotyczą, z kręgu podejrzanych. Jeśli w tym przypadku to nie jest, jak mi się zdaje, pilne...

– Źle mnie pan zrozumiał i lubi się pan ze mną droczyć. Zawsze im więcej informacji, tym lepiej dla śledztwa. Żeby mi to zlecenie nie wyleciało z głowy, zaraz po powrocie zapiszę w terminarzu pod jutrzejszą datą. W porządku?

Nim Lemaitre zdążył bąknąć „tak”, Rondonier był już przy schodach.

Na nasiadówkę przyszedł ostatni. Ternier mógł tylko z daleka kiwnąć mu głową, wszystkie miejsca koło niego były zajęte.

\*

Lemaitre nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w Ogrodzie Luksemburskim, ale musiało to być bardzo dawno. Nie mieli z Marcelle dzieci i była to wina, jak twierdzili lekarze, przechodzonej przez niego w dzieciństwie i źle leczonej świnki. Oboje też unikali miejsc, w których przebywały dzieci. Luksemburski Ogród był właśnie takim miejscem, gdzie matki zazwyczaj prowadziły swe pociechy na spacer. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni przy cembrowinie sadzawki bawili się mali chłopcy wypuszczający na wodę papierowe i plastikowe stateczki.

Kiedy o wyznaczonej godzinie zbliżał się do umówionego miejsca, już z daleka zobaczył machającą do niego panią Tressaille. Siedziała na krzeselku, koło niej mała dziewczynka wozila w lalczynym wózku pluszową małpkę.

– Trzymam dla pana miejsce – wskazała na sąsiednie krzesło, na którym leżała jej torebka.

Podziękował i usiadł, rozglądając się za dozorcą, pobierającym za krzesła opłaty.

– Już zapłaciłam – oznajmiła pani Tressaille – bałam się, że ktoś mógłby je zająć. Przy takiej wspaniałej pogodzie, jak dziś, wszystkie miejsca będą niedługo zajęte. Może pan dopisać do mego wizerunku nie tylko ciekawość, ale i przeczność. Testament się nie znalazł?

– Nie.

– Domyślam się już, że szuka pan osoby, która mogła się nim zaopiekować. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się prawdopodobne, że w ogóle go nie było... Gdyby był, nikt

obcy nie mógłby go wykraść, a zawodowego złodzieja można nie brać pod uwagę, cóż by mu z samego testamentu przyszło?

– Być może, ma pani rację, ale interesuje mnie nie tylko testament, ale i ludzie, którzy u pani Bossac bywali.

– Robi pan wszystko, żebym nie mogła zorientować się, o co chodzi, i trzeba przyznać, że znów udało się panu mnie zaintrygować, a już myślałam, że wiem, jaki był cel pana wizyty u mnie.

– Danielle! – zawołała do wnuczki – nie odchódź za daleko!

– Jeśli powiem, że chęć poznania pani sądów o ludziach grających u pani Bossac w brydża, odpowiadałoby to pani?

Odrzuciła się żywo w jego stronę, obrzucając uważnym spojrzeniem, po czym popatrzyła przed siebie zamyślona, nim wreszcie odpowiedziała:

– Nie wiem... I dlaczego właśnie moje opinie są dla pana na tyle ważne, że chce się ich pan koniecznie dowiedzieć?

– Niestety, nasza rozmowa musi mieć założenie, że tylko ja mogę zadawać pytania.

Znów odwróciła się do niego.

– Chce pan przez to powiedzieć, że nasza rozmowa jest przesłuchaniem?

– Niezupełnie... Jak pani widzi, brak protokolanta.

– Lecz poza tym wszystko inne się zgadza, tak? – Po chwili milczenia nagle się uśmiechnęła. – Niepotrzebnie pytam, ma pan przecież wszystkie uprawnienia, rozumiem też, że protokolant w Ogrodzie Luksemburskim byłby nie bardzo na miejscu... I jeśli odruchowo wyskoczę z jakimś pytaniem, proszę mi nie mieć za złe, nie nabrałam jeszcze wprawy jako osoba przesłuchiwana.

– O pana Arnaud nie będę panią pytać nie tylko dlatego, że zastrzegła sobie pani dyskrecję co do intymnych związków jej przyjaciółki, ale wiem o nim wystarczająco dużo. Co najwyżej poproszę później o jakieś uzupełnienie.

– Skoro pan już wie, cieszę się, że nie będzie potrzeby o nim mówić. – Z tonu wynikało jasno, że nie darzyła przyjaciela Adeliny Bossac sympatią.

– Pamięta pani odkąd Paul Breçon zaczął grywać w Neuilly w brydża?

– Dokładnie nie, ale od dobrych kilku miesięcy.

– Orientuje się pani, od jak dawna datowała się znajomość pani Bossac z Breçonem?

– Chciałby pan, żeby moja odpowiedź była szczerą?

– Jest to samo przez się zrozumiałe.

– Czyżby przy przesłuchaniu składało się przysięgę prawdomówności? Przepraszam, zapomniałam, nie mam prawa pytać. No, cóż – wzruszyła lekko ramionami – skoro mam być prawdomówna, muszę powiedzieć, że osoba Breçona wiązała się z pewnym planem wykoncypowanym przez Adeline. Nie tylko była do swego bratanka przywiązana, co, jak mówiłam, było zrozumiałe ze względu na brak własnych dzieci, ale niejako utożsamiała swoje ambicje z jego karierą polityczną. Jak panu zapewne wiadomo, opozycja dokłada wszelkich starań, by w nadchodzących wyborach rządząca partia przegrała. Przeciwnikami mającymi największą szansę, by zasiąść na ich miejscu, są lewicowi centryści pod przewodnictwem Falcona. Sama bym o tym, oczywiście, nie wiedziała, bo się na tym nie znam i nie interesuję. Wiem o tym wszystkim od Adeliny, która ze względu na Jeana śledziła bardzo pilnie scenę batalii politycznych. W pewnym momencie dowiedziała się o Breçonie, jako o wschodzącej i rokującej największe nadzieje gwiazdzie na firmamencie opozycji. Wydał się jej tym bardziej groźny, że młodszy jest od Debranche'a, a dzisiaj właśnie młodym chętniej oddaje się stery, które dawniej tradycyjnie przekazywano starszym.

Adelina zaczęła się więc głowić nad sposobem unieszkodliwienia Breçona. Na pewno, gdyby mogła, to by go unicestwiła, ale, rzecz prosta, nie mogła. Próbowwała natomiast przez dłuższy czas najróżniejszych

chwytów, miała pieniądze, które jej to umożliwiły. Starła się poprzez skaptowanych ludzi z partii Falcona popsuć Breçonowi opinię i osłabić jego pozycję. Nie przyniosło to spodziewanych rezultatów; wtedy przyszedł jej do głowy niezwykajny i według mnie wariacki pomysł, żeby przeciwnika obłąskawić. Nie wiem, ile wysiłku w to włożyła, ale myślę, że dużo, by dostać się do towarzyskich kręgów, w których Breçon bywał, i tam zawrzeć z nim znajomość. Nie znał pan Adeliny, potrafiła być czarująca. Dopięła swego i udało się jej zaciągnąć go raz do siebie na brydża, gdzie przygotowała wabika. Domyśla się pan kogo?

– Nie – odparł zaskoczony Lemaitre.

– Denise Debranche. Trzeba przyznać, że jest bardzo ładną i pociągającą kobietą, Adelina nie wątpiła, że wpadnie mu w oko. Przypuszczam też, iż wymogła na Denise, by, mając na względzie karierę Jeana, starła się jak może Breçona oczarować. Liczyła, że Breçon, jeśli straci dla Denise głowę, zacznie mieć opory w kontynuowaniu walki politycznej z jej mężem.

I rzeczywiście, Denise natychmiast wpadła Breçonowi w oko, zaczął chętnie przychodzić do Adeliny na brydża, wtedy kiedy bywała tam Denise.

Jednego tylko Adelina nie przewidziała – Thérèse Tressaille parsknęła krótkim śmiechem – że również Breçon może wpaść w oko Denise.

– Denise Debranche zainteresowała się Breçonem?

– Na szczęście Adelina nie zdawała sobie z tego sprawy. Była tak zaślepiona, jeśli chodzi o Jeana, że nie przyszło jej nawet do głowy, by Denise mogła zająć się jakimkolwiek innym mężczyzną. Nie wiem jednak, czy ostatnio nie obudziło się w niej podejrzenie, bo w ostatni wtorek zauważyłam, iż podczas gry raz i drugi spoglądała w kierunku tamtego stolika. Może zauważyła przypadkiem spojrzenie Denise skierowane na Breçona lub mimo wolny gest któregoś z nich świadczący

o wzajemnym stosunku. Tego dnia chciała zatrzymać Denise po brydżu, motywując to nie pamiętam czym, ale co wypadło zupełnie naturalnie. Denise wykręciła się od zostania z nią sama, powołując się na Jeana, który zajęty przez cały dzień chce po powrocie do domu odechnąć życiem rodzinnym i nie lubi, gdy o tej porze nie ma jej w domu.

Ze mną, gdy spotkałyśmy się nazajutrz w kawiarni, oczywiście, nie zamieniła na ten temat słowa. Jej wspaniały Jean, który mógłby być zdradzany przez żonę! Nie, to było nie do pomyślenia, żeby takim podejrzeniem mogła się z kimkolwiek podzielić.

Ale może się mylę – dodała po małej pauzie – może Adelina do końca nie była niczego świadoma, może chciała zatrzymać Denise, by upewnić się, że jej plan realizuje się zgodnie z tym, co chciała osiągnąć...

– Jak wiem, Breçon kandyduje jednak z ramienia swej partii – wtrącił Lemaitre.

Thérèse Tressaille znów się roześmiała.

– Podejrzewam, iż ostatnią rzeczą, na jakiej Denise teraz zależy, jest zwycięstwo w wyborach jej męża.

– Wynika z tego, że małżeństwo Debranchów może się rozpaść?

– Nie sędzę. Denise ceni pieniądze męża, a on jest tak zajęty swoimi sprawami, że można nie mieć obawy, aby się w zaistniałej sytuacji zorientował. Poza tym jest mały Pierre, którego Jean kocha i w przypadku rozwodu nie oddałby Denise.

Lemaitre'owi przypomniało się nagle wejście do pokoju chłopca, chmurne, niechętnie spojrzenie, jakim go obrzucił, i nerwowa reakcja matki.

– Chłopiec jest chyba bardzo do matki przywiązany – powiedział – gdy zobaczył, że jest zajęta rozmową ze mną, potraktował mnie jak wroga.

– Być może widział kiedyś coś, czego nie powinien widzieć i co miało związek z osobą jego matki. Kobiety po trzydziestce, które

straciły dla kogoś głowę, bywają nieostrożne. Breçon mógł bywać w domu Denise pod nieobecność Jeana – skomentowała ze spokojem pani Tressaille.

– Czy pani Debranche przychodziła kiedy na brydża razem z Breçonem?

– Nie, skądże. Nigdy nie przychodzili razem. Ostatniego wtorku my z Peladem byliśmy pierwsi, po nas...

– Pan Pelade przyszedł po panią? – szybko przerwał jej Lemaitre.

– Tak, jak powiedziałam, przyszliśmy razem. Zawsze we wtorki Gaston wstępował po mnie, nigdy na brydża do Adeliny nie przychodził sam. Mnie to także odpowiadało, bo przywoził mnie do Neuilly i odwoził, przy tym ruchu przestałam w Paryżu prowadzić samochód. Zresztą nigdy dobrze tego nie robiłam, póki żył mąż rzadko się zgadzała oddać mi kierownicę; po jego śmierci trochę jeszcze jeździłam, ale w końcu zrezygnowałam – uśmiechnęła się – ze względu na tzw. dobro bezpieczeństwa publicznego, nieraz potrafiłam spowodować niemały korek...

– Wracając do ostatniego wtorku, więc państwo przyszedli pierwsi, a po nich?

– Po nas zjawił się Breçon, a potem, nie pamiętam już, w jakiej kolejności, Arnaud, Pattonowie i Denise, w każdym razie odstępy czasu, w jakich przychodzili, były minutowe, zwykle o szóstej piętnaście zasiadaliśmy do stolików.

– A co może pani powiedzieć o samym Breçonie?

– Jest gładki i inteligentny. Podejrzewam też, iż jest lepszym graczem politycznym niż Jean, który startował z poparciem ojcowskich pieniędzy. Breçon, sądząc z tego, co mówiła o nim Adelina, pochodzi z niezamożnej drobnomieszczańskiej rodziny. Wybił się więc o własnych siłach, a to coś znaczy...

– Czy według pani Arnaud wiedział o planach pani Bossac dotyczących Breçona?



– Nie sędzę. George Arnaud należał do ściśle określonej sfery jej życia i raczej nie miała złudzeń, co do jego zasad etycznych.

– Obawiała się, że znając jej zamierzenia wobec Breçona, mógłby je w jakiś sposób zdyskontować na swoją korzyść?

– Może nie oceniała tego aż tak precyzyjnie, raczej chyba wolała nie ryzykować doświadczenia, stwierdzającego bez wątpliwości, do czego Arnaud jest zdolny.

– Aż tak? I mimo to...

Pani Tresaille wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Adelina umiała bardzo rozsądnie rozgraniczać pewne sprawy.

– Jak wiem, ostatnio pani Bossac często urzędzała brydża na dwa stoliki. Przychodzili wówczas państwo Patton?

– Przeważnie.

– Pani Bossac była z nimi mocno zaprzyjaźniona?

– Swoje tzw. przyjaźnie traktowała przeważnie instrumentalnie. Poza mną. Ja byłam wyjątkiem, do niczego przecież nie mogłam się jej przydać. Ale nie interesowałam się, z jakich powodów zacieśniła stosunki z Pattonami.

Małej Danielle znudziło się wożenie małpki i zażądała, by babka poszła z nią nad wodę popatrzeć, jak pływają puszczane przez chłopców łódeczki. Z wyrwanej z notesu kartki Lemaitre sprokurował stateczek i dał go Danielle. Przy basenie trzymając jej rączkę razem puścili go na wodę, potem pożegnał się i spiesznie wyszedł z Ogrodu Luksemburskiego.

Ledwo wszedł do swego pokoiku, Moulin przyniósł raport oparty na informacjach wywiadowców dotyczących Arnauda. Na biurku zaś leżała już notka z sekretariatu zawiadamiająca, że od rana telefonował do niego sierżant Lamier, nie chciał jednak powiedzieć, w jakiej sprawie.

Lemaitre odłożył raport i połączył się z komisariatem w Neuilly. Sierżant pamiętał o poleceniu, by zawiadomić go o każdym wydarzeniu z ostatnich dni życia Adeliny Bossac, jakie przypomni sobie jeszcze Suzanne.

I Suzanne przypomniała sobie, że w ostatni poniedziałek był do pani Bossac w południe telefon. Siedziała w jadalni, kończąc *déjeuner* i telefon przyjęła Suzanne. Dzwonił jakiś pan, nie pamiętała dobrze nazwiska: Bremont, Brenier czy coś podobnego. Gdy powtórzyła je pani Bossac, ta natychmiast zerwała się od stołu i podeszła do aparatu, który był przełączony na hall. Rozmowa była długa, tzn. ktoś mówił długo, a pani Bossac wtrącała od czasu do czasu „tak” lub „acha”. Drzwi od jadalni były otwarte, a Suzanne zbierała naczynia ze stołu i wynosiła je do kuchni. Usłyszała jeszcze, jak w pewnym momencie zapytała: „Chodzi o tego jubilera z rue de la Paix?”.

Więcej nic nie usłyszała, poszła na górę sprzątać. Pamięta tylko, że po tym telefonie pani Bossac natychmiast wyprowadziła samochód z garażu i wyjechała. Wróciła do domu dopiero po trzech godzinach. Do obiadu leżała u siebie w sypialni. Co robiła potem, Suzanne nie wie, bo od rana bolała ją głowa i tego dnia bardzo wcześnie poszła spać.

Podziękował Lamierowi i dodał, że informacje mogą okazać się ważne.

To, czego się teraz dowiedział, zmieniało obraz sytuacji. W poniedziałek Suzanne położyła się wcześniej... Skoro przedtem, gdy Arnaud został na obiedzie, nie udało się jej nigdy usłyszeć jego wyjścia, chociaż pani Bossac musiała za nim zamykać, przecież niebezgłośnie, drzwi frontowe, zachodziła możliwość, że w ten poniedziałek ktoś mógł ją wieczorem odwiedzić. Nikt, kto byłby uprzednio zaproszony, bo wówczas przyjmowałaby go jakimś drinkiem czy kawą i Suzanne nie miałyby wolnego wieczoru, i nie mogłaby pójść spać. A więc ktoś

na tyle bliski, by mógł wpaść niezapowiedziany lub wezwany nagle. I tym kimś mógł być przede wszystkim George Arnaud... Ale, czy tylko on?

Tą osobą mogła być również Denise Debranche, jeśli ciotka jej męża zauważyła przedtem, co się święci między nią a Breçonem. Wieczornym gościem – zastanowił się – mogłaby być, przy stosunkach, jakie je łączyły, także Thérèse Tressaille.

Wystarczyłoby, żeby gospodyni wyszła z pokoju po jakiś trunek i nie było jej parę minut, by zdążyć podpiłować hak, na którym wisiał wspornik utrzymujący kamienną wazę. Tylko że ten, kto by to wtedy zrobił, musiałby mieć przy sobie pilnik do metalu, a więc przyjść właśnie z tym zamiarem lub wykorzystać okazję, na którą od dawna czyhał.

Trudno sobie wyobrazić, by mogła to zrobić Denise Debranche. Jeśli jednak Adelina Bossac orientowała się w sytuacji i zagroziła Denise, że powie mężowi? Ze strachu zabijają najczęściej osoby tchórzliwe. Robiła wrażenie małej kobietki, co potwierdził także Pelade, takie nie bywają odważne. Czy rzeczywiście tak straciła głowę dla Breçona, że zdolna by była do wszystkiego?

Prędzej posądziłby Thérèse Tressaille. Przy jej opanowaniu i inteligencji mogła wymyślić niezwykajny i trudny do wykrycia sposób morderstwa. Miała zięcia inżyniera-metalowca. Cóż prostszego, jak naprowadzić rozmowę na temat odkształcania metali. Przy użyciu pilnika nie potrzeba większej siły... Tylko po co by to robiła, jakie by mogła mieć powody?

Wstał od biurka i podszedł do okna. Miał tej sprawy serdecznie dość. Nie tylko dlatego, że nie było w niej nic konkretnego, czego można by się uchwycić, ale jeszcze musiał w idiotyczny sposób prowadzić dochodzenie. Gdyby każdej z tych osób, z którymi dotychczas rozmawiał, mógł wywalić „kawę na ławę”, że chodzi o morderstwo, o

ileż więcej by mu mieli do powiedzenia, jakże dopisywałyby każdemu, z wyjątkiem sprawcy, pamięć, aby tylko odsunąć od siebie podejrzenia.

Wrócił do biurka i zabrał się do czytania raportu Moulina. Kiedy skończył, czas poświęcony na rozmyślenia o Thérèse Tressaille i Denise Debranche wydał mu się zmarnowany.

Raport bowiem zawierał nader ciekawe informacje. George Arnauda odwiedziła w jego mieszkaniu pięćdziesięcioletnia Manette Leroc, żona znanego jubilera. Zaobserwowany pobyt trwał dwie godziny, od drugiej do czwartej po południu. Również Arnaud był dwukrotnie w sklepie jubilera przy rue de la Paix, gdy nieobecnego właściciela zastępowała jego żona. Kontakty Arnauda z paniami nie ograniczały się tylko do pani Leroc. Ustalono, że spotyka się co drugi dzień z Marie-Luise Rouquet, ekspedientką z działu bielizny męskiej w „Au Printemps”. Po zamknięciu magazynu jedzą wtedy obiad na Wielkich Bulwarach, potem lądują w hoteliku, wynajmującym pokoje na godziny. Przez czas kilkudniowej obserwacji Arnauda Marie-Luise Rouquet nie odwiedziła go w jego mieszkaniu.

Według ustaleń wywiadowców, do biura kupna i pośrednictwa wynajmu mieszkań, jakie prowadzi Arnaud, przychodzili bardzo nieliczni klienci. Podinspektor Chartier sam odegrał rolę poszukującego mieszkania i odniósł wrażenie, że cała działalność biura opiera się głównie na wykorzystywaniu indywidualnych anonsów gazetowych. Uważa też, że najprawdopodobniej Arnaud musi mieć poza tym jakieś inne źródło utrzymania, a biuro odgrywa rolę oficjalnego dowodu posiadania przedsiębiorstwa, z którego żyje. Zgadza się to z informacjami uzyskanymi uprzednio w Wydziale Finansowym, iż ma bardzo małe obroty i często zalega z podatkami.

Lemaitre poczuł nagły przypływ energii. Czyżby wreszcie znalazł

koniec nitki, która zaprowadzi go do kłębka? W każdym razie wiadomość o Mariette Leroc była rewelacją. Tej właśnie osoby dotyczył telefon, o którym mówiła Suzanne. Adeline Bossac poinformowano wówczas, kto jest jej następczynią w życiu Arnauda. Najprawdopodobniej też jej natychmiastowy wyjazd z domu miał na celu wyjaśnienie sytuacji.

Czy widziała się wówczas z Arnaudem, czy też z Mariette Leroc? Lemaitre puścił wodze wyobraźni, rozpatrując obie te możliwości. W jednym i w drugim przypadku Arnaud miał powód, żeby tego wieczoru zjawić się w Neuilly.

Mając w rękę tyle informacji, Lemaitre mógł już teraz zająć się jego osobą. Zastanawiał się tylko nad miejscem spotkania. Najprostsze byłoby wezwanie go na Quai d'Orfeves. Obawiał się jednak, iż wystraszony Arnaud będzie się miał wówczas bardziej na baczności. W rozmowie nie sprawiającej wrażenia oficjalnego przesłuchania zachowanie może być bardziej swobodne, a wypowiedzi mniej ostrożne, a o to mu chodziło. Nie chciał przy tym, jak to miało miejsce z Thérèse Tressaille i Gastonem Pelade, przeprowadzać tej rozmowy u niego w mieszkaniu. Pomyślał nawet, czy nie kazać mu zjawić się w Neuilly i zobaczyć go na tle tamtego domu, ale zaraz z tego pomysłu zrezygnował. Uznał wreszcie, że najlepszym neutralnym tłem do rozmowy będzie kawiarnia i raczej nie mała kafejka, a uczęszczany lokal, choćby któryś z tych na Polach Elizejskich.

Ponieważ nie wiedział, jak Arnaud wygląda, wezwał Chartier a, który jako rzekomy klient odwiedził go w biurze.

Opis fizjonomii Arnauda sprawił podinspektorowi niespodziewane trudności i w sumie sprowadził się do stwierdzenia, że jest przystojnym blondynem. Polecił więc Chartierowi, by telefonicznie mu przekazał, iż komisarz Lemaitre życzy sobie zobaczyć się z nim nazajutrz

o godzinie trzeciej po południu w kawiarni „Renault” przy Polach Eliżejskich, a jako znak rozpoznawczy ma wpiąć w butonierkę różowy goździk.

Z tego, co o nim wiedział, zasługiwał na to, żeby go ośmieszyć tym różowym goździkiem.

Popołudniowa poczta przyniosła sporządzony przez Goldsterna wykaz majątkowy Adeliny Bossac. Czytając go, mimo woli zagwizdał. Wiedział, że była osobą bogatą, ale świadomość jej bogactwa nie kojarzyła mu się z konkretnymi cyframi. Teraz zaś czarno na białym miał wyszczególnioną we frankach wartość jej wszystkich papierów wartościowych, wynosiło to razem czterdzieści milionów franków i, jak zastrzegł Goldstern, wykaz nie obejmował gotówki ulokowanej w bankach ani wartości domu w Neuilly i willi w Cannes.

Według Lemaitre'a, człowiek dysponujący paroma milionami należał bez wątpienia do ludzi bogatych. Wyraz „bogaty” był określeniem ogólnym i wystarczającym. Nie widział różnicy w pojęciach „bogaty” i „bardzo bogaty”, istotny był sam fakt bogactwa. Teraz zrozumiał, że między określeniem „bogaty” i „bardzo bogaty” może istnieć przepaść liczona dziesiątkami milionów franków.

A więc Adelina Bossac była nie tylko bogata, była szalenie bogata. Zdumiewało go przy tym, że mając tyle, starała się jeszcze przy pomocy Goldsterna swój majątek powiększyć, podczas gdy same odsetki przy spieniężeniu akcji i udziałów pozwoliłyby jej na luksusowe życie bez żadnych ograniczeń...

Myśl, która w tym momencie nagle wypłynęła, że to ogromne bogactwo nie umożliwiło jej jednak pozostania wśród żywych, pozwoliła mu otrząsnąć się z oszołomienia.

Kiedy nieco później sekretarka dyrektora przyniosła mu notatkę dotyczącą majątku Jeana Debranche'a, informacje te nie wywołały już

zadnego zdziwienia i emocji. Nie było tu zresztą konkretnych cyfr, a jedynie lakoniczne stwierdzenie, że posiada udziały w Banku Lyońskim odziedziczone po ojcu oraz posiadłość ziemską w departamencie Loary.

Stary otrzymał te wiadomości poufnym telefonem, nie wysłał się na żadne zlecenie – stwierdził, poznając na notatce pismo Rondoniera.

Dzięki informacji udzielonej przypadkiem przez Denise Debranche, iż ojciec jej męża był współwłaścicielem banku, Lemaitre nie miał wątpliwości, że wymieniony majątek należy ocenić bardzo wysoko. Nie wykluczone, że gdyby mu w tej chwili powiedziano, iż ktoś rozporządza dwoma milionami franków, uznałby teraz ten status materialny za dość mizerny. Jako punktu odniesienia nie brałby już swych poborów komisarza P. J.

\*

W czwartek od rana było tak ciepło, jak bywa nie w kwietniu, lecz w czerwcu. W południe zrobił się upał, a barometr zaczął raptownie spadać. Kiedy Lemaitre jechał na spotkanie z Arnaudem, niebo nabierało koloru blachy. Żałował, iż umówił się w takim miejscu, jak Pola Elizejskie. Na rue Voltaire utknął w korku, potem musiał kluczyć w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania, jednostronny ruch okolicznych ulic stanowił dodatkowe utrudnienie. Kiedy znalazł wreszcie wolne miejsce dla swego renault, było już kilka minut po trzeciej, nim doszedł do umówionego lokalu minęło parę dalszych.

– Mimo iż o tej porze nie było w kawiarni specjalnego tłoku, dość długo lustrował ludzi nim rozpoznał George Arnauda. Siedział przy końcu sali odwrócony do niej bokiem i Lemaitre musiał podejść zupełnie blisko, by zauważyć w klapie różowy goździk.

– Zamówił pan już coś? – zapytał siadając naprzeciwko niego.

– Czekałem na pana. – Wyjął kwiat z butonierki, zgniótł w rękę i wyrzucił do popielniczki.

Lemaitre przyglądał mu się z zainteresowaniem. Nie ulegało kwestii, iż Adelina Bossac wybierała sobie bardzo przystojnych mężczyzn. Był w typie „słodkiego brutala”, choć nic w jego urodzie nie przypominało Clarka Gable. Miał lekko kręcone włosy o odcieniu miodu, orzechowe oczy i dołek w okrągłej brodzie. Otwarta marynarka ukazywała pod koszulą dobrze umięśniony tors. Nie wyglądał na swoje trzydzieści dziewięć lat.

– Okazało się, że po śmierci pani Bossac jej sprawy wymagają pewnego uporządkowania i rodzina ma z tym trochę kłopotu... – zaczął Lemaitre.

– I aż musiała się zwracać do policji o pomoc?

– Jak widać z mojej tu obecności – przytaknął. – Dla mnie coś mocniejszego z lodem – zwrócił się do kelnera, który akurat nadszedł. – A pan?

– Może być to samo.

Gdy kelner odszedł, Arnaud nachylił się nieco nad stolikiem, jakby chciał być lepiej przez Lemaitre'a słyszany.

– Przypuszczał pan, że ja także wezmę udział w usuwaniu tych kłopotów? – I zmrużywszy oczy wycedził : – Nic, ale to nic, ich kłopoty mnie nie obchodzą.

– Domyślam się. Ale mogą to być również i pana kłopoty – zaakcentował przedostatni wyraz.

Arnaud nie zareagował żadnym ruchem, ale Lemaitre odniósł wrażenie, jakby jego mięśnie się odruchowo napięły, tak jak u zaatakowanego zwierzęcia.

– Słucham dalej...

– Pan dobrze znał panią Adeline Bossac?

Jeden kącik ust uniósł się w znaczącym uśmiechu.

– Można to tak nazwać...

– Ta znajomość trwała długo?

– Wystarczająco długo.



– Konkretnie, ile lat?  
– Tak to pana interesuje? Ależ proszę bardzo, mogę zaspokoić pana ciekawość. Ponad siedem lat. – Znow popatrzył zmrużonymi oczami na Lemaitre'a. – I wyrażę się jeszcze jaśniej: przez te siedem lat sypiałem z nią. Jest pan wystarczająco usatysfakcjonowany moją odpowiedzią?

– Byłbym, gdybym idąc tutaj o tym nie wiedział. Doceniam jednak pańską szczerłość. Może więc powie pan także, w jakich okolicznościach poznał pan panią Bossac?

– Na nic się to panu nie przyda, bo poznaliśmy się przypadkiem. Zapalał papierosa i nie wyjąwszy go z ust dodał:

– Na wystawie kynologicznej.

– Pani Bossac wystawiała swego psa?

– Nie, przyszła obejrzyć psy, bo nosiła się z zamiarem kupna. Poradziłem jej wtedy, żeby zamiast psa sprawiła sobie elektroniczne zabezpieczenie. Alarmuje tylko wtedy, kiedy trzeba, a pies szczeka, kiedy trzeba i nie trzeba. – Uśmiechnął się ironicznie. – Trafiło to jej do przekonania.

Kelner przyniósł napełnione w jednej trzeciej szklanki i miseczkę z kostkami lodu. Arnaud wrzucił do swej szklanki aż cztery, co Lemaitre'a zdziwiło. Czyżby miał tak słabą głowę? – pomyślał. Sam wypił od razu spory łyk.

– Wracając do kłopotów, myślę, że jednak zainteresują one pana. Rzecz polega na tym, że nie ma testamentu pani Bossac.

– Jak to nie ma?

– Po prostu nie ma. Nie można go znaleźć. Pani Tressaille twierdzi, iż dlatego go nie ma, ponieważ pani Bossac rok temu go zniszczyła, czego była świadkiem, nowego zaś nie sporządziła.

– I pan się opiera na jej oświadczeniu?! Pewien jestem, że Adelina nie zniszczyła testamentu!

- Z czego pan to wnioskuje?
- Z panem mogę być szczerzy, nie miałyby zresztą sensu tego ukrywać. Adelina zapisała mi pewną sumę w testamencie, może to poświadczyć Goldstern, on redagował dokument. I do ostatnich dni, jak zdarzyło się nam pokłócić, miała zawsze tę samą odzywkę: Muszę zmienić testament, niepotrzebnie zrobiłam ten zapis dla ciebie...
- Czy ostatnia kłótnia miała miejsce trzydziestego pierwszego marca?
- Nie pamiętam.
- Przypomnę ten dzień: poniedziałek. Wtedy, kiedy panią Bossac poinformowano o istnieniu Manette Leroc.
- Arnaud na moment się zmieszał, ale zaraz wzruszył ramionami.
- A więc wiadomo panu i o tym?
- O Marie-Luise Rouquet również – rzucił sucho Lemaitre.
- A więc, jeśli to był poniedziałek, to na pewno tego dnia się z Adelina nie widziałem. Może to poświadczyć właśnie Marie-Luise, z której odkrycia jest pan taki zadowolony.
- Marie-Luise Rouquet spotyka się z panem po zamknięciu „Au Printemps”.
- Tego poniedziałku miała popołudnie wolne w zamian za pracę w sobotę przy wiosennych soldach. Łatwo można sprawdzić. Byliśmy nawet w kinie...
- Ale rozstaliście się z nadejściem wieczoru... – Lemaitre zaryzykował bluff.
- Przecenia pan moje możliwości, nie mam dwudziestu lat. – Arnaud znów uśmiechnął się krzywo jednym kącikiem ust. – Spotkanie z Marie-Luise skończyło się w hotelu. Wyobraża pan sobie, że miałbym potem siłę na spotkanie z inną kobietą? I w dodatku z taką, jak Adelina! Wróciłem do domu i położyłem się spać.
- A więc kiedy miała miejsce ostatnia scysja z panią Bossac wywołana osobą Mariette Leroc?

– Kłótnia o Manette? Na temat Manette nie było żadnej kłótni.  
– Twierdzi więc pan, że Adelina Bossac do ostatka nic o niej nie wiedziała?

– To pan twierdzi, że została o Mariette poinformowana. Ja nic nie twierzę. Być może dowiedziała się o niej, ale mi o tym nie mówiła.

– Chce pan powiedzieć, że nie zdążyła, tak?

– Możliwe. We wtorek przyszedłem wraz z innymi na brydża, po którym zaraz wyszedłem. Nazajutrz zaś ona miała gości i jej nie widziałem.

– Goście byli dopiero wieczorem na obiedzie.

– No to co z tego?

Lemaitre wiele by dał, żeby móc trzasnąć w pysk tego bezczelnego żigolaka.

– Do obiadu miała wystarczająco dużo czasu, żeby się z panem skomunikować.

– Ale się nie skomunikowała.

– Sam pan przyznał, że bywały między wami kłótnie. Wspomniał pan o nich na dowód, iż testament, w którym zrobiła zapis dla pana, nie został zniszczony. Jak pan wyjaśni w takim razie, że ta sama osoba, która nie unikała scysji, a nawet w gniewie groziła zmianą testamentu, nagle po otrzymaniu wiadomości, iż znalazł pan inną kobietę, z której zapewne mu łatwiej ciągnąć, mogła nie tylko nie robić panu wyrzutów, ale przez trzy dni nie wspomnieć nawet słowem, iż wie o pańskiej zdradzie.

– Widocznie mogła tak postąpić, skoro tak postąpiła. – Patrzył na Lemaitre'a wyzywająco. – I nigdy pan nie udowodni, że było inaczej...

Ostatnie stwierdzenie było jak najbardziej prawdziwe. Nikt nie był w stanie tego udowodnić i Lemaitre, dusząc w sobie bezsilną pasję, mógł tylko powiedzieć:

– Niech pan nie będzie tego tak bardzo pewny.

– W stosunku do młodocianych policjanta ma zapewne prawo

pouczania, chciałbym jednak przypomnieć, że dość dawno osiągnąłem pełnoletność. A może to jakieś reminiscencje z pracy w drogówce? Tej służbie zdarza się czasem przy wlepianiu mandatu pouczać i dorosłych kierowców...

Nie ulegało wątpliwości, że Arnaud był zły i chciał mu jak najmocniej dopiec w rewanżu za to, iż Lemaitre bez osłonek dał do zrozumienia, że uważa go za żigolaka.

– Było to nie pouczenie, lecz uprzedzenie, by nie był pan zbyt przekonany o braku niektórych dowodów. Lecz nie ma dla mnie znaczenia, jak pan to przyjął. Skoro jest pan pewien, że Adelina Bossac nie zmieniła testamentu, będzie pan teraz zapewne czekał na postępowanie spadkowe?

Arnaud skrzywił się i pociągnął dwukrotnie ze szklanki.

– Może to być teraz czekanie na Godota. Jeśli Tressaille wmówiła panu, że była świadkiem zniszczenia testamentu, nie wykluczone, iż sama się do niego dobrała. Chociaż nic jej z tego nie przyjdzie, bo Adelina przy pisaniu testamentu nawet o niej nie pomyślała. Taka jędrza jak Tressaille mogła to zrobić choćby na złość mnie. Bez zapisu testamentowego nie dostanę z masy spadkowej nawet grosza. Albo zrobiła to, by zemścić się na Adelinie za to, że ukrociła zapędy matrymonialne bratanka wobec jej córki.

– Jean Debranche chciał się ożenić z córką Thérèse Tressaille?

– W każdym razie czuł do niej dużą miłość. Adelina mi mówiła, że swego czasu Jean był zadurzony w osiemnastoletniej wówczas Monique Tressaille i wiele wysiłku musiała włożyć, żeby mu tę dziewczynę wybić z głowy.

– Mimo, że matka dziewczyny była jej przyjaciółką?

– Adelina mogła się z matką przyjaźnić, to nie miało nic do rzeczy. Ale nie mogła pozwolić, by Jean, potomek znanej bankierskiej rodziny, zenił się z córką właściciela zwykłej fabryczki urządzeń

sanitarnych. Choć na pewno fabryczka dawała niezłe dochody, ale nie na ambicje i apetyty rodziny Debranche'ów. Ożenił się potem z panną Denise de Clermont, która prócz bogatych rodziców miała jeszcze wysmienite pochodzenie i drogi Jean może obracać się nie tylko w świecie finansjery, ale i arystokracji. – Znów upił łyk. – Po śmierci Adeliny mógł również zabrać testament sam kochany bratanek Jean. Wie, że i bez testamentu będzie po niej dziedziczył, innych bliższych krewnych przecież nie miała. Warto mu zadać sobie kłopot udokumentowania tego. Jemu też wygodniej, by z nikim majątkiem ciotuni się nie podzielić, choćby do oddania była tylko jego malutka częśćka... – Arnaud mówił to z gorzkim wyrazem na nagle postarzałej twarzy.

Ciągle obracał się wśród ludzi bogatych i przez cały czas musiał marzyć o pieniądzach, których sam nigdy nie mógł się dochrapać – pomyślał Lemaitre.

Nadciągała burza, niebo pociemniało mocno i w kawiarni zapalono światła. Zrobiło się też tłoczniej, wiele osób z tarasu przechodziło do wnętrza.

Lemaitre chciał już tę rozmowę zakończyć, gdy Arnaud po chwili milczenia nagle podniósł głowę i ostro powiedział:

– Nie pozwolę się jednak zrobić w konia. Jaki mam dowód, że testamentu nie ma? Że pan mi to mówi? – Nie pozwolił Lemaitrowi dojść do słowa. – Tak, tak, wiem, że jest pan komisarzem P. J., w to nie wątpię, pan minister ma rozległe możliwości. Ale raczył mi pan tę historijkę opowiedzieć tu, w kawiarni, w cztery oczy, Jean uważał, że jeśli komisarz P. J. mi o tym powie, to nie połapię się już, że to może być „pic na wodę”, bajeczka na mój wyłączny użytek... Nie obchodzi mnie też, co mówi Tressaille ani ktoś inny, widziałem testament i za dobrze pamiętam, co mi na jego temat mówiła Adelina. Niech pan wezwie Goldsterna do Prefektury, niech zezna pod przysięgą, czy był dla mnie zapis czy nie i jaki!

– Pójdzie pan na ryzyko sądowego odtwarzania testamentu? To

dosyć kosztowna impreza, a dobrego wyniku dla pana nie gwarantuje. Czy pan będzie motywował, że jakieś pieniądze się ze spadku panu należą? Za usługi, które pan Adelinie Bossac swego czasu świadczył? Zresztą to pana sprawa nie moja. Ale skoro pan przypuszcza, że Jean Debranche wykorzystuje nieoficjalnie moją osobę dla swych prywatnych celów, nic nie stoi na przeszkodzie, bym przesłuchał pana na Quai d'Orfeves oficjalnie i z protokołantem. Uważałem, że nasze spotkanie tutaj będzie mniej dla pana kompromitujące, lecz jeśli pan woli, by w archiwum policji został dokument nie budzący wątpliwości, na czym opiera pan swą egzystencję, z formalnego punktu widzenia mogę tylko temu przyklasnąć.

Arnaud milczał.

– Więc jak? Chce pan otrzymać wezwanie?

Spojrzał na Lemaitre'a z nienawiścią.

– Nie musi pan. Jak się nie ma pieniędzy, to zawsze się jest przegranym.

Lemaitre przywołał kelnera, zapłacił i wstając powiedział:

– W takim razie uważam naszą rozmowę za skończoną – i nie podając mu ręki wyszedł.

Burza nadciągała szybko i nim doszedł do miejsca, gdzie zostawił renault, lunął deszcz. Podniósł kołnierz marynarki i ostatni odcinek drogi przebiegł pędem, jednak gdy wsiadł, był zupełnie zmoczony. Zapuścił motor i włączył wycieraczki. Z nieba lały się strugi wody przy akompaniamencie grzmotów. Zdawał sobie sprawę, że rozsądniej byłoby nawałnicę przeczekać, ale rozmowa z Arnaudem zirytowała go na tyle, iż musiał się wyładować, a jedynym w tej chwili działaniem mogło być prowadzenie samochodu.

Ruszył zbyt ostro i na zakręcie spływającej wodą jezdni nieco go zarzuciło. Zwolnił i skupił się na prowadzeniu wozu, co okazało się dobrą terapią dla oderwania myśli od odbytej rozmowy.

W domu Marcelle przyjęła go okrzykiem wyrzutu, jak mógł

ryzykować jazdę podczas takiej burzy. Natychmiast też kazała mu zmienić ubranie.

Kiedy się przebrał, na stoliku przy fotelach stały dwa duże kieliszki koniaku.

- Oba są dla mnie? – wołał się upewnić.
- Skądże znowu!
- Ty przecież nie przemokłaś...
- Ale bardzo się zdenerwowałam, że ty zmokłeś! Otworzyła telewizor.

- Zaraz będzie amerykańska komedia.

Popijał *fine* i patrzył na ekran, na którym działały się bezsensowne i śmieszne historyjki, rozkoszując się odprężeniem, jakie odczuwa się tylko w domu.

Wieczorem wrócił myślami do spotkania z Arnaudem i przeanalizował spokojnie wszystkie jego wypowiedzi. Żadna z nich nie eliminowała go z kręgu podejrzanych. Obecny brak testamentu niczego nie zmieniał. Niezależnie od tego, czy Adelina Bossac go zniszczyła czy nie, mogła wobec Arnauda utrzymywać, że zapis istnieje, i szantażować go ewentualną jego zmianą.

Był jednym z ludzi, którzy znali jej zwyczaje, musiał wiedzieć, że siadywała zazwyczaj na berżerce. Po scenie, którą mu bez wątpienia zrobiła w ów poniedziałek, kiedy to poinformowano ją o Manette Leroc, zdał sobie sprawę, że konsekwencje będą dla niego bardziej niż nieprzyjemne. Nie tyle dlatego, iż przestanie na niego łożyć – w finansowaniu bieżących wydatków zastąpić ją miała teraz żona jubilera – ale dlatego, że zapis w testamencie, cel jego działań, dla którego podtrzymywał do tej pory ich stosunek, mógł okazać się nieosiągalny. Spadek, jaki by po niej otrzymał, zapewniał mu przyszłość, która wobec zaistniałej sytuacji została zagrożona.

Wystarczyło wieczorem zatelefonować i powiedzieć, że musi ją zaraz zobaczyć, prosić, błagać o pozwolenie przyjsia. Zdradzona kobieta

zawsze pragnie usłyszeć od kochanka, iż mimo jego niewierności jest tą jedyną przez niego kochaną. I Adelina Bossac mogła się zgodzić na jego przyjście. I Arnaud z pilnikiem w kieszeni mógł przyjechać wieczorem do Neuilly, by ratować swoją przeszłość...

Tylko, że różnica między „mógł zrobić” a „zrobił” stanowiła ogromny obszar, gdzie na jednym krańcu stał wyrafinowany morderca, na drugim zaś Bogu ducha winien człowiek.

Jedno było przy tym dla Lemaitre'a jasne. Rozważając możliwości dokonania zabójstwa przez Arnauda, oceniał iż mógł on podpisać hak tylko w ten poniedziałek, nie później. Bowiem we wtorek zjawił się w Neuilly, gdy inni brydżyści już byli, i nie wyszedł ostatni. W środę zaś nie mógł wieczorem tam być, gdyż po dłużej trwającym obiedzie pozostali jeszcze Debranche i Jobert.

\*

Jadąc rano do pracy, zastanawiał się nad planem zajęć na ten dzień. Chciał mieć osobę Arnauda ostatecznie rozpracowaną. Wymagało to jeszcze przesłuchania Marie-Luise z „Au Printemps” i Mariette Leroc. Ciekawy też był, jaka będzie reakcja Arnauda na wczorajsze spotkanie. Jeśli jest zabójcą, wystraszy się, iż policja zaczęła się kręcić koło sprawy testamentu jego ofiary, że jak zacznie szperać, uda jej się wyniuć wszystko. Przestępca, który zaczyna się bać, z reguły przecenia możliwości policji i podejmuje działania mające w jego mniemaniu go zabezpieczyć, a które dopiero wtedy umożliwiają policji wpadnięcie na jego trop.

Nim wszedł do swego gabinetu, wstąpił do pokoju inspektorów i poprosił Moulina do siebie.

– Chcę, żeby ludzie, którzy do wczoraj pilnowali Arnauda, robili to jeszcze przez parę dni. Nie zdążył ich pan chyba przerzucić do innej roboty?



– Jeszcze nie, ale... – Moulin miał minę zafrasowaną.  
– Ma pan dla nich nagle coś bardzo pilnego? – zaniepokoił się Lemaitre.

– Nie, nie to... Tylko w tym przypadku to nie będzie taka łatwa sprawa... Arnaud mieszka w domu, w którym konsjerżka przestrzega dawnych obowiązków, nic nie umknie przed jej czujnym wzrokiem. Bardzo ceni Arnauda jako lokatora i nie tylko dlatego. Z rozczuleniem mówiła, o czym zapomniałem wtedy panu powtórzyć, że Arnaud przyniósł kiedyś do siebie znalezione na ulicy bezdomnego psiaka, wie pan, takiego, który jak był mały, służył czymś dzieciom za zabawkę, ale jak okazało się, że wyrasta z niego kundel, a w dodatku zdążył pogryźć ranne pantofle pani domu i rękawiczki pana, bez pardonu się takiego pozbywa i wyrzuca na ulicę w odległej dzielnicy. Otóż konsjerżka zachwycała się dobrym sercem Arnauda, że takiego psa przysparza. Czasem, gdy Arnaud oczekuje wizyty, podrzuca go na kilka godzin do niej, żeby nie robił przy gościach niepotrzebnego hałasu i zamieszania, ale zawsze sam chodzi z nim na spacer.

Jeśli nasi wywiadowcy będą się tam w dalszym ciągu kręcić, konsjerżka zwróci na nich uwagę i zawiadomi Arnauda, bo skojarzy ich z moją u niej wizytą. Facet będzie się więc miał na baczności.

– Swego czasu podczas rozmowy z nią ostrzegł ją pan przecież, żeby trzymała język za zębami.

– I na pewno nie pisnęła o mojej wizycie ani słowa. Teraz, jak zauważy wywiadowców, też mu nie powie, że śledzi go policja, jej ostrzeżenie będzie wobec nas lojalne, ale wystarczające dla faceta, który ma coś na sumieniu... Skórka więc może nie opłacać się za wyprawkę.

– Ma pan rację... – Lemaitre zamyślił się. Opowiedziana przez konsjerżkę historia z psiakiem zaskoczyła go i poruszyła. Sam był

psiarzem i po konieczności uśpienia chorego na raka ich starego jamnika od roku nie mogli się z Marcelle zdecydować na wzięcie nowego psa. Arnaud utrzymywany przez bogate kobiety zapewne nieraz musiał doznawać uczucia, że jest takim kundlem przygarniętym dla czyjejś rozrywki.

– Chciałbym jednak znać jego wszystkie kroki w ciągu najbliższych dni – powiedział wreszcie. – Ale wobec tego, co pan mówił, trzeba będzie obserwację rozpoczynać dopiero od przyścia Arnauda do jego biura. O której się tam zjawia?

– Nie wcześniej niż o dziesiątej.

– Codziennie?

– Sądząc z parodniowej obserwacji, przychodzi co dzień, co prawda na bardzo krótko, ale między dziesiątą a dwunastą tam jest.

Lemaitre wyciągnął w kierunku Moulina gitany, sam też zapalił.

– A jak z Orchanem Lubelicem?

– Załatwiłem zgodnie z pana życzeniem, choć miałem trochę kłopotu z doбором ludzi. Dałem tę robotę najmłodszym u nas, w tym jednej dziewczynie.

– Nie boi się pan, że Lubelic na dziewczynę może zwrócić uwagę?

– Nie, jest zupełnie nieatrakcyjna, a dziewczynie zręczniejszej wejść za nim do sklepu i tak dalej... Myślę, że na poniedziałek lub wtorek będę już mógł przygotować raport. A wracając jeszcze do Arnauda... Dziś jest czwartek, do weekendu pozostają więc niecałe dwa dni. Ani w sobotę, ani w niedzielę nie bywa przecież w biurze...

Lemaitre westchnął.

– Nie będziemy martwić się na zapas. Może te dwa dni wystarczą.

– Oby! – z kolei westchnął Moulin, podnosząc się z krzesła.

Niedługo po wyjściu inspektora zadzwonił Ternier:

– Zdobyłem wiadomości, o które ci chodziło. Możesz wpaść teraz

do mnie, czy chcesz, żebym przyszedł do ciebie? A może wolisz, żebym zreferował ci wszystko podczas *déjeuner* w bistro na Placu Dauphine?

Lemaitre ocenił, która z propozycji pozwoli mu uniknąć dłuższej pogawędki z przyjacielem.

– Wspólne śniadanie odpada, muszę wyjechać na miasto. Teraz mam jeszcze coś do załatwienia, ale zaraz potem pędzę do ciebie.

Położył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Była dopiero dziesiąta. Nie wcześniej niż za godzinę powinien wyjechać do „Au Printemps”, przewidywał iż Marie-Luise Rouquet przed przerwą południową może nie mieć czasu na rozmowę.

Zadzwoił do woźnego, żeby mu przyniósł kawę. Wypił ją bez pośpiechu, przeglądając ranne wydania gazet; tematem numer jeden były, oczywiście, zbliżające się wybory do Zgromadzenia Narodowego. Doczekawszy w ten sposób do dziesiątej trzydzieści, ruszył do Temiera na drugie piętro. Zastał go przy telefonie.

– Fatalnie się składa – powiedział po odłożeniu słuchawki – za parę minut muszę być u szefa, właśnie sekretarka mi to zaanonsowała.

– Nic nie szkodzi, wystarczy, jak mi teraz powiesz w trzech zdaniach, czego dowiedziałeś się od Gavina, nie będę nawet siadał, też się piekielnie spieszę.

– W takim razie mogę ci tylko tyle powiedzieć, że w „L’Echo” zaszły zmiany w obsadzie kierowników działów, odszedł też dotychczasowy dyrektor generalny. O ile przedtem pismo popierało partię rządzącą nader umiarkowanie, to teraz poszło bardziej na prawo i zdecydowanie optuje na nią. Wzmocnienie tej orientacji przypisuje się wykupieniu udziałów przez nie zidentyfikowaną dotychczas grupę osób. Sądząc z tego, że ostatnio ukazały się aż dwa czy trzy artykuły popierające obecną politykę finansową, Gavin przypuszcza, iż wśród nowych udziałowców jest m.in. Jean Debranche. Jeśli byś chciał jeszcze...

– To mi wystarczy – przerwał Lemaitre – leć teraz do starego. I tak, jak mówiłem, zadzwonię do ciebie, jak tylko będę mógł...

\*

W „Au Printemps” rojno było jak w ulu. Nowości mody wiosennej w niedrogim wydaniu popularnego magazynu przyciągały setki kobiet w najróżnorodniejszym wieku. Z samozaparciem penetrowały każde stoisko, nie pomijały żadnego stelażu. Nie brakowało też i męskiej klienteli, głównie młodej.

Lemaitre dojrzał wreszcie do działu z męską bielizną. Kilka minut krążył wśród stoisk, obsługiwanych w większości przez młode sprzedawczynie; jedną z nich musiała być przyjaciółeczka Arnauda. Chciał już zapytać o pannę Rouquet, gdy któraś zawołała do znajdującej się dalej koleżanki:

– Marie-Luise, czy masz u siebie skarpety froté numer dwadzieścia siedem?!

– Tylko w czerwonym i żółtym kolorze! – odrzyknęła.

Zatrzymał się przy wolno stojącym stelażu z krawatami i niby je oglądając, obserwował ją przez pewien czas. Dziewczyna była śliczna. Przedstawiała sobą egzemplarz doskonałego wydania dzisiejszych długonogich, smukłych dziewcząt. Zauważył, że jednakowo uprzejmie obsługiwała zarówno marudzące starsze panie, jak i młodych uśmiechających się do niej mężczyzn.

Nie była speszona ani wystraszona, gdy podszedł do niej, powiedział, kim jest, i poprosił ją o chwilę rozmowy. Była tak młoda, że ciągle jeszcze spotykało ją coś nowego, i zjawienie się Lemaitre'a przyjęła zupełnie naturalnie, z domieszką jedynie zaciekawienia. Tak, jak przypuszczał, do przerwy śniadaniowej nie miała możliwości opuszczenia stoiska.

- Gdzie pani jada? – zapytał,
- Zwykle chodzę z koleżankami do pobliskiego bistro.
- Jeśli może dziś pani zrezygnować z ich towarzystwa, poczekam na panią.

Kiwnęła tylko głową i natychmiast zajęła się następnym klientem.

Do dwunastej obejrzał wszelkie fasony koszul, rodzaje krawatów i pomyślał z wdzięcznością o Marcelle, która załatwiała za niego te zakupy.

Zaprowadził Marie-Luise do małej dobrej knajpki w pobliżu Opery. Gdy przechodzili przez salę, ściągnęła na siebie spojrzenia wszystkich mężczyzn. Musiała być tego świadoma, lecz nie sprawiało to na niej najmniejszego wrażenia. Swą urodę traktowała jako coś oczywistego, co musi być przynależne młodej dziewczynie. Była w tym wieku, że nie przychodziło jej jeszcze do głowy, że kiedyś może przestać nią być, miała najwyżej dziewiętnaście lat.

- Będziemy mówić po jedzeniu – zastrzegł.

Marie-Luise jadła szybko i z widoczną przyjemnością.

Po lodach z bitą śmietaną, które zamówił na deser, stwierdziła rozbrajająco:

- Bardzo to wszystko było dobre.

Powstrzymał się, by nie powiedzieć, iż ta ocena jest nie tylko załugą kuchni, ale w równej mierze jej lat. Wyciągnęła z torebki papierosy.

- Musi pani palić? – zrobił mentorską uwagę.

- Palę od dawna, przeszło rok – wyjaśniła.

- A od jak dawna zna pani George'a Arnauda?

- Pan go zna? – zdziwiła się.

- Oczywiście. Inaczej nie trafiłbym do pani.

- Znamy się... zastanowiła się i zaczęła liczyć na palcach – już osiem miesięcy.

– Zobaczyl panią po raz pierwszy w „Au Printemps”?

– Podczas jesiennej wyprzedaży zaczął przychodzić co dzień i co dzień coś kupował, przeważnie skarpetki – roześmiała się. – Twierdził, że doprowadzę go do tego, że zginie w domu pod zwałami tych skarpetek, jeśli nie zgodzę się spotkać z nim na mieście... Wszystkie koleżanki mi go zazdrościły, w porównaniu z nim ich chłopcy wyglądają jak niewypierzeni smarkacze...

– No i nie zginął przyduszony skarpetkami. Widziała się z nim pani nawet wczoraj wieczorem, prawda?

– Wczoraj nie, chociaż byliśmy umówieni. Wpadł po południu do „Au Printemps” akurat wtedy, kiedy byłam na dole w magazynach, i zostawił koleżankom dla mnie wiadomość, że nie może się ze mną wieczorem zobaczyć, bo wypadła mu jakaś nieprzewidziana sprawa.

Zwróciła głowę w stronę Lemaitre'a i patrzyła na niego.

– Pan jest, jak powiedział, komisarzem, ale jest pan także znajomym George'a? Zresztą w przeciwnym razie nie rozmawiałby pan ze mną tutaj – ruchem głowy wskazała na salę. – Czy pana przyście ma związek z tą nagle wynikłą sprawą, przez którą George nie mógł się wczoraj ze mną widzieć?

Oczy Marie-Luise obramowane nieprawdopodobnej długości rzęsami spoglądały na niego nie tylko pytająco, ale i z zaufaniem. Poczul się trochę nieswojo.

– Tak przyszedłem właśnie w związku z tym... Ale chciałbym wyjaśnić: choć, owszem, znam pana Arnàuda, ale nie jestem... czy raczej nie należę do kręgu jego bliskich znajomych. Urzędowo zajmuję się akurat sprawą zaginięcia testamentu, która dotyczy i pana Arnauda...

Marie-Luise poruszyła się gwałtownie.

– Mówi pan o testamencie jego cioci?

Teraz z kolei poprawił się na krześle zaskoczony Lemaitre.

– Nie wiedziałem, że pan Arnaud miał ciocię. Jeśli w testamencie,

o którym pani wspomniała, był zapis dla pana Arnauda, to prawdopodobnie chodzi o ten sam testament. Nie zna pani nazwiska tej ciotki?

– Nie... Wiem tylko, że była bezdzietna i mieszkała w Auteil czy Neuilly w swojej willi. George tam czasem jeździł na obiad, choć, jak mógł, starał się od tych wizyt wykręcać.

– Widać nie darzył ciotki taką sympatią – wtrącił jowialnym tonem – jak ona jego, skoro zrobiła dla niego w testamencie zapis.

– Właśnie to go zobowiązywało, mówił, że była do niego bardzo przywiązana, nie miała własnych dzieci. Ale wie pan, stare osoby bywają często okropnie nudne i dla George'a te wizyty były uciążliwym poświęceniem.

– Ciotka pana Arnauda była osobą tak wiekową?

– Dokładnie ile lat miała, nie wiem. W każdym razie George mówił o niej jako o staruszce, więc musiała mieć bardzo dużo...

– Zapewne – potaknął, przywołując w pamięci opisywany przez wszystkich obraz eleganckiej, przystojnej pięćdziesięcioletniej Adeliny Bossac.

– To George ma teraz duże zmartwienie... – zwróciła ku niemu zafrasowaną buzię.

– Chyba zadowolony jest, że nie musi się już poświęcać, składając wizyty starej nudnej ciotce.

– Mówię o zaginięciu testamentu! – sprostowała

– A, o tym? Rzeczywiście, nieprzyjemna sprawa. Liczył na ten spadek?

– To chyba oczywiste, nie? Skoro wiedział o zapisie... Niedawno obiecał mi nawet, że w tym roku zabierze mnie w lecie do St. Tropez...

– Kiedy była o tym mowa?

– Dwa tygodnie, czy tydzień temu... Ale pan ten testament stara się odnaleźć, prawda? Czy ktoś go ukraść?

– Zajmuję się tą sprawą i dlatego z panią o niej rozmawiam. Mam

też pytanie, na które chciałbym, aby mi pani koniecznie odpowiedziała. Czy trzydziestego pierwszego marca spotkała się pani z panem Arnau- dem i w jakich to było godzinach. I którego dnia byli państwo, jeśli w ogóle byli, w kinie?

Popatrzyła na Lemaitre'a zdezorientowana:

– Ma to jakieś znaczenie dla tej sprawy z testamentem?

– Ma, mogę panią o tym zapewnić. Wiem, że trudno sobie przy- pomnieć, co się działo przed paroma tygodniami, ale proszę, żeby się pani o to postarała.

– Trzydziestego pierwszego marca?... Jaki to był dzień tygodnia?

– Poniedziałek.

– To już wiem! Wcale nie muszę sobie przypominać, bo doskona- le pamiętam. Miałam wolne, spotkaliśmy się z George'm o trzeciej i poszliśmy właśnie na „Wejście Smoka”. Byliśmy razem całe popoł- dnie, George odwiózł mnie do domu po ósmej.

– Cieszę się, że pani to sobie przypomniała. A teraz proszę mi powiedzieć. Umie pani dochować tajemnicy?

– To, co mi teraz pan powie, mam zachować dla siebie?

– To, o czym do tej pory mówiliśmy... Nie jestem bliskim znajo- mym pana Arnauda, ale znam go na tyle, że na pewno lepiej będzie, aby o naszym spotkaniu się nie dowiedział. Obiecuje mi to pani?

– Myśli pan, że będzie zazdrosny?... Ale przecież sam pan wie, że nie ma o co!

– Chce pani, żeby z panią zerwał?

– Uważa pan, że by to zrobił, gdyby się dowiedział?

– A więc?

Potulnie kiwnęła głową.

– Dobrze, nie powiem ani słowa.

Zawołał kelnera, zamówił dla Marie-Luise jeszcze *tarte* i uregulo- wał rachunek.

Nachylił się ku dziewczynie.



– Jest teraz pani w panu Arnaud zakochana i koleżanki na pewno go pani zazdroszczą. Ale powinna pani potem wyjść za mąż i na ojca swoich dzieci wybrać chłopca dużo młodszego od pana Arnauda.

– Pewnie pan myśli, że on mnie wykorzystuje! – obruszyła się. – Nabiera, że się ze mną ożeni. Nic podobnego! Od początku postawił sprawę uczciwie. Wiem, że ma żonę, która jest chora na serce, i nie może jej zostawić...

Mało mu było ciotki, dla której się poświęcał, musiał dodać i żonę chorą na serce – zżymnął się w duchu Lemaitre.

– Gdyby jednak się zdarzyło – powiedział łagodnie – że chora żona zakończy życie, to proszę mieć na uwadze, że za dwadzieścia lat pani będzie jeszcze młodą kobietą, natomiast pan Arnaud będzie wówczas już taki stary, jak jego ciocia, której testament zaginął. Muszę już iść. Kelner właśnie idzie z tartą, proszę ją sobie spokojnie zjeść i nie myśleć o żadnych przykrych sprawach.

Zostawił zdetonowaną Marie-Luise nad kruchą tartą z morelami i kremem.

Co za łobuz! – myślał wsiadając do samochodu. Ale czy tylko łobuz, czy i morderca? – westchnął zły, że na to pytanie nie może odpowiedzieć. Marie-Luise stwierdziła, że od trzeciej po południu do ósmej z minutami spędził czas w jej towarzystwie. Adelina Bossac po telefonie zawiadamiającym ją o żonie jubilera wyjechała z domu nie później niż o pierwszej. Od pierwszej do trzeciej miała wystarczająco dużo czasu, by zażądać od Arnauda wyjaśnień. Mogło być i tak, że tajemniczy B. poinformował, iż niewierny kochanek spotkał się właśnie z Manette Leroc i chciała ich nakryć razem. To, że Adelina Bossac mogła pominąć wobec Arnauda jego zdradę milczeniem, w dalszym ciągu uważał za niemożliwe. Sam fakt natychmiastowego wyjazdu z domu to potwierdzał.

Czy jednak nie przegapił czegoś, nie starając się zidentyfikować telefonicznego donosiciela? Gdy za pośrednictwem sierżanta dowiedział się o owym telefonie, który słyszała Suzanne, uznał, że informatorem był ktoś z prywatnej agencji detektywistycznej. Teraz także uważał, że był nim prywatny wywiadowca i że rozpoznanie go nie ma żadnego znaczenia. Nie chciał jednak mieć sobie do wyrzucenia najmniejszego nawet zaniedbania. Niech Chartier poszuka – postanowił – w tej branży, czy jest wśród nich ktoś o nazwisku w rodzaju Brecot, Brenier czy coś podobnego. I czy któraś z tych agencji otrzymała od Adeliny Bossac jakieś zlecenie. Choć jeśli chodzi o sprawdzenie tego ostatniego, wątpił, żeby inspektorowi udało się wydusić potwierdzenie takiego faktu. Zaniepokojeni myszkowaniem policji stwierdzą, że żadna Adelina Bossac w żadnej sprawie się do nich nie zwracała.

Rue de la Paix leży w bezpośrednim sąsiedztwie Opery. Biorąc na warsztat Arnauda, planował również spotkanie z Mariette Leroc. Mógłby więc teraz zajrzeć do sklepu jubilera, może akurat jest ona, a nie jej mąż...

Zatrzymał wóz u wylotu ulicy i wysiadł. Nie znał numeru domu, siedł spoglądając na wystawy, nim wreszcie natrafił na właściwą.

Bałwan jestem! – stwierdził, lustrując przez szybę wnętrze, które bardziej przypominało stylowy salonik niż miejsce sprzedaży. Jak mógł zapomnieć, że nie jest to sklep, do którego każdy może wejść jako potencjalny klient. Spojrzał teraz na samą witrynę, gdzie na kawałkach artystycznie ułożonych atłasowych i aksamitnych draperii leżały nieliczne precjoza. Żadnego nagromadzenia, parę zaledwie sztuk. Gdyby nie wiedział, że jest na rue de la Paix, ulicy bogatych magazynów, nie zobaczył przez szybę stylowego wnętrza, sama wytworność tej wystawy pozwoliłaby się zorientować w randze tego jubilerskiego sklepu.

Zawrócił, zapalając papierosa. Szedł wolno, nie patrząc już na wystawy. Umówił się z Manette Leroc telefonicznie... Tylko, co mi to w

gruncie rzeczy da? – pomyślał nagle. Ze dowie się, co jej powiedziała Adelina Bossac, jeśli doszło do spotkania obu kobiet, lub szczegółów z awantury, jaką Bossac urządziła Arnaudowi i o której mógł jej opowiedzieć. Jeśli Arnaud postanowił pozbyć się poprzedniej kochanki, to na pewno nie zwierzał się z tym projektem jej następczyni, ani tym bardziej nie zawiadomił o jego wykonaniu.

Wzywając Mariette Leroc na Quai d'Orfeves czy umawiając się z nią na mieście, będzie musiał podać jakiś powód. Jeśli nawet ograniczy się do enigmatycznego: chcę się z panią zobaczyć, wystraszy się, że chce z nią mówić komisarz P. J. W rozmowie zaś musi wypłynąć nazwisko George'a Arnauda. Sam fakt, że jest ono znane policji, wystarczy, by zdecydowała się z nim zerwać, choćby, co raczej było pewne, żałowała straty kochanka. A jeśli nie Arnaud spowodował śmierć Adeliney Bossac, z jakiej racji on, Lemaitre, ma go pozbawić źródeł utrzymania, nie ma uprawnień sędziego moralności. Niezależnie od wstępu, jaki wywoływali w nim mężczyźni żerujący na kobietach, w obrzydzenie i pogardę, jaką odczuwał wobec Arnauda, domieszało się także trochę litości. Może po raz pierwszy zetknął się z kobietą bogatą przez przypadek, a gdy poznał świat, do którego wejścia strzegą wielkie pieniądze, ten świat przesłonił mu zwykłe życie; pragnął go, nie mając żadnych innych danych, by te pragnienia zrealizować, poza własną urodą. To była jedyna szansa, dzięki której mógł w tym wspaniałym świecie bogatych przebywać...

Lemaitre poczuł, że dopalający się papieros parzy go w palce, rzucił niedopałek i przyspieszył kroku. Nie chciał już dłużej myśleć o Arnaudzie. Rozpracowanie jego osoby jako mordercy pod względem rezultatów sprowadzało się do punktu wyjściowego.

Postanowił teraz, że weekend spędzą z Marcelle poza miastem i że nic nie stoi na przeszkodzie, by wyjechali już dzisiaj.

Na Quai d'Orfeves sprawdził tylko, czy nie ma dla niego nowych wiadomości, i ku zdziwieniu Marcelle zjawił się w domu, mówiąc od progu:

– Wyjeżdżamy dziś, obiad zjemy u naszego oberżysty w Ma-lesherbes: Zapakuj zaraz, co potrzeba.

Przez godzinę pieczołowicie kompletował utensylia wędkarskie.

– Nie zapomniałaś przypadkiem o moich wędkarskich butach? – upewnił się jeszcze, gdy wsiadali do samochodu.

W sobotę pogoda była świetna. Ryby co prawda nie brały, ale tym razem Lemaitre nie cierpiał z tego powodu. Dwie niezbyt okazałe płocie, na które normalnie by wybrzydzał, jako wynik całodziennego połowu zdawały się go zupełnie zadowalać. Marcelle, usadowiona na brzegu w płóciennym foteliku, jako wytrawna żona wędkarza nie podejmowała prób rozmowy, pogrążona w czytaniu ilustrowanych tygodników.

Płocie oddane do kuchni w oberży podano im tego dnia wieczorem na obiad. Lemaitre wybierając między ośmi kawałatką rybiego mięsa, z przekonaniem stwierdził:

– Taka świeżo złowiona i dobrze usmażona płoć jest doskonałą rybą, nie uważasz?

Bojąc się połknąć ość, Marcelle wołała nic nie mówić i przezornie kiwnęła tylko potakująco głową.

W niedzielę siedzieli nad rzeką Essonne tylko do południowego posiłku, gdyż ryby brały jeszcze gorzej niż poprzedniego dnia. Potem zrobili ogromny spacer do lasu.

Wracali do Paryża wczesnym wieczorem, utykając raz po raz w korkach samochodów, tak samo, jak i oni powracających do stolicy. Ale kiedy dobrnęli wreszcie do domu, obydwójce mieli przekonanie, że weekend udał się świetnie.

Z nadejściem nowego tygodnia pogoda się popsuła, jakby na przekór majowi wiosna uciekła z Paryża. Rano Marcelle, spoglądając na okienny termometr wykrzyknęła:

– Coś podobnego, tylko czternaście stopni! – Niebo było szare, zasnuwane chmurami, jak późną jesienią.

Lemaitre zaspany marudził w łazience i wyjechał z domu później niż zwykle. Ryby nie brały przed zmianą pogody; gdyby dziś mógł siedzieć nad brzegiem Essonne... Na pewno złowiłby nie jednego szczupaka. Zatrzymał się przed czerwonymi światłami. W stojącym tuż obok niego wozie kierowca ziewał tak szeroko, iż niemal słychać było trzeszczenie stawów szczęki.

Nim dojechał na Quai d'Orfeves, wysiadł na Placu Dauphine i w bistro przy barze zamówił dużą kawę, mimo wypitej przedtem w domu.

Skrupulatny Moulin czekał już na jego przyjście.

– Przygotowałem raport o Lubelicu.

– To świetnie – skwitował, tłumiąc ziewanie. – Niech pan mi go zostawi, po przeczytaniu skontaktuję się z panem.

Zapalił gitana. Mimo kawy uczucie sennego rozleniwienia nie mijało. Od dawna mu się to nie zdarzyło, tylko za młodych lat po „przebo-mblowanej” nocy trudno było rano wejść w tryby pracy. Wreszcie przemógł się i zabrał do czytania raportu.

„Były ogrodnik Adeliny Bossac od trzech tygodni mieszka z Juliette Serain w Quartier Latin przy ulicy Pierre Vicole, gdzie wynajmuje mansardowy pokój na ostatnim piętrze. Dziewczyna studiuje slawistykę, co miesiąc otrzymuje z Melun niewielki przekaz pieniężny, sądząc z nazwiska nadawcy, od rodziców. Przez czas obserwacji nie stwierdzono, by Orchan Lubelic miał jakieś płatne zajęcie. W odróżnieniu od towarzyszkki uczęszczającej pilnie na wykłady i ćwiczenia, na Sorbonie

pojawiał się nieregularnie, natomiast oboje chodzą popołudniami do biblioteki St. Genevieve. Nie dziewczyna, lecz Lubelic zajmuje się gospodarstwem i robi codziennie zakupy, obiady jadają wieczorem w „Bon Appetit”. W ostatni piątek Lubelic odwiedził mały sklepik jubilerski w ich dzielnicy i kupił złoty pierścionek z turkusowym oczkiem.”

Lemaitre'owi przeszła senność. Nie wiedział, czy przyczyniła się do tego duża ilość kawy czy kupno złotego pierścionka przez Orhana Lubelica.

Zadzwoił do inspektora Moulina:

– Niech pan zaraz wyśle Lubelicowi wezwanie do nas na jutro. Jak pan myśli, o której poczta mu je doręczy?

– W ciągu pół godziny będzie wysłane, jutro rano powinien dostać.

– Na wszelki wypadek niech pan mu poda godzinę czwartą po południu.

Położył słuchawkę i prawie natychmiast podniósł ją z powrotem, i ponownie połączył się z pokojem inspektorów.

– Niech pan nie wysyła wezwania – zakomunikował, gdy Moulin podszedł do telefonu. – Chłopak robi wrażenie trochę dzikiego, jeszcze może nam przysnąć, lepiej go od razu tutaj przywieźć.

– Kiedy? – zapytał rzeczowo Moulin.

Lemaitre chwilę się zastanowił.

– Kiedy tylko uda się go znaleźć. Będę dziś cały dzień na miejscu. Kogo pan po niego wyśle?

Po chwili ciszy usłyszał:

– W takim razie pojedę sam. Tak będzie przezorniej, jeśli, jak pan mówi, chłopak jest trochę nie zrównoważony. Oczywiście, na wszelki wypadek wezmę ze sobą kogoś, no i dziewczynę, która go pilnowała, żeby nie było pomyłki co do osoby. – W głosie inspektora nie wyczuł zapału do nagle spadającej na niego roboty.

– Zdjął mi pan kamień z serca. – Lemaitre uznał to za wylewną formę podziękowania.

W oczekiwaniu na doprowadzenie Lubelica rozważał warianty przesłuchiwania chłopaka.

Jeśli zacznę zbyt ostro, może się zaciąć i słowa od niego nie usłyszę, ale jeśli podejść w glansowanych rękawiczkach, na poczekaniu wymyśliłby jaką bajeczkę, której potem będzie się konsekwentnie trzymał... Skąd ma pieniądze na utrzymanie? Wygląda na to, że wraz ze śmiercią Adeliny Bossac przestał pracować. Ale przecież w „Bon Appetit” zainteresował się pracą, którą mu rzekomo oferowałem... Musi więc żyć z jakichś zapasów pieniężnych, i to nie tak małych, skoro stać go było na kupno dla swej dziewczyny złotego pierścionka.

Pierścionek nabyty przez Orchana Lubelica uprzytomnił mu nagle, że w sypialni Adeliny Bossac nie zauważył żadnej biżuterii. Niemożliwe, żeby tak potwornie bogata kobieta i dbająca, jak wszyscy mówią, o swój wygląd nie miała żadnych klejnotów.

Zaraz się jednak zreflektował. Jasne, że wszystkie precjoza zniknęły z domu w Neuilly, bo po śmierci ciotki zabrali je Debranche'owie. Polecili Suzanne pilnowanie domu, ale nie zleciłiby jej strzeżenia biżuterii. Możliwe też, że najcenniejsze rzeczy Adelina Bossac trzymała gdzieś w safesie.

Na widok siedzącego za biurkiem Lemaitre'a zrośnięte brwi Orchana Lubelica ściągnęły się, tworząc nad nosem szeroką krechę.

– Jeśli praca, którą miał mi pan zaoferować, ma coś wspólnego z policją, to nie reflektuję na nią! – wypalił. Widać było, że nie jest zastraszone niespodziewanym doprowadzeniem na Quai d'Orfeves, lecz kipi złością.

– Nie mógłbym zaproponować panu pracy w policji, ponieważ wymaga ona pracowitości, którą pan nie grzeszy. Wręcz przeciwnie,

ostatnio woli pan nic nie robić. Z czego pan żyje? – ostatnie pytanie Lemaitre rzucił ostro.

– Z tego samego, co i inni. Z pieniędzy.

– Skąd je pan ma?

– We Francji wolno posiadać pieniądze, chyba że w ciągu ostatniego kwadransa nagle tego zabroniono.

Dobrze wie, że nie on by się musiał tłumaczyć, ale ja byłbym zmuszony dowieść nielegalności posiadanych przez niego pieniędzy – zdał sobie sprawę Lemaitre.

– Przedtem utrzymywał się pan w Paryżu z różnego rodzaju zajęć. Od śmierci pana ostatniej pracodawczyni w Neuilly nie ma pan żadnej pracy zarobkowej. Chyba nie utrzymuje pana Juliette Serain, przekazy pieniądze, jakie otrzymuje z Melun, by na to nie pozwoliły.

Chłopak rzucił spojrzenie spode łba.

Zaniepokoił się dokładnością informacji przez nas posiadanych – odetchnął z niejaką ulgą Lemaitre. Zmięknie, jeśli nie strzelę byka...

– Więc jeszcze raz pytam, jakie jest źródło pana utrzymania?

– Szykany wobec cudzoziemców?

– Może to sobie pan określać, jak mu się żywnie podoba.

Orchan Lubelic milczał. Z mimowolnego zaciskania i rozprostowywania dłoni można było dostrzec zdenerwowanie, ale chmurna twarz nie wyrażała nic poza zaciętym uporem.

– Skoro nie chce pan mówić, poprosimy tu Juliette Serain, która pewnie szybciej udzieli nam odpowiedzi.

Lubić gwałtownie poruszył głową, jakby chciał zaprotestować.

– Nie musi pan jej wzywać. Pieniądze wygrałem na wyścigach.

Lemaitre aż jęknął w duchu, tego się właśnie obawiał! Takiej odpowiedzi. Równie dobrze mogła ona brzmieć: wygrałem na loterii, kupiłem los na okaziciela. Nikt takich rzeczy nie mógłby sprawdzić.

– Ach tak? – Głos Lemaitre'a brzmiał nader łagodnie. – Zna się



pan na koniach? Nabył pan tę umiejętność na Sorbonie?

Chłopak wbił teraz wzrok w podłogę. Źle, zrobiłem błąd... Jak się zatnie, nic z niego nie wyduszę. Może ostrzejszy bodziec przełamie upór...

– A może oswoił się pan tak dobrze z końmi jeszcze w dzieciństwie w swoim kraju? *A propos* pana kraju, po skończeniu studiów wraca pan do Jugosławii, czy zamierza starać się o naturalizację?

Wzmianka o powrocie do kraju poskutkowała. Orchan Lubelic podniósł głowę i na krótką chwilę ich spojrzenia się zderzyły. – Jeszcze dobrze nie wiem – wymamrotał, patrząc już w inną stronę.

– Z jakich okolic pan pochodzi?

– Z Macedonii.

– I przypuszcza pan, że panna Serain zgodziłaby się zamienić Paryż na Macedonię? – zawiesił głos, po czym szybko zapytał:

– W jakim języku rozmawiacie ze sobą?

Pytanie musiało chłopaka zaskoczyć, bo odruchowo zaraz odpowiedział:

– Po francusku.

– Tak przypuszczałem. Opanował pan język doskonale, można nie zauważyć, że jest pan cudzoziemcem. Ale wracając do pana obecnych źródeł utrzymania, jak było z tą wygraną na wyścigach?

Wiedział już, że chłopak chciałby pozostać we Francji i po napomknięciu przez policję o naturalizacji nie zaryzykuje teraz odmawiania odpowiedzi.

Przewidywania okazały się słuszne.

– Postawiłem na tego samego konia, co facet, który stał przede mną przy kasie. Zauważyłem, że na paddocku oglądał konie i wyglądało, że zna dżokejów.

– Czyli że nieprzypadkowo znalazł się on przed panem przy kasie, pan postarał się stanąć za nim?

– No, tak...

– Dużo pan wtedy wygrał?  
– Mogłem więcej, postawiłem tylko połowę wypłaty, którą otrzymałem po śmierci pani Bossac od pana Debranche'a. Płacili jeden do ośmiu.

Lemaitre zamyślił się. Na pozór nieprawdopodobne, ale rzeczywiście mogło być i tak, jak chłopak mówił...

– Grał pan przedtem na wyścigach?  
– Nie.  
– Skąd przyszło panu nagle do głowy, by pojechać do Longchamps i zagrać?

– Przed okresem urlopowym niełatwo o stałą pracę. Z dorywczych zajęć trudno wyżyć, szukanie ich zajmuje masę czasu. Miałem dość hoteliku, chciałem zamieszkać z Juliette. Pomyślałem, że podstawą życia mojej rodziny były zwierzęta, dziad miał wielkie stada baranów i bydła, ojciec wychował się wśród pilnujących dobytku psów i koni, którymi objeżdżano pastwiska. Zarobkować końmi w Paryżu nie można, ale można na konia postawić na wyścigach...

– Po kupnie pierścionka na długo wystarczy panu tych pieniędzy? Teraz ociągał się z odpowiedzią. Lemaitre nie ponaglał.  
– Musiałem przekonać Juliette – powiedział wreszcie – że naszą sprawę traktuję serio... A we wrześniu uda mi się chyba gdzieś na stałe zaczepić...

– Wie pan – zaczął Lemaitre, uważnie obserwując siedzącego teraz ze zwieszoną głową chłopaka – pana poprzedni pracodawca, inwalida Froisier, też nie żyje...

Orchan Lubelic drgnął i dopiero po chwili wykrztusił

– Był stary, mógł umrzeć.  
– Nie umarł ze starości, został zamordowany.  
Krzaczaste brwi Lubelica znowu utworzyły poziomą krechę, podniósł gwałtownie głowę.

– Po co pan mi o tym mówi?

– Ponieważ dowiedziałem się tego, gdy chciałem zebrać o panu referencje, pan podał mi jego nazwisko jako ostatniego pracodawcy.

– Wtedy, w „Bon Apetit” rzeczywiście miał pan dla mnie jakąś robotę?

– Nie uważa pan, że potwierdza to wiadomość o śmierci Froisiera?

– Ale teraz tej posady już pan dla mnie nie ma! – ton był zdecydowanie agresywny.

– Nie mam. Nie mam już też w tej chwili dalszych pytań do pana. Może pan już iść.

Po momencie zaskoczenia Orchan Lubelic zerwał się z krzesła i bez słowa wyszedł.

Po jego wyjściu Lemaitre zawiadomił telefonicznie inspektora Moulina, że dalsza inwigilacja Lubelica jest niepotrzebna.

Dłuższy czas siedział za biurkiem beczynnym, nim zabrał się do robienia notatek z przesłuchania. Ranną leniwą ospałość zastąpiło teraz rozdrażnienie. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi rozgryźć osobowości Lubelica. Wiedział tylko, że jeśli chodzi o tego chłopaka, wszystko jest możliwe... Tak samo możliwe było, iż wszystko zełgał, jak również, że to, co mówił, było prawdą. Dalsze śledzenie go nie miało sensu, ale, jak go dalej rozpracowywać jako ewentualnego mordercę, nie miał jeszcze żadnej koncepcji.

Pomyślał o Ternierze. Gdyby mógł z nim teraz porozmawiać, opowiedzieć, co wie o Lubelicu, może wystarczyłoby kilka pytań Temiera, by spostrzec coś, czego dotychczas nie zauważył, lub skierować myśli na taki tor, na którym wszystkie fakty powiązałyby się w logiczną całość. Ale nie mógł nic powiedzieć Ternierowi i uczucie rozdrażnienia przekształcało się w irytację.

Powinienem zadzwonić do Rondoniera – pomyślał masochistycznie – że ze sprawą Adeliny Bossac jestem ciągle w lesie. Stary ucieszyłby

się okropnie, iż nie narobię mu żadnego kłopotu przed wyborami. Z doświadczenia wie, że najchętniej pozbywa się bogatej krewnej jej rodzinka...

Przypomnienie o rodzinie zamordowanej zwróciło myśli Lemaitre'a ku Debranche'om. Z bratankiem Adeliny Bossac rozmawiał raz na początku, i to krótko, dwie rozmowy z jego żoną okazały się zaledwie wstępem do przesłuchania. Teraz, gdy wie o jej amancie, rozmowa będzie wyglądać już inaczej.

Nie skontaktował się też dotychczas ani z Jobertem, ani z dziennikarzem Dudevalem. Żaden z nich nie posłużył się w zbrodniczym celu pilnikiem do metalu, przyszli przecież do tego domu po raz pierwszy, zaproszeni na obiad. Osoba aktoreczki, która im towarzyszyła, wydawała się raczej zupełnie nieważna. Gotów był uznać, iż Denise Debranche oceniła właściwie powód jej bytności na owym obiedzie; chodziło o reklamę, którą poznany tam dziennikarz mógłby jej potem zrobić. Nie zrezygnuje jednak z rozmowy z Jobertem, o sprawach Debranche'a musi wiedzieć niemało, on przecież w jego imieniu kupował akcje „l'Echo de Paris”. Być może dowie się też od niego więcej o przebiegu obiadu w Neuilly, niż zechcieliby powiedzieć Debranche'owie.

Poczuł, że jest głodny, spojrzął na zegarek: dochodziła pierwsza. Zadzwonił do Marcelle, że będzie dziś jadł w domu i zaraz przyjedzie. Jadanie *déjeuner* w pobliskim lokaliku przy Placu Dauphine groziło spotkaniem Temiera.

Po południu jeszcze raz przejrzał notatki o Lubelicu i doszedł do wniosku, że warto, by Chartier przejechał się do Longchamps i wywieźdzał się o kwietniowe wyścigi. Miał sobie za złe, że nie zapytał Lubelica o datę tej gonitwy. Gdyby jeszcze można było pokazać fotografię chłopaka, a nuż ktoś przypomniałby go sobie. Gdy Lubelic starał się o wizę wjazdową do Francji, musiał dołączyć wówczas fotografie, trzeba

się do tych dokumentów dogrzebać. W którym to mogło być roku? Moulin sprawdzał jego papiery na Sorbonie, może zapamiętał, od jak dawna chłopak tam studiuje...

Kiedy zapytany o to inspektor Moulin od razu wymienił rok immatrykulacji Jugosłowianina, Lemaitre pomyślał, że ma szczęście, mając takiego współpracownika.

– Niech pan wyśle Chartiera, żeby załatwił odbitkę fotografii z wizy Lubelica. I niech sypnie się potem z nią do Longchamps, a nuż któryś z kasjerów go zapamiętał. Chłopak twierdzi, że ma pieniądze z wygranej, w której płacili osiem do jednego. Przegapiłem pytanie o datę i imię konia... Musiało to być przed jego wyprowadzką z hoteliku, ale nie wcześniej niż trzeciego kwietnia.

Przy wymienieniu tej daty Moulin zareagował ledwo dostrzegalnym podniesieniem brwi, nie zadał jednak żadnego pytania, ograniczył się do powtórzenia:

– Longchamps, wygrana osiem do jednego, między czwartym a dziesiątym kwietnia. Dziesiątego wyprowadził się z hoteliku – dodał wyjaśniająco. – Sprawdź jeszcze, w które dni tego tygodnia odbywały się gonitwy.

Lemaitre miał ochotę powiedzieć, że głupio mu, iż nie zaznajamia go z całością sprawy, której fragmentami Moulin się zajmuje, ale nie jest to jego pomysł, lecz szefa... Obawiał się jednak, że takie wyjaśnienie nie na wiele się przyda, bo w gruncie rzeczy nic nie wyjaśni, i zamiast tego powiedział:

– Niech Chartier jak najszybciej się z tym upora.

Był z uznaniem dla klasy wykazanej przez Moulina. Przecież nie znana mu i nie kojarząca się z niczym data trzeciego kwietnia musiała go zaintrygować, tak samo jak dotychczasowe zlecenia dotyczące Lubelica, umiał jednak się wystrzec jakichkolwiek pytań.

Przez następny dzień Lemaitre nie zrobił właściwie nic. Cały dzień przerzucał notatki, zastanawiał się, szukał punktów zaczepienia, które

pozwołyby mu na dalsze bardziej umotywowane działanie. Po trzech tygodniach dochodzenia miał poczucie kręcenia się w kółko. Mimo zaplanowanych dalszych przesłuchań Debranche'a, jego żony i Joberta, zwlekał z tym w obawie, że mogą nie przynieść żadnych znaczących rezultatów. Oczywiście, nie przyznawał się sam przed sobą, iż boi się fiaska następnych poczynań; wołał wybrać wątpliwą konieczność sprawdzenia zebranego materiału, jakby dotychczas nie przeanalizował go wystarczająco.

W dalszym ciągu utrzymywała się zła pogoda. Kiedy nazajutrz po południu przejeżdżał przez Pont Neuf, Sekwana miała kolor tak zimnoszary, jak nawisłe nad nią niebo. Lemaitre'owi wydawało się, że namacalna skondensowana szarość zasnęła ulice, domy i zgaszone twarze przechodniów.

Może, gdyby wypił teraz jeszcze jeden koniak... Po chwili wahania zatrzymał się na placu Dauphine. Ale nagła myśl, że w bistro mógłby spotkać Temiera, poskutkowała. Włączył szybko motor i zatrzymał się dopiero przed Prefekturą. Moment tej decyzji pobudził jakby energię i przełamał wreszcie niechęć działania.

Gdy tylko przyszedł do Prefektury, zdecydował, że zawisłe w próżni rozpracowanie Pattona wymaga kontynuacji. Skoro Goldstern odmówił dostarczenia o perfumiarzu konkretnych informacji, spróbuje jeszcze przydusić go sam.

Dopiero po dwóch godzinach udało mu się telefonicznie osiągnąć Pattona i tak długie oczekiwanie podniosło bojowość Lemaitre'a. Kiedy wreszcie Patton podszedł do telefonu, wypalił z miejsca:

– Od którego dnia zaczął pan skupywać akcje Cortona?

Głos w słuchawce zabrzmiał flegmatycznie:

– Trudno by mi było sobie dokładnie przypomnieć... W moim wieku lepiej już się pamięta odleglejsze wydarzenia, na przykład -

z młodości... – Lemaitre niemal zobaczył jego ironiczny uśmieszek.

– Mam informacje, że nastąpiło to na przełomie marca i kwietnia, kiedy ceny ich były już bardzo niskie.

– Nie ośmieliłbym się wątpić w pańskie informacje.

– A więc przyznaje pan, że miało to miejsce dokładnie w tym czasie?

– Możliwe...

– Czy, gdy zaczął pan je wykupywać, pani Bossac wiedziała o tym?

– Niestety, nie mogę jej już o to zapytać.

– Za pana poradą się przecież ich wyzbyła!

Ton Pattona był teraz grzecznie lodowaty:

– Mówiliśmy już na ten temat podczas pana bytności u nas. Czy mam jeszcze raz powtórzyć, co wówczas powiedziałem?

– Nie uznał pan jednak za stosowne nadmienić, że dzięki temu, iż dała się nabrać, mógł pan teraz zasiąść w zarządzie Cortona! – Zdawał sobie sprawę, że reaguje idiotycznie, ale wzburzenie było zbyt silne, aby mógł się opanować. – I jest na to tylko jedno określenie! – Z impetem rzucił słuchawkę na widełki.

Złamał dwie zapalki, nim udało mu się zapalić papierosa. Gdyby mógł mu powiedzieć, że Bossac została zamordowana i on, Patton, jest jednym z podejrzanych!... Nie odważyłby się być tak bezczelnym!

Wysapał oburzenie, po czym się zreflektował. I co by to dało? Nic. Patton zapewniłby grzecznie, że nic nie doradzał pani Bossac, bo niby z jakiego powodu miałby to robić. Przecież między nimi nigdy nie było mowy o interesach, więc dlaczego miałby jej mówić o akcjach Cortona, skąd mógłby wiedzieć, że ona je ma? Łączyły ich stosunki wyłącznie towarzyskie, przychodził do niej z żoną na brydża...

Jednak nie bezczelność Pattona była powodem tego wybuchu, lecz zdawanie sobie sprawy, iż nie istnieje żadna możliwość udowodnienia mu kłamstwa.

Czym Patton mógł sobie tłumaczyć zainteresowanie policji sprawą sprzedaży akcji Cortona przez Adeline Bossac? O ile sam nie przyczynił się do jej śmierci, zapewne przypuszcza, że jej spadkobiercy, niezadowoleni z uszczuplenia spadku o niepotrzebnie sprzedane akcje, napuścili na niego komisarza, który jednak nie występuje oficjalnie jako przedstawiciel P. J., co potwierdza przeprowadzenie rozmowy w domu i brak jakiegokolwiek z niej protokołu.

Powoli uspokajał się. Kiedy skończył drugiego papierosa, mógł już stwierdzić, że odbyta przed chwilą rozmowa mogłaby być dla młodego adepta P. J. doskonałą lekcją poglądową, jak nie należy prowadzić dochodzenia.

\*

W środę przed goleniem Lemaitre wymienił na nowy dwuostrzowy nożyk Contour, choć mógł go jeszcze z powodzeniem używać. Zastanawiał się też dłuższą chwilę nad wyborem krawata do jasnokremowej koszuli, nim zdecydował się na jedwabny w niebiesko-brązowe paski.

Na Quai d'Orfeves kilkakrotnie spoglądał na zegarek, wreszcie, doczekawszy do w pół do dziesiątej, zatelefonował do Denise Debranche.

– Tu komisarz Lemaitre... – Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo mu natychmiast przerwała:

– Przepraszam, w tej chwili nie mam czasu na rozmowę, może pan...

Teraz Lemaitre nie pozwolił jej skończyć zdania:

– Wysyłam pani urzędowe wezwanie do stawienia się w Police Judiciaire.

– Co? Nie rozumiem... Co pan powiedział?

– Skoro przed chwilą była pani tak zajęta, iż nie mogła wysłuchać jednego zdania, wysyłę wezwanie, które otrzyma pani pocztą.

– Ależ, dlaczego? – Nie ulegało wątpliwości, że wpadła w



popłoch. – Nie trzeba tego wysyłać. Jeśli panu chodzi o rozmowę, możemy się umówić...

– W tym celu zadzwoniłem. Ale jestem zbyt zajęty pracą, bym ponownie wydzwaniał do pani. Mogę panią przyjąć u siebie dziś o godzinie pierwszej po południu. Jeśli pani to nie odpowiada, pozostaje pisemne wezwanie, do podanego tam terminu będzie pani musiała, niestety, się dostosować.

– Pana telefon jest tak niespodziewany, że...

Ponownie jej przerwał:

– O zabójstwie pani Bossac policja również dowiedziała się niespodziewanie, więc temat niespodzianek możemy uznać za wyczerpany. Czy odpowiada pani podany przeze mnie termin?

– Mówił pan o godzinie pierwszej, dzisiaj? Nie można kiedy indziej?

– Można kiedy indziej, przedstawiłem przecież dwie ewentualności. Proszę się zdecydować.

Długa cisza i wreszcie:

– W takim razie będę o pierwszej...

Rzucił krótkie „Do zobaczenia” i nie czekając pierwszy położył słuchawkę, odchylił się w tył fotela z westchnieniem ulgi.

Czuł się jak po wygranej potyczce, której rezultatu do końca nie był pewien.

Jeszcze przed południem założył w magnetofonie kasetę i postawił go na biurku. Świadomość, że taśma rejestruje każde wypowiedziane słowo, odbierze jej pewność siebie – pomyślał ze złośliwą satysfakcją.

Kiedy wróciwszy z *déjeuner* wszedł do pokoju i wzrok jego padł na Grundiga, zastanowił się, czy utrudnienie swobody wypowiedzi będzie rzeczywiście dobrą metodą przesłuchiwania Denise Debranche. Zdjął magnetofon i wsunął go do szuflady, ustawiając mikrofon przy samym jej brzegu. Nacisnął guzik startu, usiadł na krześle z drugiej strony

biurka i półgłosem policzył do dziesięciu. Cofnął taśmę, przesłuchał, słyszalność była dobra.

Poza początkowym okresem, przed wielu laty, gdy zaczął korzystać z magnetofonu, nie miał zwyczaju sprawdzać uprzednio jego działania, sprzęt był pod stałą opieką konserwatorów. Dlaczego teraz to zrobił, jakby obawiał się uronić jednego słowa z tego, co będzie powiedziane, nie bardzo wiedział. Wiedział tylko, że musi nareszcie odnaleźć klucz do sprawy Adeliny Bossac, że może tkwi on schowany w wypowiedzi, którą uda mu się teraz usłyszeć, którą musi usłyszeć!

Denise Debranche zapukała do gabinetu Lemaitre'a dokładnie o wyznaczonej godzinie i po pierwszych słowach widać było, że jest wystraszona:

– Chyba przyszłam punktualnie?... – Towarzyszył temu nikły, jakby nieco proszący uśmiech, jakże inny od uśmiechu, którym w zamian za podziwiające spojrzenie Lemaitre'a łaskawie go obdarzyła, wchodząc tutaj poprzednim razem.

Wskazał jej krzesło:

– Proszę usiąść.

Usiadła, jak w szkole, położywszy obie ręce na torebce trzymanej na kolanach.

Zbierając myśli, przełożył na biurku kilka papierów, zrobił to niemal machinalnie. Szeroko otwartymi oczami obserwowała te czynności, jakby chciała zgłębić ich wagę. Spostrzegł to, odsunął papiery i popatrzył na nią.

– Na wstępie wyjaśnienie: przesłuchanie nie jest towarzyską rozmową, obowiązują inne kryteria. Wymagam od pani mówienia prawdy. Rozumiem, że każdy chciałby zachować dla siebie swoje tajemnice, ale mogę zapewnić, że to, co pani powie, pozostanie tylko do wiadomości policji. Nikt z indagowanych nie dowie się o zeznaniach innych, nawet najbliższych mu osób.

– Czy to znaczy, że pan już te inne osoby przesłuchiwał?

– Owszem, przesłuchiwałem, ale nie o to w tej chwili chodzi.

Rozmawiamy już trzeci raz i chcę, aby pani zrozumiała, że gra w ciuciubabkę z pani strony musi być skończona.

Nerwowo obracała na palcach pierścioneł.

– Nie rozumiem...

– Zastrzegłem, że wymagam od pani prawdomówności, a pani znów próbuje się wykręcać. Rozumie pani aż nadto dobrze, co miałem na myśli, mówiąc o ciuciubabce. Uniknęłaby pani dzisiejszego przesłuchania, gdyby mi pani od razu powiedziała prawdę.

Chciała coś odpowiedzieć, ale się pohamowała, odruchowo przy tym zagryzając wargę.

– Czy sądziła pani, że się tej prawdy nie dowiem?

Siedziała w milczeniu, jakby się ze sobą pasując. Wreszcie bardzo cicho wykrztusiła z trudem:

– Jakiej prawdy?...

– O Paulu Breçonie.

Schyliła głowę, fala krwi napłynęła jej do twarzy, spływając ku szyi. Lemaitre odwrócił wzrok i udał, że czyta jakąś notatkę. Dopiero po chwili zapytał:

– Czy po mojej pierwszej rozmowie z panią powtórzyła pani panu Breçon, że Adelina Bossac została zamordowana?

Nie patrząc na niego, potrząsnęła przecząco głową.

– Zdawała pani sobie sprawę, że tę wiadomość pan Breçon jako przeciwnik polityczny męża mógłby wykorzystać przeciwko niemu w przedwyborczej rozgrywce?

Jeszcze raz potrząsnęła głową i rozplakała się. Masz babo placek! – jęknął w duchu.

– Proszę się uspokoić. Fakt, że pan Breçon stał się pani bliski, nie powinien być chyba powodem do płaczu. Zapewniam też, że pani mąż nie zostanie przez nas o niczym poinformowany.

Odpowiedziało mu jeszcze jedno, już ciche zachłyśnięcie płaczem. Wyjęła chusteczkę i delikatnie wytarła ślady łez, nie naruszając maki-jażu.

– Czy we wtorek, podczas tego ostatniego brydża, nic nie zwróciło pani uwagi? Nie zaszło nic specjalnego?

– Nie... Nie zauważyłam.

– A zachowanie pani Bossac było takie samo, jak zwykle? Nie robiła wrażenia czymś zaniepokojonej?

– Nie... Nie wiem... – umilkła wyraźnie zmieszana.

– Po skończonym brydżu chciała panią zatrzymać, tak?

– Tak.

– Zazwyczaj tego nie robiła, prawda?

– Nie.

– Zaskoczyło to panią, a raczej wywołało obawę, bo zauważyła pani, że zaczęła panią obserwować. Napotykała pani niespodziewanie jej wzrok na sobie, chociaż grała pani nie z nią, a przy drugim stoliku?

Ledwie dostrzegalnie potaknęła.

– Domyśliła się więc pani, że jej tajemnica została przez panią Bossac wykryta i to był powód, dla którego chciała panią po brydżu zatrzymać. I, oczywiście, wołała pani tego uniknąć.

Wyciągnął z kieszeni papierosy.

– Zapali pani gitana?

– Dziękuję. – Otworzyła torebkę i wyjęła z niej pall-male.

Podał jej ogień.

– To wszystko, co powiedziałem, powinienem usłyszeć od pani. Wystarczająco więc ułatwiłem początek, dalej musi pani mówić sama.

Spojrzała na niego wzrokiem zranionej łani.

– Co mam mówić?

– Przede wszystkim wyczerpująco odpowiadać na moje pytania. A więc, jak zareagował na to pan Breçon?

– Na co?

Żachnął się:

– Dość tego! Niech pani nie udaje, że nie rozumie, o co chodzi. Przecież na pewno poinformowała go pani, że ciotka rozszyfrowała wasz romans. Co mu pani powiedziała? – ton był tak ostry, że poskutkowało.

– Że... że ciocia Adelina zaczęła się czegoś domyślać, że chciała mnie koniecznie po brydżu zatrzymać... i że ledwie się od tego wykręciłam. I... że co będzie, za każdym razem nie uda mi się przecież wykręcić od rozmowy...

– I co na to pan Breçon?

– Powiedział, że nie ma powodu, żeby się przejmować... że starymi ciotkami nie warto sobie zawracać głowy, i... – urwała

– I co? Ma pani mówić!

– Że jak ciocia zacznie podskakiwać, to... to...

Złagodniał:

– Niech się pani nie boi, proszę powtórzyć, co powiedział.

– To się jej skręci kark... Ale on tego nie zrobił! – popatrzyła teraz na Lemaitre'a oczami pełnymi łez.

– Możliwości miał mocno ograniczone...

Zorientował się, że nie rozumiała.

Patrzyła na niego w napięciu.

– Poza zabójstwem w afekcie nie jest to czyn łatwy do urzeczywistnienia – wyjaśnił.

– I on nie mógł tego zrobić! – wykrzyknęła tak żarliwie, jakby od Lemaitre'a zależało w tej chwili ułaskawienie skazanego już Breçona.

– Rozumiem. Chce pani powiedzieć, że nie miał powodu, a raczej – że powód był zbyt błahy.

Łez w oczach już nie było. Spojrzała z urazą.

– Pan sam zmusił mnie do wyznania, że mogłby mieć powód. Chciałam tylko zapewnić, że mimo wszystko, niezależnie od powodu, on nie popełnił takiego czynu...

Wyciągnęła rękę ku popielniczce. Kiedy gasiła papierosa, spojrzała na jej pierścionki. Środkowy palec zdobił duży szmaragd w koszyczkowej oprawie starej roboty.

– Państwo przechowują biżuterię pani Bossac?

Widać było, że pytanie ją zdziwiło.

– Mąż był najbliższym krewnym, mieliśmy więc prawo ją zabrać, jest zbyt cenna, by można było ją tam zostawić.

– Gdzie pani Bossac przechowywała precjoza?

– W skrytce w sypialni.

– Pokojówka Suzanne wiedziała o tej skrytce?

– Nie. Któż mówi takie rzeczy służbie?...

– Oczywiście zrobili państwo spis tych wszystkich klejnotów? – zapytał z głupia frant.

– Po co mielibyśmy to robić – zdziwiła się.

– Ponieważ sprawa testamentu pani Bossac nie została jeszcze wyjaśniona i nikt nie może w tej chwili stwierdzić, co i komu w swej ostatniej woli zapisała.

– To niemożliwe – obruszyła się – żeby ciocia Adelina mogła zapisać biżuterię komuś obcemu.

– Jest to tylko pani przekonanie, prawo jednak nie opiera się na przekonaniach. Dopóki postępowanie spadkowe nie ustalą spadkobierców, jeśli testament się nie odnajdzie, z majątku pani Bossac nikt nie może jeszcze korzystać.

– Mówi pan tak, jakby kwestionował prawo męża...

– Nic nie kwestionuję, proszę pani. Ani tego, że pani mąż był bratankiem Adeliny Bossac, ani że był najbliższym i jedynym krewnym, ale sprawą również nie podlegającą kwestii jest fakt, że toczy się dochodzenie o zabójstwo i dopóki sprawca nie zostanie zidentyfikowany, masa spadkowa pozostaje pod kuratelą policji. Czy jeszcze jakieś cenne przedmioty z domu pani Bossac zostały przez państwa zabezpieczone?

– Trudno mi pamiętać o wszystkich drobiazgach...

– W takim razie przypomnę o srebrach stołowych. Wszystkie te przedmioty mogą być w dalszym ciągu pod państwa opieką, ale poproszę o dostarczenie ich dokładnego spisu.

Wyprostowała się w krześle. Była znów w swojej skórze *grande*

*dame*. Okazywana początkowo obawa, niepewność, lęk o kochanka zniknęły bez śladu.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że takie żądanie jest po prostu obraźliwe? Jak byśmy byli nie wiadomo kim... Gdy mąż się dowie...

– Sądziłem, że raczej zrezygnuje pani z powiadomienia męża o dzisiejszej bytności na Quai d'Orfeves. Co do mnie nie mam zastrzeżeń, jeśli będzie pani wolała go nie informować o treści swoich zeznań, ale to już jest pani sprawa. A spis tych rzeczy proszę mi dostarczyć tutaj w ciągu trzech dni, może pani wysłać pocztą na moje nazwisko. I jeszcze jedna sprawa”. Czy pani Bossac pomogła finansowo mężowi przy nabywaniu akcji „L'Écho de France”?

Zawahała się.

– Nie wiem... – Zauważyła, że Lemaitre bacznie się jej przygląda.  
– Wiem tylko, że zdaje się mieli rozmawiać na ten temat...

– Nic pani o tej rozmowie nie wie?

Znów chwila namysłu poprzedziła odpowiedź:

– Nie.

– Pozostaje więc w takim razie zapytać o to pani męża.

– Chce pan z nim rozmawiać? – zaniepokoiła się.

– Może się pani tego nie obawiać, rozmowa nie będzie dotyczyła pani. – Nie odmówił sobie małego uśmiešku.

Nie zareagowała ani jednym słowem, zacisnęła tylko ręce na torebce. Zdał sobie sprawę, że upokorzył ją i że zrobił to niepotrzebnie. Spojrzał na zegarek.

– Dziękuję pani, więcej pytań na dzisiaj nie mam.

– Czy to znaczy, że jeszcze... będzie pan chciał... ze mną rozmawiać?

– W tej chwili nie mogę na to odpowiedzieć. Chcę mieć nadzieję, że nie będzie to potrzebne, ale nie wiem.

Podniosła się z wolna, machinalnym ruchem ręki poprawiła włosy i

nagle zdeterminowana spojrzała mu prosto w oczy.

- Mam nadzieję, że pan mnie nie oszuka.
- Nigdy nikogo nie oszukuję, proszę pani – odpowiedział spokojnie.

Z widocznym ociąganiem podała mu rękę na do widzenia.

Po jej wyjściu wyjął z szuflady magnetofon i spostrzegł, że taśma musiała się skończyć wcześniej, ale nie chciało mu się już sprawdzać, w którym momencie rozmowy to nastąpiło. Chowając kasetę do pancерnej szafy, pomyślał, że piękna Denise Debranche, gdyby tylko mogła, postarałaby się zaraz, żeby u Rondoniera rozdzwoniły się telefony ze skargą na niego, ale ze względu na Breçona nie może tego zrobić. Brak przykrych konsekwencji będąc zawdzięczał jej romansowi – z irytacją zatrzaskał szafkę.

Poszedł do pokoju inspektorów, ale ani Moulina, ani Chartiera nie zastał. Wrócił do siebie, wyjął z powrotem z szafki kasetę i założył do magnetofonu. Z ponurą miną przesłuchał, robiąc notatki. Taśma nie zarejestrowała tylko ostatnich słów Denise Debranche. Ci, co oszukują, zawsze się boją, że też zostaną oszukani – pomyślał i dopisał: „chciała się upewnić, czy jej nie oszukam”, i zaraz to przekreślił. Zamiast tego zanotował: „Jest tak próżna, że sprawiłoby jej satysfakcję, gdyby Breçon dla niej zabił, choć żeby go ratować nie cofnęłaby się przed krzywoprzysięstwem”.

W domu przy wejściu przywitała go Marcelle niesłychanie przejęta.

- U Bertoldów są już szczeniaki, Coco w zeszłym tygodniu urodziła czwórkę, Jeanne dzwoniła, żeby je zobaczyć. Pójdziemy, prawda?
- Dzisiaj? Nim zjemy obiad, będzie chyba za późno... – próbował zaoponować w obawie o przeczuwane skutki tej wizyty.
- Ależ skąd! Idź myć ręce, zaraz podaję, najpóźniej za pół godziny możemy jechać! – I uznawszy sprawę za przesądzoną zaczęła pospiesznie nakrywać do stołu.



Gdy wysiadali przed domem Bertoldów, podała mu dziwnego kształtu paczuszkę przewiązaną kolorową wstążeczką:

– Do młodej matki przychodzi się z prezentem, dasz to Coco na ręce Jeanne.

– Co to jest? – trochę się zaniepokoił.

– Przestraszyłeś się, że kupiłam grzechotkę? – roześmiała się – Nie, kawałek surowego rostbefu.

Gromadka małych bezkształtnych wałeczków kłębiła się przy brzuchu Coco. Marcelle patrzyła na nie urzeczona. W pewnym momencie pociągnęła męża za rękaw:

– Popatrz, to jedno nie daje sobie rady... wskazała na brązowy kluseczkowaty kształt niezdarnie próbujący wczołgać się między pozostałe przywarte już do sutek matki. – Trzeba mu pomóc...

I nie zastanawiając się, jak Coco zareaguje na to, że ktoś zbliża się do jej dzieci, pomogła małej niezdarze dostać się do wolnego sutka. Na szczęście Coco tylko warknęła.

Jeanne Bertold wyjaśniła, że z tym szczeniakiem od początku są kłopoty, jest najmniejszy i słabszy od pozostałych, może dlatego, że suczka, choć jej siostra jest takiej samej wielkości i tak silna, jak dwaj bracia.

Marcelle spojrzała na męża:

– Weźmiemy właśnie ją, prawda? – Pytanie było właściwie niepotrzebne. Pomyślał jeszcze tylko o niezliczonych psich wielbicielach, którzy dwa razy w roku będą próbowali zdobyć przychylność ich suczki, lecz wyraziste spojrzenie Marcelle automatycznie przesądzało sprawę, kiwnął więc tylko potakująco głową.

Zgodził się również, by nazywała się „Mignon” lub „Chéri”, nad czym Marcelle miała się jeszcze zastanowić. Wolałby, co prawda, dużego gładkowłosego psa, z którym w lecie chodziłby na długie spacerzy i który asystowałby mu przy łowieniu ryb. Nie miało to jednak żadnego

znaczenia wobec tego, że Marcelle wracała do domu uszczęśliwiona, iż za pięć tygodni mała suczka będzie już u nich.

\*

Jakby na zamówienie paryżan, chcących się na weekend wyrwać z miasta, w piątek poprawiła się pogoda i meteo zapowiadało nadejście słonecznych, gorących dni.

Lemaitre zrezygnował z wyjazdu do Malesherbes z powodu Joberta. Kiedy go wreszcie złapał telefonicznie, dowiedział się, że sobotnie popołudnie jest dla tamtego jedynym możliwym terminem szybkiego spotkania. Marcelle nawet się ucieszyła, że spędzą te dwa dni w domu; oznaczało to dla niej możliwość odwiedzenia Bertoldów i przebywania w towarzystwie Coco i jej dzieci.

Jadąc do Joberta, odgrażał się w duchu, że czego, jak czego, ale tego biegania po domach staremu nie daruje. Zupełnie jakby był domokrażnym sprzedawcą krawatów lub odkurzaczy, a nie komisarzem Police Judiciaire. W dodatku Jobert był maklerem giełdowym, w głębi duszy Lemaitre uważał ten zawód za nieco podejrzany. Być może, jego pojęcie pracy było dość uproszczone. Co prawda sam pracując w P. J. też nie wytwarzał żadnych konkretnych dóbr, lecz chociaż przyczyniał się do bezpieczeństwa i ochrony swych współziomków. Wszelkiego rodzaju zajęcia w usługach były nobilitowane potrzebami ludzi. Celem zaś pracy maklera był wyłącznie zysk jego zleceniodawców. Lemaitre był jeden raz na giełdzie w początkach swojej służby w P. J. przed wieloma laty, kiedy to poszukiwał pewnego aferzysty. Ruch, gwar, zalew zmieniających się świetlnych cyfr na tablicach, gorączkowe reakcje ludzi sprawiły na nim wrażenie czegoś obłądnego, choć przecież wiedział, że ci na pozór nieprzytomnie zachowujący się ludzie mają aż nader przytomne umysły.

Maurice Jobert okazał się wysokim, szczupłym facetem

z wystającym jabłkiem Adama. W trójkątnej twarzy z ostro zakończonym nosem Lemaitre dopatrył się podobieństwa do lisa. Nie mógł też nie zauważyć świetnie skrojonego ubrania, które na pewno nie pochodziło z kolekcji *prêt à porter*. Człowiek, którego stać było na szycie u krawca, musiał mieć zapewnione dochody wielokrotnie przewyższające przeciętne zarobki. Z chłodnym zainteresowaniem przyglądał się Lemaitre'owi, oczekując na wyjaśnienie powodu jego wizyty.

– Sprowadza mnie tu sprawa zaginionego testamentu pani Bossac. Brwi Joberta uniosły się w górę.

– Nie jestem jej krewnym.

– Jest mi to doskonale wiadome. Myślę też, że obaj możemy opuścić wstępne wyjaśnienia; szkoda na nie czasu, który pan zapewne ceni tak samo, jak ja. Dziękuję, pałę gitany – odpowiedział na gest podsunięcia stojącej na biurku srebrnej kasetki z papierosami i zapalił swego.

– Przystępując do rzeczy: wobec faktu zniknięcia testamentu zajmuję się ustaleniem majątku pozostawionego przez zmarłą. Nie wszystkie aktywa i pasywa znane są rodzinie, była osobą samotną i sama zawiadywała swymi majątkościami. Drugiego kwietnia, dzień przed jej nieszczęśliwym wypadkiem, był pan u niej na obiedzie, po którym wraz z panem Debranche przeprowadzili panowie z nią rozmowę. O ile wiem, dotyczyła ona ewentualnej pomocy pani Bossac, umożliwiającej przeprowadzenie przez was pewnej operacji finansowej.

Jobert lekko skinął głową.

– Jak dotąd, się zgadza.

– Owa operacja miała polegać na nabyciu większości udziałów gazety „L’Echo de France”.

– Jest pan tak dobrze poinformowany, iż wątpię, aby moje informacje wniosły dla pana coś nowego...

– Wie pan, często zdarza się, że wypowiedziane przez kogoś

zdanie może mieć różną interpretację. Zależy mi na tym, by pan możliwie dokładnie powtórzył ową rozmowę, tak jak pan ją zapamiętał.

– Spodziewa się pan różnic w interpretacji mojej i pana Debranche'a?

– Raczej nie. Ale ich zgodność, jak i zresztą możliwość odwrotna, mają dla sprawy, którą się zajmuję, dość istotne znaczenie.

– Oczywiście, wolałbym, aby mnie pan zapoznał z wersją przedstawioną przez Debranche'a, którą mógłbym tylko potwierdzić, co uprościłoby sprawę, ale domyślam się, że właśnie tego chce pan uniknąć. – Sięgnął do szkatułki po papierosa. – Przypuszczam też, że po wyłuszczeniu tego, będzie pan miał, opory w wyrażeniu zgody na przesunięcie tej rozmowy w czasie, co, szczerze mówiąc, byłoby mi bardziej dogodne, mam dzisiaj jeszcze sporo spraw do załatwienia...

– Moje opory są na tyle duże, iż dalszy ciąg rozmowy może być kontynuowany wyłącznie teraz. Ponieważ na proponowane telefonicznie przeze mnie spotkanie wyraził pan zgodę, nie widziałem potrzeby wzywania pana na Quai d'Orfeves.

W uśmiechu twarz Joberta jeszcze bardziej upodobniła się do lisa.

– Wyjaśnił pan to znakomicie. Rozumiem, nie mam wyboru.

– Nim zacznie pan opowiadać; jeszcze jedno pytanie. Czy sprawa kupna „L'Echo” wynikła nagle?

– I tak, i nie. To znaczy żadna partia polityczna nie pomija możliwości pozyskania w prasie większych wpływów, a przed wyborami rolę prasy trudno przecenić. Nie jestem kompetentny, by mówić o przyczynach, dla których Emil Perlet, główny udziałowiec „L'Echo”, zdecydował się gazetę sprzedać. Powiedzmy – Jobert zrobił okrągły ruch dłonią – że doszedł do wniosku, iż jest już za stary, by się dalej tym interesem zajmować, albo że przestało go to bawić... Istotne, że

powstała możliwość kupna pisma, które dotychczas nie było specjalnym sympatykiem rządzącej partii.

– Przepuszczam, że w tej sytuacji cena odstąpienia udziałów przez pana Perlet sporo przewyższała ich nominalną wartość...

Lisi uśmiech poparł błysk oczu. – Nie wykluczone. W każdym razie była to sprawa do szybkiego załatwienia, w ciągu tygodnia trzeba było dać panu Perlet odpowiedź.

– Jak wiem, to pan wystąpił jako nabywca w imieniu pana Debranche'a, ale jak mi jeszcze mówiono, reprezentował pan nie tylko jego.

– Chciał pan powiedzieć, że Jean Debranche kupił udziały Perleta z kimś na spółkę? Nie wiem, kontaktowałem się w tej sprawie wyłącznie z nim. Ale czy ma to takie znaczenie dla ustalenia aktywów i pasywów po pani Bossac?

Diabło bystry lis – ocenił go w myśli Lemaitre.

– Nie ma żadnych – przyznał. – Przy okazji chciałem sprawdzić wiarygodność niektórych informatorów. Przejdźmy więc do rozmowy, która odbyła się w Neuilly. Nie bywał pan przedtem u pani Bossac?

– Nie. Jak się pan zapewne domyśla, zaproszenie na obiad spowodował pan Debranche, chodziło o omówienie potem transakcji.

Lemaitre chętnie by się zapytał, dlaczego Debranche sam nie porozumiał się z ciotką, jeśli chciał, by mu w tej transakcji pieniądze pomogła. Wobec Adeliny Bossac, w jakiej roli występował Jobert? Jako zaufany Debranche'a, pośrednik, czy może zastępował Perleta?

– Oczywiście – mówił dalej Jobert – uprzednio musiał już w ogólnych zarysach o całej sprawie jej opowiedzieć, po obiedzie rozmowa ograniczyła się do konkretów. Pan Debranche dokładnie teraz poinformował panią Bossac o warunkach transakcji, o ilości udziałów i ich cenie. Ja natomiast przedstawiłem otrzymane od pana Perleta

informacje dotyczące stanu tego przedsiębiorstwa. Trzeba przyznać, że pani Bossac zadawała nie tylko wnikliwe pytania – jabłko Adama w długiej szyi Joberta poruszyło się na znak uznania – ale i wymagała odpowiedzi popartych dowodami.

– To znaczy?

– Kiedy na przykład była mowa o nakładzie, czytelnikach i popunkości gazety, musiałem przedstawić wykazy prenumeratorów, zwrotów z kiosków, salda sprzedaży itp. Interesował ją stan drukarni, maszyn, koszty eksploatacji, nawet zatrudnienie. Nie ulegało kwestii, iż umiała myśleć jak człowiek interesu, czy kapitał w to włożony będzie odpowiednio procentował.

Lemaitre nie powstrzymał się od zapytania:

– A pan Debranche?

Jobert prawie niedostrzegalnie się uśmiechnął:

– Myślę, że traktował to bardziej jako środek wiodący do pewnego celu, ale w tym sensie to także można określić jako interes. Interesy bywają różne...

– Co było dalej?

Makler spojrział niezbyt dyskretnie na zegarek.

– Mówiąc w skrócie: fiasko. Rozpatrzywszy wszystko pani Bossac doszła do wniosku, że ta inwestycja jest dla niej nieopłacalna.

– Jak to sformułowała?

– Że bardzo żałuje, ale w obecnej chwili nie mogłaby w to żadnej sumy zainwestować. Przyznaje, że z przedstawionych jej dokumentów wynika, iż gazeta, jak dotychczas, jest dochodowa, ale nie na tyle, by wykupienie proponowanych po takiej cenie udziałów dawało procentowo właściwy zysk, tym bardziej – jak podkreśliła – że zmiana politycznego oblicza pisma może pociągnąć za sobą utratę niektórych czytelników, choć nie wyklucza, że potem zyska innych. W dodatku tak się złożyło – powiedziała – że przeprowadza ostatnio bardzo skomplikowaną operację finansową, w danej chwili pozbawia ją to możliwości

operowania funduszami, które mogłyby być przez dłuższy czas zamrożone, a pieniądze ulokowane w „L'Echo” byłyby właśnie takimi.

– Jak zareagował na to Debranche?

– A jak pan sobie wyobraża? Od jej aprobaty i chęci zainwestowania zależało, czy zostanie właścicielem gazety. Gdy pojawiła się możliwość jej kupna, od razu zastrzegł, że uzależnia to od pomocy finansowej rodziny. Suma była niebagatelna, sam nie mógł przecież inwestować w to wszystkiego, politycy nie traktują gazety jako źródła utrzymania. Żyją z polityki, a jeżeli mają poza tym inne dochody, to żyją dla niej.

– Pani Bossac zdawała sobie sprawę, że zawiodła nadzieje bratan-ka?

– Trudno mi na to odpowiedzieć, ale na pewno wiedziała, że mu na tym zależy. Może tylko nie orientowała się, w jakim stopniu.

– Nie próbował wpłynąć na zmianę jej decyzji?

– Może przy mnie nie wypadało mu nalegać. A może był zbyt zaskoczony, iż się w swych nadziejach przeliczył. Miał taką minę jak czternastoletni chłopak, który oczekiwał, że na urodziny dostanie upragniony wyścigowy rower, a kupiono mu nudną książkę.

– Gdy ochłonał, musiał być wściekły – zauważył Lemaitre.

– Na pewno nie był zadowolony – potaknął Jobert. – Jednak, kiedy się rozstawaliśmy powiedział, że jeszcze spróbuje na ciotkę wpłynąć. Zawsze patronowała jego politycznej karierze i liczy, iż uda mu się jej opory przełamać.

– Kiedy chciał to zrobić? – wtrącił szybko Lemaitre. – Nie miał przecież zbyt dużo czasu na takie przekonywanie. Jak pan powiedział, Perlet dał wam tygodniowy termin, nie mówiąc o tym, że jeśli gazeta miała odegrać rolę w kampanii wyborczej, to każdy dzień się liczył. W dodatku można się było obawiać, że konkurenci polityczni zechcą was uprzedzić, dla nich także ta gazeta mogła być łąkowym kąskiem.

– Zgadza się. Powiedział, że postara się skontaktować z ciotką jeszcze tego samego wieczoru.

– O której się panowie pożegnali?

– O dziesiątej.

– I myśli pan, że jeszcze wrócił do niej?

– Nie wiem. Na to wygląda, bo nazajutrz koło południa zatelefonował do mnie, żeby transakcję z Perletem przeprowadzać, że w ciągu dwudziestu czterech godzin przekaże gotówkę, gdyż potrzebuje trochę czasu na spieniężenie papierów wartościowych. W dwa dni później cała transakcja została definitywnie sfinansowana.

– Mimo, że na Debranche'a spadły niespodziewanie kłopotliwe zajęcia spowodowane śmiertelnym wypadkiem jej ciotki?

– Nie musiał przecież czuwać przy zwłokach.

– No, tak... – Lemaitre się zamyślił.

Zajęty rozpatrywaniem usłyszanych wiadomości, niemal zapomniał o obecności Joberta, kiedy dobiegło go pytanie:

– Uważa pan, że to, co powiedziałem, dostarczyło panu wiadomości o stanie posiadania pani Bossac?

Ale tym razem nie zobaczył ironicznego wejrzenia, Jobert ze skupioną miną czyścił irchą okulary.

– Wiadomość o przeprowadzonej przez nią ostatnio jakiejś skomplikowanej operacji finansowej, na skutek której nie chciała początkowo pomóc bratankowi, uważam za cenną.

Jobert skończył przecierać szkła, sprawdził pod światło skutek tych zabiegów i dopiero potem popatrzył z lisim uśmiechem na Lemaitre'a, mówiąc:

– W takim razie, cieszę się, że panu pomogłem.

Jeśli nie uwierzył, a na pewno nie uwierzył, w bajeczkę, z powodu której chciałem dowiedzieć się od niego przebiegu rozmowy w Neuilly, to i tak nie będzie sobie głowy tym zaprzętał, bo zdaje sobie sprawę,



że na tym nie zarobi – skomentował w duchu Lemaitre. Nie miał przy tym wątpliwości, że przy transakcji z „L'Echo de France” Jobert był na tyle zręczny, iż potrafił zarobić na obu kontrahentach, choćby reprezentował interesy tylko jednego.

Pożegnali się kordialnie.

W niedzielę po śniadaniu Marcelle krzątała się po domu; Lemaitre w rozpiętej koszuli przeglądał gazety, gdy zupełnie nagle i niespodziewanie spadła na niego myśl, że zabójstwo Adeliny Bossac jest po prostu niedorzecznością. W to słoneczne rozleniwiające przedpołudnie, w domowej atmosferze niedzieli, przeprowadzone w tak wyrafinowany sposób morderstwo zaprzeczało istniejącej normalnej rzeczywistości, uderzało niemożliwością.

Dokonawszy tego odkrycia, Lemaitre nie mógł już dalej siedzieć na kanapie i czytać niedzielnych gazet.

Wszyscy ludzie, z którymi rozmawiałem, byli normalnymi ludźmi, niektórzy aż zanadto normalni – roześmiał się chodząc po pokoju. – To, że niektórzy z nich chętnie widzieliby Adeline Bossac pośród martwych, nie może być automatycznie równoznaczne z usiłowaniem spowodowania jej śmierci. Zabójstwo dokonane w taki sposób wymagało drobiazgowego rozpatrzenia wszystkich możliwych okoliczności, planowania i oczekiwania na najbardziej sprzyjające warunki, ze świadomością ogromnego ryzyka. Gdyby bowiem podpiłowany hak ułamał się nie wówczas, gdy Bossac siedziała na berzerce, wezwałaby z pretensją rzemieślnika, który robił i instalował wspornik pod naczynie z rośliną. Tenże, zaskoczony niespotykanym w jego praktyce pęknięciem stalowego haka, na pewno by go dokładnie obejrzał i dostrzegł podpiłowanie...

Jeśli którejs z tych osób tak zależało na śmierci Adeliny Bossac, to przecież nie na tyle, by ryzykować własną wolnością. Jeśli jej śmierć komuś by się przydała, to tylko ze względu na wynikające z niej

korzyści dla życia tejże osoby... Gdyby zaś ktoś tak jej nienawidził, że gotów byłby postawić jako stawkę siebie, zabiłby ją w sposób normalny, tak jak jeden człowiek zabija drugiego... uderzeniem w głowę, strzałem, uduszeniem, otruciem i wieloma innymi sposobami, z których jednakże żaden nie pozostawia w końcu wątpliwości, że popełniono morderstwo. Komu przyszłoby do głowy, że Adelina Bossac nie zmarła na skutek nieszczęśliwego wypadku, gdyby nie sierżant Lamier, narzeczony jej pokojówki? Gdyby narzeczonym Suzanne był subiekt lub szofer, czy oglądałby powierzchnię złamanego haka? Oczywiście, że nie. Kiedy rozpoczynał dochodzenie, zastanawiał się przecież, czy Lamier nie był narzędziem w rękach przeciwników politycznych Debranche'a. Wezwanie go na Quai d'Orfeves miało na celu zorientowanie się, czy taka możliwość wchodzi w grę. Odniósł wtedy wrażenie, iż nikt małym sierżantem nie powodował.

Ale Lamier pochodzi z małej bretońskiej wioski... Co powoduje, że chłopak z głuchej wsi wyrывa się do Paryża? Pcha go ambicja, chce by jego życie było ciekawsze i lepsze niż ludzi, wśród których wyrastał. Po kilku latach ląduje jako sierżant paryskiego komisariatu, to już jest coś, ale czy wszystko? Nie za mało dla ambitnego chłopaka? Śmiertelny wypadek chlebobawczynie narzeczonej mógł mu nasunąć pomysł sfingowania morderstwa. I to morderstwa, którego nikt by nie zauważył, gdyby nie on, sierżant Lamier, szeregowy pracownik zwykłego komisariatu. Wystarczyło tylko przejechać pilnikiem w miejscu złamania haka. Tajemnicze morderstwo bogatej ciotki czynnego polityka, urzędującego ministra, jedyne jej spadkobiercy, dokonane w wyrafinowany sposób.

Czy Lamier mógł przewidzieć skutki wybuchu tej bomby? Jeśli chodzi o zainteresowanie nią policji – na pewno. Jakąż satysfakcję mogło sprawić przejęcie dochodzenia przez Quai d'Orfeves! Wobec takiego sukcesu konsekwencje dla kręgu ludzi objętych niespodziewanie

podejrzeniem mogły go w ogóle nie interesować... Jedyne, co się liczyło, to była puszczone w ruch policyjna maszyna i fakt, że on to spowodował!

Do pokoju weszła Marcelle, niosąc wazon z peoniami, którym zmieniała wodę i podcięła łodyżki.

– Co ci się stało? – zapytała na widok krążącego po pokoju męża.  
– Ząb cię rozbolał?

Siadł z powrotem na kanapie.

– Na szczęście nie. Chociaż może ząb byłby lepszy, bo wizyta u dentysty zlikwidowałaby problem. Przyszła mi do głowy nowa koncepcja sprawy, którą prowadzę.

– To ta, o której nie mogę nic wiedzieć?

Kiwnął głową.

Marcelle postawiła wazon na stoliku, popatrzyła na kwiaty, przesuwała dwie peonie, by się bardziej odchyłały, po czym westchnęła:

– W takim razie, oczywiście, nie będziesz chciał, żebyśmy po południu gdziekolwiek poszli.

– Ależ nie, jeżeli ty będziesz chciała... – słabo zaoponował.

Marcelle, nie zwracając już uwagi na jego odpowiedź, podeszła do okna, otworzyła je szerzej i powiedziała:

– Nie pal tyle i nie strącaj popiołu na podłogę – i wyszła z pokoju.

Odczekał chwilę, zapalił gitana i znów zaczął chodzić. Cóż z tego, że ekspertyza potwierdziła podpiłowanie haka, dotyczyło to tylko złamanej części pozostałej w ścianie. Drugiego kawałka, który spadł wraz ze wspornikiem i wazą na podłogę, nikt nie oglądał! Dopiero sprawdzenie obu końców złamania pozwoliłoby stwierdzić, czy powodem pęknięcia było rzeczywiście podpiłowanie... Gdyby reszta haka nie została od razu wyrzucona, mogłoby się okazać, że trzy tygodnie szuka mordercy, którego nie było...

Co mówiła Suzanne, opowiadając o wypadku? Jak weszła do

living-roomu, przeraziła się, zawołała kucharkę, potem telefonowały do pogotowia i Debranche'ów... Mówiła też, że nie wchodziła już potem do tego pokoju, że to Orchan uprzątał z podłogi rozbite naczynie i rozsypaną ziemię... Kiedy to zrobił i na czyje polecenie? Suzanne? Debranche'a? Musi zobaczyć się z Lubelicem, dowiedzieć się dokładnie, jak to było ze sprzątaniami, gdzie wyrzucał te resztki. Dlaczego był w Neuilly w dniu wypadku, w czwartek, skoro przeważnie pracował tam we wtorki i piątki?

Jak na złość była niedziela, Jugosłowianin mieszkał gdzieś w Quartier Latin, nie pamiętał adresu, który podał mu Moulin. Gdyby nawet pojechał teraz na Quai d'Orfeves i zajrzał do raportu inspektora, to szansa zastania chłopaka w domu w niedzielę, przy takiej pogodzie, równała się zeru.

Z otwartego okna biła fala ciepłego powietrza. Podeszedł i spojrzał w dół na ulicę. Jak zwykle w święto o tej porze roku, wydawała się opustoszała, nieliczni przechodnie, mało samochodów. Kto mógł, wyjechał za miasto, inni uciekli do parku czy nad Sekwanę, reszta leniuchuje w pieleszach domowych. Tylko jego, jak na złość, ponosi chęć działania, której nie może dziś zrealizować...

Niecierpliwiąc się z powodu niemożności natychmiastowego zobaczenia się z Lubelicem, jednocześnie liczył się z tym, że spotkanie z nim może nic nie dać. Po upływie kilku tygodni mógł już nie pamiętać, że kazano mu sprzątnąć rozbite skorupy. I jeśli go zapyta, czy zbierając z podłogi nie obejrzał kawałka ułamanego haka, najprawdopodobniej wrzuci ramionami lub odpowie: po co miałbym to robić? Tylko w jednym przypadku mógłby mu powiedzieć, iż resztę haka oglądał i dziwił się, że stał tak gładko pękła... gdyby Lamier nie sfingował morderstwa, a Lubelic był zabójcą. Ale cokolwiek mu Jugosłowianin powie, chciałby to jak najprędzej usłyszeć, wiedział, że dopóki się z nim nie zobaczy, obsesyjne myśli o kawałku haka go nie opuszczą.

Po *déjeuner* zaproponował Marcelle pójście na spacer, a potem odwiedziny Coco ze szczeniakami u Bertoldów.

\*

W poniedziałek, w drodze do Prefektury irytowało go każde czerwone światło, przy którym musiał się zatrzymać. Na miejscu zajrzał tylko do raportu Moulina, by zanotować adres Lubelica, zostawił wiadomość w sekretariacie, że będzie nieco później i pojechał do Dzielnicy Łacińskiej. Zmitrężył nieco czasu nim trafił pod właściwy adres.

Pierwsze i drugie piętro starych stromych schodów przebiegł szybko, przy trzecim trochę zwolnił, na szóste, gdzie mieszkał Lubelic, doszedł już nieco zasapany. Nacisnął zdezelowany dzwonek, którego turkot słysząc było wyraźnie. Nikt nie otworzył. Zadzwoił ponownie. Za drzwiami w dalszym ciągu panowała cisza.

Już ich nie ma, trzeba mi było przyjść o siódmej rano – pomyślał zawiedziony.

Jeszcze raz wcisnął taster na dłużej, raczej ze złości niż w nadziei, że ktoś tam jest. Miał już schodzić, gdy zza drzwi dobiegły jakieś szmery, potem usłyszał trzask przekręcanego klucza wraz ze słowami „Kogo diabli o tej porze przynoszą”. Drzwi się uchyliły i zobaczył w nich zaspaną twarz Orchana Lubelica. Dopiero poznavszy Lemaître'a, otworzył szerzej i przejechał ręką zmierzwioną czuprynę.

– W pierwszej chwili nie poznałem pana, ale się nie spodziewałem wizyty, i to o takiej porze.

Lemaitre wszedł do mikroskopijnego przedpokoiku.

– Obawiałem się, że później pana nie zastanę, jest w pół do dziesiątej.

– O, rany, już? – Lubelic starał się stłumić ziewanie. Odwrócił się w kierunku przymkniętych drzwi do pokoju.

– Juliette, wstawaj, dochodzi dziesiąta, spóźnisz się na seminarium, a ja mam... gościa... – po czym zwrócił się zafrasowany do Lemaitre'a:

– Mamy jeden pokój...  
– Wygodniej będzie porozmawiać gdzie indziej – odparł szybko Lemaitre. – Gdzie jest najbliższa kawiarnia?

- Na rogu.
- Na którym?

Za drzwiami pokoju zaczął się jakiś ruch.

- Na lewo od bramy.
- Zaczekam tam na pana – krzyknął Lemaitre już ze schodów.

Lokalik był mały, przy barku trójka młodych piła kawę, zagryzając croissantami. Lemaitre zajął stolik przy oknie i zamówił kawę. Gdy kelner ją przyniósł, poprosił jeszcze z myślą o Lubelico o croissanty i brioszki.

Po dwudziestu minutach zaczął wypatrywać przez okno. Minęło jeszcze dziesięć minut, a Jugosłowianin nie nadchodził. Czyżby zwiął? – zaniepokoił się. – Trzeba mu było powiedzieć, że chcę od niego tylko kilku informacji... I lepiej było poczekać na niego na schodach, a nie umawiać się tutaj. Podszedł do bufetu i wziął dla siebie kieliszek białego wina.

Kończył je pić, gdy za szybą mignęła postać Lubelica, drzwi kawiarni otworzyły się z impetem, chłopak obrzucił wzrokiem wnętrze i uspokojony podszedł do stolika.

- Bałem się, że pana już nie zastanę.

Lemaitre mimo woli się uśmiechnął:

- Tak panu zależało na naszym spotkaniu?
- Nie. Ale nie chciałem, żeby pan znowu przysyłał po mnie swoich flicków, co by pan na pewno zrobił, gdyby panu znudziło się czekać.

- Rzeczywiście, dosyć długo trwała pana poranna toaleta.
- Nie mamy łazienki – burknął. – Juliette się spieszyła i pierwsza zajęła miskę...

– Jadł pan śniadanie?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Musiałbym przedtem pójść po nie do sklepiku...

– Kawa dla pana – rzucił Lemaitre do przechodzącego kelnera i wskazał na koszyczek stojący na stoliku. – To niech pan wcina.

Orchan Lubelic spojrział na niego i przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, potem przeniósł wzrok na koszyczek i widok chrupkiego pieczywa przełamał opory, bo sięgnąwszy w końcu po rogalik, zjadł go w oka mgnieniu, następne poszły również szybko.

Kiedy kończył brioszkę, Lemaitre zapytał:

– W dniu wypadku pani Bossac pracował pan u niej tego dnia, prawda?

Lubelic połykał właśnie ostatni kęs i ograniczył się tylko do potaknięcia głową.

– W jaki sposób dowiedział się pan, co się stało?

– Suzanne wyskoczyła z domu, wołając, że z panią stało się coś bardzo złego. Więc zaraz tam poszedłem. – Ściągnął po swojemu szerokie brwi. – Widok nie był przyjemny... Pani Bossac leżała nieruchomo twarzą do ziemi z rozrzuconymi rękami, nogi miała dziwnie podkurczone... Suzanne i Marie chlipały, bały się podejść do leżącej. Kiedy nachyliłem się nad nią, to miałem już prawie pewność, że nie żyje, i to powiedziałem, i że trzeba zaraz wezwać pogotowie... Jak przyjechała karetka i lekarz zabrał się do badania, to wyszedłem.

– Dokąd?

– Do hallu, potem siedziałem w kuchni. Po niedługim czasie przyjechali państwo Debranche.

– Jak długo byli?

– Trudno mi powiedzieć, pewnie ze dwie godziny. Ale potem pan Debranche znowu wrócił i został do następnego dnia.

– A pan o której godzinie stamtąd wyszedł?

– Chyba koło ósmej wieczorem, wychodząc nie patrzyłem na zegarek.

– Co pan przez ten czas robił?

– Właściwie nic... Państwo Debranche prawie od razu poszli na górę, telefonowali i załatwiali jakieś sprawy, więc razem z Suzanne i Marie siedzieliśmy w kuchni. Potem pani Debranche zadzwoniła na Suzanne, chodziło o suknię dla pani Bossac... Dopiero jak pan Debranche przyjechał po raz drugi, polecił mi sprzątnąć z podłogi tę donicę z ziemią...

– Sam wszedł pan wtedy do living-roomu?

– Pan Debranche przyszedł po mnie do kuchni i razem tam poszliśmy. Pani Bossac czymś przykryta leżała już na sofie w głębi pokoju... chyba lekarz pogotowia z sanitariuszami ją tam przenieśli, bo po ich wyjściu tylko pan Debranche wszedł na chwilę do tego pokoju, pani Debranche nie wchodziła, Suzanne i Marie też nie...

Lemaitre starał się nadać głosowi niefrasobliwe brzmienie:

– Jak było z tym sprzątnięciem?

Chłopak spojrzał na niego zdziwiony.

– Chce pan wiedzieć, jak to sprzątałem? Zwyczajnie. Zebrałem z podłogi rozsypaną ziemię, pełno tego było, tylko przy korzeniu połamanej rośliny trzymała się grudka. Sama donica nie tak bardzo się nawet potłukła, z jednej tylko strony. Pan Debranche obejrzał i powiedział, że może da się skleić i szkoda wyrzucać, bo to wykopalisko przywiezione kiedyś z Bałkanów... Rzeczywiście była ciężka, jakby z kamienia. Może powinienem zanieść to na górę do schowka, ale miałem jeszcze przy sobie klucz do garażu, zabrałem więc te skorupy i wspornik, bo był nieuszkodzony i zataaszczyłem do garażu. W kącie koło skrzynki z narzędziami miałem pudło ze szmatami do czyszczenia wozu i tam to włożyłem.

– Nie zauważył pan przy sprzątnięciu tego kawałka haka, który się ułamał?



- Kawalka haka? Nie...
- Pewnie wyrzucił go pan razem z ziemią...

Lubelic wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale raczej nie. Pamiętam, że to wszystko, jak wisiało na ścianie, było pomalowane na biało, wspornik i hak też, pewnie żeby go nie było widać. To bym taki biały kawałek w rozsypanej ziemi musiał zauważyć.

Może go ktoś wcześniej podniósł z podłogi.

Mimo wypitej kawy i białego wina Lemaitre miał teraz suche gardło.

– Oddał pan tego wieczoru klucz do garażu panu Debranche?

– Jak to zaniósłem, zamknąłem garaż i od razu oddałem klucz. Wiedziałem przecież, że w przyszłości nie będę tam miał już nic do roboty. Co prawda pan Debranche poprosił, żebym jeszcze nazajutrz rano przyszedł, ale okazało się, że po to, żeby się ze mną rozliczyć, zapłacił za cały kwiecień. Tyle tylko, że tego dnia pomogłem jeszcze wynieść trumnę...

– Nie będę pana już dłużej zatrzymywał.

Orchan Lubelic popatrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

– Tylko po to chciał się pan ze mną widzieć?

Lemaitre zostawił to pytanie bez odpowiedzi. Odwrócił się, dał znak kelnerowi, że chce płacić, i dopiero wtedy powiedział:

– Niech pan wraca do swoich zajęć, ja ureguluję rachunek. – Tak jak przedtem z niecierpliwością oczekiwał nadejścia chłopaka, tak teraz chciał się go jak najprędzej pozbyć. Zdawał sobie sprawę, że to, co zamierza zrobić, jest najprawdopodobniej niepotrzebne, ale wpierw musiał się o tym przekonać.

Prosto z Quartier Latin pojechał do ministerstwa Debranche'a. Ryzykował, że może go nie zastać, ale nim by się dodzwonił i przełamał opory sekretarki, zajęłoby mu to tyle samo czasu, co jazda.

Wszedłszy nie powiedział sekretarce, że chce się widzieć z ministrem, lecz od razu zażądał, by go z nim połączyła telefonicznie. Odbiegało to tak od przyjętych zwyczajów, iż zaskoczona wykonała polecenie. Gdy usłyszał głos Debranche'a, zakomunikował:

– Wpadłem na moment, bo muszę pana o coś zapytać i mogę to zrobić tylko osobiście, poza tym bardzo się śpieszę.

Szybko pokonał odległość od drzwi do monumentalnego biurka ministra.

– Potrzebne mi są klucze do garażu w Neuilly. Ma pan je przy sobie?

– Nie – odparł zdziwiony Debranche. – Proszę, niech pan siada, o co chodzi?

Lemaitre nie usiadł.

– Czy w takim razie klucze, które oddał panu w dniu wypadku wieczorem chłopak zatrudniony tam jako ogrodnik, są u pana w domu?

Debranche potarł ręką czoło.

– Zupełnie mnie pan zaskoczył... Myślę że tak.

– Czy pana żona wie gdzie są schowane?

– Tak. Chyba razem z innymi kluczami z tego domu, w biurku.

– Byłby pan tak uprzejmy zatelefonować teraz do niej, żeby sprawdziła, i zawiadomić, że zaraz po ten klucz przyjadę.

Gdy nakręcał numer, Lemaitre odszedł od biurka i stanął przed jednym z okien. Ale kiedy dobiegły go słowa: „Co? Nie ma?”, natychmiast się odwrócił.

– Niech pan powie, żeby sprawdzić w ubraniu, które miał pan tego dnia na sobie.

– Zobacz w brązowym ubraniu z kamgaru – zlecił Debranche do słuchawki, potem obaj w milczeniu czekali na wyniki przeszukania kieszeni.

Wreszcie bratanek Adeliny Bossac spojrzął na Lemaitre'a i kiwnął głową. – Jest!

– Po ten klucz przyjedzie komisarz Lemaitre... Trudno, musisz poczekać.

– Żona miała akurat wyjść – wyjaśnił.

– Już jadę – odpowiedział Lemaitre i nie tracąc czasu na pożegnanie wyszedł.

Odebranie klucza od Denise Debranche odbyło się w tempie najszybszym z możliwych. Zadzwoił. Otworzyła mu sama.

– Nie będę wchodził, obydwójcie się śpieszymy.

Wyciągnęła do niego rękę z kluczykiem.

– Proszę...

– Dziękuję do widzenia.

Z jaką ulgą odetchnęła, że nie musiała ze mną rozmawiać – pomyślał zbiegając ze schodów.

Jazda przez Paryż w porze, kiedy z biur, przedsiębiorstw i sklepów wylęgają wszyscy na *déjeuner*, wymaga nie mniejszej uwagi niż podczas popołudniowego szczytu, szczególnie na małych uliczkach pozbawionych sygnalizacji, gdzie ludzie w pośpiechu i niefrasobliwie przebiegają jezdnie. Lemaitre również był głodny, ale ani przestrzegany zwyczaj jadań o tej porze, ani uczucie głodu nie zmusiłyby go teraz do zatrzymania się przed jakąś knajpką. W dodatku, niepokoił się, czy zastanie Suzanne, choć w razie jej nieobecności miał przecież możliwość dostania się do garażu; obawiał się jednak, iż bez jej obecności jego osoba mogłaby wywołać zainteresowanie sąsiadów.

Dzwonek musiał oderwać Suzanne od śniadania, bo otworzyła drzwi, trzymając serwetkę w ręku.

– Przepraszam, że przeszkodziłem w śniadaniu... Ale chcę tylko by pani podeszła ze mną do garażu i była tam przez ten moment, gdy będę go otwierał.

– Kiedy ja nie mam klucza od garażu – zafrasowała się.

– Ale ja go mam. – Spojrzał na zaniepokojoną twarz dziewczyny i dodał: – Otrzymałem go pół godziny temu od państwa Debranche.

Otworzenie garażu nie nastęczyło trudności.

– Proszę iść kończyć *déjeuner*. – Suzanne odeszła.

Wszedł do garażu, odszukał kontakt i zapalił światło, w którym załśniła wypucowana karoseria ciemnozielonego peugeota. Ominął wzrokiem wóz rozglądając się po kątach. W przeciwległym rogu, przysunięta do ściany stała drewniana skrzynka, a niedaleko od niej duże tekturowe pudło. Zdjął kartonową przykrywą. We wklęsnięciu szarego rozbitego naczynia zobaczył oparty o nie ukośnie wspornik. Pomalowane na biało stalowe sztabki tworzyły wygiętą pod kątem prostym kratę, dość gęstą w dolnej i rzadszą w górnej części. Lemaitre uklęknął, nachylił się i ujął go od spodu jedną ręką; wpatrując się uważnie, palcami drugiej przesuwiał po sztabkach centymetr po centymetrze. W pewnym momencie wstrzymał niemal oddech – w jednej kratce nie było prześwitu, wyczuwał tu palcem mocno wystające zgrubienie. Z bijącym sercem wyjął ostrożnie wspornik, położył go na podłodze i odwrócił. W otworze kratki widać było tkwiący tam ciemny metal. Nacisnął go palcem, by wypchnąć, ale nie drgnął, warstwa farby z drugiej strony trzymała mocno zakończenie haka, wspornik musiano pomalować dopiero po jego zawieszeniu.

A więc to, co mu zaświtało w głowie podczas rozmowy z Lubelcem, okazało się rzeczywistością.

Wstał, nie otrzepawszy nawet zabrudzonych na kolanach spodni, wziął wspornik i wyszedł z garażu.

Do drzwi domu zadzwonił jak na pożar. Kiedy Suzanne otworzyła, bez słowa skierował się do living-roomu i tam przy oknie przyjrzał się ułamanej końcówce haka. Widoczna powierzchnia metalu była nieco chropowata. Ale czy na skutek użycia pilnika? Należał do tych nielicznych mężczyzn, którzy nawet w wieku chłopięcym nie zajmowali się majsterkowaniem. Nigdy nie widział pękniętego pręta ze stali i nie miał pojęcia o jej strukturze. Musi to pokazać Mercierowi z Wydziału Technicznego...

Odrzucił się od okna i zobaczył w drzwiach Suzanne, przyglądającą się, co robi...

– Orchan to zostawił w garażu? – zdziwiła się. Chciała go pewnie jeszcze o coś zapytać, ale nie dał jej po temu okazji.

– Niech mi pani da szybko jakąś grubszą plastikową torbę, w której to – wskazał na wspornik – by się zmieściło.

W hallu, kiedy wychodził, dobiegł go z głębi mieszkania smakowity zapach, Suzanne musiała jeść na śniadanie smażoną wątróbkę z cebulką. Poczul się diablo głodny.

Nim wsiadł do wozu, spojrział na zegarek. Było kilka minut po drugiej. Marcelle, nie doczekawszy się na niego, na pewno już zjadła i teraz mogło jej nie być w domu.

Zatrzymał się przed pierwszym napotkanym barem szybkiej obsługi. Pora *déjeuner* minęła, mógł dostać już tylko hamburgery; niejadalne, jak dotychczas uważał, amerykańskie kotleciki po raz pierwszy mu smakowały.

Po przyjeździe na Quai d'Orfeves poszedł prosto do inżyniera Mercier a z Wydziału Technicznego.

– Niech pan to zobaczy – wyjął z torby wspornik i wskazał w nim widoczny kawałek metalu – i powie dlaczego jest chropowate?

Mercier ruchem krótkowidza odsunął okulary na czoło i nachyliwszy się nad wspornikiem niemal natychmiast odpowiedział:

– Bo odpiłowane. Robiłem niedawno ekspertyzę podpiłowanego haka, nawet rozmawialiśmy na ten temat. Czy to część tamtego?

– Mogę przynieść tamten kawałek dla sprawdzenia.

– Nie jest pan pewien, że chodzi o ten sam hak?

– Jestem. Chodzi mi tylko o to, czy ta część, którą teraz przyniosłem, jest na pewno też podpiłowana?

Mercier wzruszył ramionami.

– Przecież to widać gołym okiem, ale skoro pan nie dowierza...

– Wziął ze stołu szkło powiększające. – Nie ulega wątpliwości, przepielowana jest duża część powierzchni. – Wyciągnął rękę ze szkłem do Lemaitre'a.

– Chce pan sam zobaczyć?

– Nie, pana stwierdzenie mi wystarczy. Dziękuję. Pisemna ekspertyza też nie jest mi potrzebna, wystarczy tamta.

Wyszedłszy od Merciera wolno przemierzał korytarz. A więc mały Lamier nie popełnił mistyfikacji... Niepotrzebnie przez dwa dni zawracał tym sobie głowę.

Gdy dochodził do swego pokoju, dobiegł go stamtąd uporczywy sygnał telefonu. Dzwonił podinspektor Chartier, który, jak się okazało od rana chciał przekazać wyniki swej bytności w Longchamps.

Żaden z kasjerów nie zapamiętał Lubelica. Na przedłożoną im fotografię odpowiadali w różny sposób, ale sens wszystkich odpowiedzi był jednakowy: podczas wyścigów nie patrzą na twarze graczy ukazujących się w ich okienkach, patrzą tylko uważnie na przedkładane bilety gry i wpłacane przez nich i wypłacane im bilety Banku Francuskiego. Przypadek zaś wypłaty osiem za jeden też nie mógł być powodem zapamiętania szczęśliwego gracza. Wyścigi nie byłyby wyścigami, gdyby nie zdarzały się wygrane fuksów, zdarzają się one wcale nie tak rzadko i nie stanowi to żadnego ewenementu...

Ostatnie dni przed wyborami wytwarzały specyficzny nastrój. Rozlepione afisze, plakaty, kampanie prasowe, prezentowane programy partyjne, ścierające się racje przeciwników politycznych w dyskusjach telewizyjnych, wpływały na eskalacje uczuć i oczekiwań.

Lemaitre należał do tych nielicznych osób, które nie ulegały ogólnej podnieconej atmosferze. Być może, gdyby dochodzenie w sprawie zabójstwa Adeliny Bossac było już zakończone, bardziej pasjonowałby się przewidywaniem wyników wyborów. Od dnia, w którym zaczął się tą sprawą zajmować, liczył, że upora się z nią wcześniej, niż życzył

sobie tego dyrektor Rondonier. Tymczasem był teraz niemal równie daleko od zidentyfikowania mordercy, jak na początku. Cóż z tego, że na podstawie zebranego materiału mógł już przypuszczać, kto był mordercą, skoro odnosiło się to nie do wyłącznie jednej, lecz do kilku osób. Na każdą z nich wskazywały pewne poszlaki... Sęk tkwił w tym, że żadna, nawet najbardziej obciążająca poszlaka nie zastąpi konkretnego, realnego dowodu. W tej sytuacji niemożność wskazania sprawcy przesłaniała Lemaitre'owi wszystkie inne sprawy, włącznie z wyborami do Zgromadzenia Narodowego.

Po rozwianiu się podejrzenia, jakie nagle powziął wobec sierżanta Lamiera, zaczęła go głównie zaprzętać osoba Jeana Debranche'a. Wyrzucał sobie, że nie przeprowadził z nim dotychczas dłuższej rozmowy, zajmując się wpierrw innymi osobami. Teraz przed głosowaniem do Zgromadzenia Narodowego wyrwanie politykowi i ministrowi godziny czy dwóch na rozmowę było niemożliwością.

Oczywiście, gdyby dochodzenie było prowadzone normalnie, jak każde inne, wysłałby mu po prostu urzędowe wezwanie i nie obchodziłoby go zupełnie, że podany termin może kolidować z jego zajęciami. Ale w tym układzie, jaki był, będzie musiał czekać na spotkanie z Debranche'm aż gorączka polityczna związana z wyborami opadnie.

To, czego dowiedział się od Joberta, bez wątpienia wzmacniało wątpli dotychczas poszlaki. Jeżeli jeszcze do tego dołączyć wiadomość przekazaną przez żonę Debranche'a, iż ze skrytki w sypialni ciotki zabrali biżuterię zmarłej, co świadczyło, że miejsce skrytki było mu znane... Czy możliwe było, by po powrocie w śróde późnym wieczorem do domu – z Jobertem przecież opuścili dom Adeliny Bossac o dziesiątej – zdołał ją telefonicznie nakłonić do zmiany decyzji? Raczej nieprawdopodobne. Nazajutrz koło południa dał znać maklerowi iż kupuje „L'Echo”. Określenie „koło południa” mogło oznaczać jedenastą

trzydzieści, ale równie dobrze dwunastą trzydzieści, a nawet trzynastą. Nikt z domowników nie potrafił podać dokładnej godziny wypadku, a jedynie, iż stało się to przed *déjeuner*; jadała je zazwyczaj około w pół do pierwszej. Debranche mógł więc telefonować do Joberta po otrzymaniu wiadomości o śmierci ciotki. W opróżnionej potem przez niego skrytce mogła znajdować się nie tylko biżuteria, ale i inne walory, a także testament, którego bratanek zmarłej wolał nie ujawniać.

Idąc tropem tych przypuszczeń nasuwało się pytanie: kiedy Debranche mógł powziąć zamiar uśmiercenia ciotki? Ze względu na sposób przeprowadzenia morderstwa, nie mogło być popełnione pod wpływem nagłej decyzji, wymagało nie tylko sprzyjających okoliczności, ale i odpowiedniego narzędzia, nikt nie nosi przy sobie pilnika do metalu. O możliwości kupna gazety na pewno poinformował ciotkę natychmiast, gdy dowiedział się, że Perlet gotów jest „L’Echo” sprzedać. Jak stwierdził Jobert, od razu uzależniał tę transakcję od pomocy rodziny. Nie udało mu się jednak ciotki nakłonić. Czy rzeczywiście przypuszczał, że poobiednia rozmowa z Jobertem wpłynie na zmianę jej stanowiska? Przecież już przedtem musiała mu podać przyczyny, dla których odmawiała tej pomocy. Owa „skomplikowana operacja finansowa”, o której wspomniała Jobertowi, dotyczyła bez wątpienia manipulacji akcjami „Cortona”. Zapewne nie wtajemniczała w to bratanek, ale o stojącej na przeszkodzie w udzieleniu mu pomocy „skomplikowanej operacji” musiał już przedtem wiedzieć. Właśnie wtedy śmierć ciotki mógł uznać za jedyne rozwiązanie. Skłonienie jej do zaproszenia na obiad Joberta spowodowane było nie nadzieją, że może jednak, wbrew poprzednim oporom, zgodzi się zainwestować w „L’Echo”, a stworzeniem sprzyjających okoliczności dla przeprowadzenia zbrodniczego zamiaru. Czyż mogła być lepsza okazja, kiedy po wyjściu innych gości przechodzili we troje do gabinetu, by móc się wycofać na parę minut pod pretekstem umycia rąk, czy skorzystania z



telefonu na dole? Nawet jeśli nieobecność Debranche'a trwałaby nieco dłużej, ani Jobert, ani Adelina Bossac zajęci rozmową nie zwróciliby na to uwagi. Wiedział, że w tym czasie nikt nie wejdzie do living-roomu, Suzanne zajęta sprzątaniem ze stołu krążyła między jadalnią a kuchnią.

Jeżeli wtedy udało mu się hak podpiłować, nie musiał po rozstaniu z Jobertem wracać do domu ciotki, w ogóle nie musiał jej już w jakikolwiek sposób przekonywać czy prosić.

Czy nie zanadto ryzykował? Gdyby hak nie pękł wówczas, gdy siedziała na berzerce? Wbrew wnioskowi, do których Lemaitre doszedł, dając się zwieść przypuszczeniom o popełnionej przez Lamiera mistyfikacji, mało było prawdopodobne, aby Adelina Bossac wzywała potem rzemieślnika, o którym by uważała, że spartaczył robotę, i pokazywała mu ułamany hak. Raczej kazałaby Orchanowi usunąć jego resztki tkwiące w murze i zrezygnowałaby w przyszłości z wszelkich roślin wiszących na ścianach. Gdyby zaś jakimś cudem spostrzegła podpiłowanie, jej ukochany bratanek Jean byłby poza wszelkim podejrzeniem. Pewnie padłoby ono na Arnauda.

Arnaud... Przypomnienie utrzymanka Adeliny Bossac natychmiast skierowało myśl Lemaitre'a ku jego osobie. Obrzydliwy facet żerujący na kobietach, w dodatku uwodzący młode naiwne stworzenia, jak Marie-Luise. On także miał powody, by się pozbyć starej kochanki. I nie tylko on, pozbawiony skrupułów Patton także... A Orchan Lubelic? Mył w tym domu okna, czyścił dywany, miał nieograniczone możliwości popełnienia w tak przemyślny sposób zabójstwa. Któż może wiedzieć, czy nic cennego nie zginęło tuż przed śmiercią lub po, śmierci Adeliny Bossac w rozgardiaszu, jaki wtedy musiał tam zapanować.

Roztrząsając to wszystko, Lemaitre wracał do domu zdenerwowany i zły. Gdyby jeszcze nie ten idiotyczny zakaz Rondoniera, aby o prowadzonym dochodzeniu nie dowiedział się żaden kolega. W impasie,

w jakim się znalazł, oburzało go to teraz do żywego. Bo gdyby tylko pomówił z Ternierem... Na pewno analizując z nim poszczególne przesłanki, dojrzałby wyraźniej to, na co dotychczas nie zwrócił może dostatecznej uwagi. A w każdym razie Ternier podniósłby go na duchu przypomnieniem innych spraw, które przez dłuższy czas śledztwa wydawały się niemożliwe do rozwiązania, a jednak potem udawało się je rozwikłać. To, że sam o niektórych takich przypadkach pamiętał, nie mogło stanowić żadnego pocieszenia, zachował z tych spraw tylko ogólne wspomnienie trudności, które, gdy minęły, stały się nieważne, w pamięci wyblakły związane z nimi przykre doznania. I właśnie w takich sytuacjach, kiedy Lemaitre czuł się „na dnie”, Ternier był niezastąpiony. Jakże chętnie spytałby się teraz Terniera, czy mówił mu kiedykolwiek o czymś podobnym do tej paskudnej sprawy, w której parę osób można by uważać za zabójców, choć *de facto* był tylko jeden, i żadnej z tych osób nie sposób niczego dowieść.

Marcelle od razu zauważyła jego zły humor, którego nie poprawił ani dobry obiad, ani odżałowany przez nią pięciogwiazdkowy koniak, który potem podała. Na szczęście miał być wieczorem transmitowany w TV mecz piłki nożnej F. G. Nantes z Real Madrit, co stwarzało według niej możliwości poprawy nastroju, o ile piłkarzom uda się dać łupnia Hiszpanom.

Kończyła się pierwsza połowa meczu, kiedy zadzwonił telefon przełączony już do sypialni.

– Idź i przyjmij – poprosiła Marcelle, która częściej niż na ekran spoglądała na migające w jej rękach druty, w stałej obawie by nie zgubić oczka.

– Na pewno dzwoni któraś z twoich przyjaciółek, ale jeśli do mnie, to powiedz, że mnie nie ma.

Właśnie Tigana o mało nie strzelił bramki, kiedy Marcelle wróciła i coś powiedziała, co zagłuszyły wrzaski kibiców dobiegające z

telewizora. Nachyliła się więc nad mężem i krzyknęła:

– Dzwoni jakaś pani Tressaille. Nie udało mi się jej przekonać, że ciebie nie ma. Czeka przy telefonie.

Zainteresowanie Lemaitre'a meczem natychmiast znikło. Wstał szybko z fotela i podszedł do telefonu.

– Tu Lemaitre – powiedział automatycznie, podejmując słuchawkę.

– Domyśliłam się, że ogląda pan dzisiejszy mecz. Pana żona jest bardzo miła. – Związek między tymi stwierdzeniami zostawiła domyślności Lemaitre'a. – Musiałam do pana zadzwonić. Czy pan wie, że Pelade jest w szpitalu? Właśnie u niego byłam, powiedział, że go pan przed dwoma tygodniami odwiedził i że spędził wtedy z panem bardzo miłe popołudnie. Lekarze uznali, że z operacją nie można dłużej zwlekać. Biedny Gaston, okropnie źle wygląda, ta jego choroba, to poważna sprawa. Mówił jeszcze, że trochę liczył w domu na pana ponowne odwiedziny. Może więc wpadłby pan do niego do szpitala? Myślę, że by się ucieszył. Dlatego dzwonię...

– Kiedy go chcą operować?

– Za dwa czy trzy dni.

– Naturalnie, bardzo chętnie go odwiedzę w szpitalu. Jeżeli można, wpadnę tylko przedtem do pani dowiedzieć się więcej szczegółów, adresu szpitala i tak dalej. Kiedy pani moje przyjście by odpowiadało?

– Jutro by pan chciał wpaść?

– Jeśli to możliwe.

– Od trzeciej po południu będę w domu, od tej pory godzina obojętna, niech pan wpadnie, o której będzie panu wygodniej. Do zobaczenia do jutra.

Wrócił do living-roomu zamyślony.

– Coś się stało? – spytała Marcelle.

Wzruszył ramionami. – Właściwie nic. Człowiek, który miał być

operowany, będzie operowany, tyle że nieco wcześniej. Proszono mnie bym go odwiedził.

– Któryś z kolegów z pracy? – Po czym wykrzyknęła: – Ojej, pomyliłam wzór! Chyba zgubiłam oczko...

Zajęta szukaniem oczka nie zwróciła już uwagi, że nie odpowiedział na jej pytanie.

Powodem, dla którego Lemaitre udał się do pani Tressaille, nie była chęć zasięgnięcia o chorym dokładniejszych informacji, mógł tego wszystkiego dowiedzieć się od niej przez telefon. Chciał skorzystać z okazji, by móc ją jeszcze wypytać o sprawy związane z Adeliną Bossac. Przekazana mu mimochodem przez Arnauda wiadomość o uczuciach, jakie swego czasu łączyły Debranche'a i jej córkę, warta była pogłębienia, rzucała też nowe światło na Thérèse Tressaille. Naturalnie, mógł, bez pretekstu choroby Pelade'a, wyznaczyć jej spotkanie, jak to robił uprzednio, wolał jednak, by odniosła wrażenie, że jego odwiedziny są nie urzędowe, dawało to szansę, iż nie będzie się mieć zbytnio na baczności.

Tak, jak podczas jego pierwszej wizyty, siedzieli w obu końcach rozłożystej kanapy. Lecz tym razem nie wzdragał się przed wypiciem *fine*.

Pani Tressaille opalona, w płóciennej letniej sukience wyglądała o wiele młodziej.

- Służą pani spacerzy z wnuczką – zauważył.
- W pewnym wieku dobrze mieć wnuki lub psa, zmuszają do ruchu i przebywania na świeżym powietrzu.
- Nie grożą mi wnuki, bo nie mam dzieci, ale za miesiąc będę już na usługach młodej panienki z rodziny brązowych spanieli.
- Mieszkam sama, więc nie mam, ale to bardzo miło mieć psa.
- Niestety, jeśli chodzi o nas, określiłbym to odwrotnie: naszym psom było miło mieć nas. Teraz też czekamy, aż suczka skończy

sześć tygodni, by mogła objąć w posiadanie nasz dom, żona nie może się już doczekać.

– Nawet przez telefon mogłam zauważyć, że ma pan bardzo miłą żonę.

– Wolałbym usłyszeć, że moja żona ma miłego męża.

Pani Tressaille ostentacyjnie przekrzywiła głowę, aby mu się przyrzec:

– Chce mnie pan zmusić do mówienia panu komplementów? A więc dobrze: Trochę miły pan jest...

– Dlaczego trochę? – obruszył się.

– Czy ktokolwiek wymagłowany policyjnym przesłuchaniem mógłby o przesłuchującym go stwierdzić, że jest bardzo miły?

– Czy o lekarzu, który przepisałby pani konieczną, lecz ostrą dietę, też powiedziała pani, że jest antypatyczny?

– Ależ tak!

– Dlaczego?

– Bo jestem osobą, która lubi dobrze jeść.

Roześmiał się i chciał powiedzieć, że dała się złapać na słówko „też”, które świadczyło, że również i on jest dla niej antypatyczny, ale ugryzł się w język. Wolał nie zwracać jej uwagi na zastosowany w pytaniu chwyt, jakiego często używa się w śledztwie, obudziłoby to jej czujność.

– Wracając jeszcze do psów. Kiedy byłem w Neuilly, nie zauważyłem tam żadnych śladów obecności psa, a przecież w takim domu na pewno musiał być. Zabrał go pan Debranche?

– Adelinie pies nie był potrzebny, zawsze potrafiła znaleźć kogoś, kto odgrywał jego rolę... A nawet gdyby miała psa, wątpię, by przejął go Jean, pies niczym by mu nie pomógł w karierze.

Lemaitre teraz z łatwością uchwycił gorzki ton wypowiedzi.

– Natomiast żona może się do kariery przyczynić. Jak słyszałem, pani Debranche ma odpowiednie koligacje.

Twarz pani Tressaille stężała.

– Gdyby nie perswazja i działania Adeliny, Jean by się z nią nie ożenił.

– O?! – udał zdziwienie. – Był zakochany w kim innym?

– Był – powiedziała cierpko. – Ale Adelina potrafiła go przekonać, że kariera jest ważniejsza.

– No to pani Bossac musiała być ostatnio mocno zawiedziona. Trudno nazwać postępowanie pani Debranche wobec Breğona pomocą w karierze męża – roześmiał się.

– Raz w życiu miała za swoje.

Lemaitre nigdy nie widział u niej tak złośliwego uśmiechu. Musiała jej nienawidzić – przemknęło mu przez głowę.

Spojrzała na opróżnione kieliszki i wskazała na stojącą na stoliczku butelkę:

– W takim razie, proszę nalać.

Posłusznie wykonał polecenie.

– Co prawda, przy takiej wspaniałej pogodzie wolałabym kieliszek dobrze zamrożonego szampana, pan pewnie też. Ale, niestety, nie mam, moja piwniczka opustoszała.

– A mnie dziś właśnie bardzo odpowiada Martell, choć muszę przyznać, że u pana Pelade'a także dobrze piło nam się Veuve Cliquot.

– Biedny Gaston... To okropne, że właśnie jego dotknęła taka potworna choroba.

– Stwierdzono raka?

– Tak. Gaston udaje, że o tym nie wie, i na pozór świetnie się trzyma, ale na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

– Może jednak nie, często chorzy okłamują sami siebie.

– Gaston do takich nie należy. Wie pan, co mi powiedział, gdy go ostatnio odwiedziłam w szpitalu? „Zgodziłem się na operację, bo może sprawę od razu definitywnie załatwi”. A przy tym cały czas podczas mojej bytności dowcipkował, a ja musiałam mu dotrzymać kroku.

– Gdy byłem u niego, od razu zauważyłem, jak bardzo jest wycieńczony. Od dawna chorował?

– Gdyśmy się ponownie spotkali po długich latach niewidzenia, nie wyglądał już dobrze, ale myślałam, że po prostu szybko się zestarzał, ludzie różnie się starzeją. Wiem też, że ogromnym ciosem była dla niego śmierć żony, drugiej żony...

– Dawno ją stracił?

– Chyba ze trzy czy cztery lata po ślubie. Musiał ją rzeczywiście bardzo kochać, bo potem już się nie ożenił. Mówił mi, że jedyną satysfakcją znajdował w pracy.

– Jest zdaje się architektem?

– I to dobrym. Jego firma miała opinię jednej z najlepszych pracowni architektonicznych.

– Domyślam się, że klienci należeli do zamożnych.

– Sporo willi na Lazurowym Wybrzeżu jest jego projektu. W jakiejś naszej rozmowie podkpiwał z siebie, że był modnym architektem... Ale pracując dla określonej warstwy ludzi, miał możliwość artystycznego wyżycia się, nie ograniczały go skromne fundusze budownictwa municypalnego czy drobnych ciułaczy, decydujących się na mały domek. Dopiero chyba przed rokiem zlikwidował firmę, twierdził, że chce wreszcie spokojnie pożyć jako rentier. Źle się już czuł, choć nie przyznawał się do choroby. Tyle, że był coraz mizerniejszy... Ale przecież do ostatka jakoś się trzymał, nie zdarzyło się nawet, by opuścił brydża u Adeliny. I pomyśleć, że ledwo minął miesiąc, gdy graliśmy u niej, we wtorek, jak zwykle. A dziś Gaston czeka na operację, która nie mu już nie pomoże, a Adelina dwa dni po tamtym brydżu już nie żyła. Chociaż była najzdrowsza w świecie, pełna energii i pokazywała mi tamtego wtorku nową suknię...

– Jak to, przecież we wtorek był brydż?

– Tak, ale przyszliśmy przecież z Gastonem pierwsi, więc Adelina nie omieszkała zaraz zaciągnąć mnie na górę, by pochwalić się nowym

nabytkiem od St. Laurenta czy Diora.

Lemaitre'owi o mało kieliszek nie wypadł z ręki, zapalił papierosa, by zyskać na czasie i nie zdradzić głosem emocji, dopiero potem powiedział:

– To pewnie była ta sama suknia, w której została pochowana, Suzanne mówiła, że sama wybrała dla niej zupełnie nową... Zdążyła się w niej pokazać tylko pani. Chociaż nie, był przecież jeszcze pan Pelade...

– Nie, tylko ja zostałam zaangażowana do podziwiania. Mimo że zachowywali się wobec siebie normalnie, Adelina nigdy by nie zaproponowała Gastonowi pójścia na górę dla obejrzenia jej fatalaszków.

– W jakim szpitalu przebywa pan Pelade?

– W prywatnej klinice doktora Roustaux, w Passy, rue Michel Ange. Leży w separacie nr 12. Odwiedzi go pan jeszcze dziś? Pojutrze czy za dwa dni ma operację. Na pewno ucieszy się z pana wizyty, tak miło o panu mówił. Tym bardziej, że chyba nie ma teraz bliskich sobie ludzi, wiem od gosposi, że ostatnimi czasy prawie do nikogo nie telefonował i niewiele wychodził z domu.

– Przyjaźnił się przecież z panią.

– Tak, to prawda, ale nasza przyjaźń miała specyficzny charakter, może już panu o tym opowiadałam. Oboje dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie, doskonale się nam rozmawiało. Ale gdybym teraz zaczęła przejawiać nagłą troskliwość i codziennie przychodzić do szpitala, złamałabym ustaloną konwencję, którą on stara się utrzymać. Mówiłam panu przecież, że poza tą jedną jego wypowiedzią, którą panu powtórzyłam, dowcipkował i rozmowa toczyła się jak zazwyczaj. Więc skoro chce, aby nasza przyjaźń i teraz utrzymała dawny styl, muszę się do tego dostosować, choć wyobrażam sobie, jak bardzo musi się czuć samotnie. Leżeć tak samemu i czekać na taką operację... Dlatego namawiam pana, żeby pan go odwiedził.

Lemaitre westchnął.



– Taaak... Będę go musiał odwiedzić... Wolałbym jednak być u niego jutro, nie dziś.

– Niech pan tylko stara się zrobić wrażenie, że nic pan nie wie...

Spojrzał na nią zaskoczony:

– Czego nie wiem?

– W jakim ciężkim jest stanie.

– Ach tak, oczywiście...

Spojrzał na zegarek.

– Zasiedziałem się, zabrałem pani sporo czasu... Dziękuję za informacje, choć są niewesołe.

– Ale chyba lepiej, że pan wie, jak sprawa wygląda. Nie wyobraża pan sobie, jak Gaston zmienił się przez ostatnie dni, został z niego cień i na pewno nie potrafiłby pan ukryć zaskoczenia. Więc dobrze, że pan do mnie wpadł...

Kiedy wrócił do domu, był tak milczący, iż zaniepokoiło to Marcelle.

– Nie idzie ci z tą ostatnią sprawą?

– Prawdopodobnie już jutro będę mógł zamknąć dochodzenie.

– A wyglądasz, jakby cię coś trapiło.

– Może jestem zmęczony i to wszystko – schował się za gazetę.

– Nie masz ochoty obejrzeć filmu w TV?

– Nie... Ale jeśli ty chcesz, to oglądaj, ja mogę pójść do jadalni i tam czytać.

– Nie chcę oglądać, bo muszę wreszcie skończyć sweter, a jak spoglądam na ekran, to gubię oczka.

Siedzieli w *living-roomie*, Marcelle zajęta dzierganiem, Lemaitre, rzuciwszy tylko okiem na gazety, stawiał pasjansa. Na parokrotne próby wszczęcia rozmowy odpowiadał chrząknięciem lub monosylabami. Poza łowieniem ryb, których nie wolno płoszyć, nie zdarzało się, aby przebywali razem milcząc, jak teraz.

W pewnym momencie Marcelle odłożyła robotę i pośpiesznie wstała.

– Ojej, zapomniałam po południu podlać fikusa. Przy tej pogodzie już wczoraj miał za sucho.

Podniósł głowę znad rozłożonych kart.

– To dlaczego wczoraj nie podlałaś?

– Bo to wymaga podlewania raz na trzy cztery dni, nie może mieć za wilgotno. – Wstała i wyszła pośpiesznie z pokoju.

Lemaitre wrócił do pasjansa, podniósł kartę, którą miał przełożyć, kiedy wypowiedziane przed chwilą słowa Marcelle wywołały raptem skojarzenie.

Numer telefonu w Neuilly znał już na pamięć, nie potrzebował nawet zaglądać do notesu. Z niecierpliwością czekał na podjęcie przez Suzanne słuchawki.

– Pewnie panią zdziwię, że o tej porze dzwonię z takim pytaniem: Jak często podlewała pani tę wiszącą roślinę w salonie, która spadała na panią Bossac?

– Dwa razy w tygodniu.

– Kiedy ją pani podlewała ostatni raz? Niech się pani postara przypomnieć.

– Przed wypadkiem pani Bossac w czwartek rano, podczas sprzą-tania.

– A przedtem?

– Jak zwykle, w poniedziałek rano.

– Na pewno w poniedziałek?

– Poniedziałek i czwartek były dniami gruntownego sprzą-tania *living-roomu* i zawsze wtedy podlewałam scindaptus. W kwaciarni przy kupnie powiedziano, żeby nie podlewać częściej niż dwa razy w tygodniu. Wybrałam więc do podlewania te dwa dni, bo kiedy indziej mogłabym o tym zapomnieć.

– To wszystko, czego chciałem się dowiedzieć, dziękuję, do wi-dzenia.

Wrócił do stolika i zaczął mechanicznie tasować karty. A więc hak podpiłowany był na tyle, by nie wytrzymać zwiększonego obciążenia, jakim musiało być podlanie rośliny...

Marcelle wróciła do pokoju i roboty na drutach. Po kilku minutach jednak nie wytrzymała:

– Co ty wyprawiasz z tymi kartami, jak długo masz je zamiar jeszcze tasować?

Ocknął się i odłożył karty.

– Masz rację, nie jestem dziś w formie. Najlepiej będzie, jak pójdę spać.

Pocałował żonę w policzek i przeszedł do sypialni.

Lemaitre jechał do kliniki doktora Roustaux, przeklinając dzień, w którym Rondonier wepchnął mu sprawę zabójstwa Adeliny Bossac. Dlaczego Pelade, właśnie Pelade? Człowiek o urzekającej osobowości, przyzwoity, co do tego nie miał wątpliwości, tyle lat pracy w P. J. wyrobiło w nim znajomość ludzi, której mógłby mu pozazdrościć psycholog. Teraz będzie musiał temu stojącemu nad grobem człowiekowi powiedzieć, iż odkrył w nim mordercę.

W antyseptycznym kitlu, który kazała mu na dole włożyć recepcjonistka, zastukał do pokoju nr 12. Thérèse Tressaille uprzedziła go, że Pelade bardzo źle wygląda, ale nie przypuszczał, iż choroba dokonała takiego spustoszenia.

Na widok Lemaitre'a uśmiechnął się, ale w tej wymizerowanej twarzy jego miły uśmiech był także cieniem dawnego.

– Szkoda, że tak późno pan do mnie przychodzi. W tym lokalu nie pozwalają pić nic innego poza lekarstwami i wodą mineralną. Przy szampanie mówiłoby mi się lepiej... Po pana bytności każdego dnia pana oczekiwałem, a pan nie przychodził... Któregoś wieczoru, kiedy się bardzo źle poczułem, pomyślałem, że mogę się nie doczekać i przysporzę panu niepotrzebnych kłopotów, mógłby pan to uznać za

złośliwość z mojej strony. Proszę odsunąć szufladę w stoliku, są tam moje dokumenty i koperta zaadresowana do pana, proszę ją wyjąć...

Lemaitre odszukał w szufladzie kopertę ze swoim nazwiskiem.

– Nie wiem, czy napisałem to zgodnie z wymaganiami śledztwa, ale zgodnie z prawdą, by nie było wątpliwości, że to ja pozbawiłem życia Adeline Bossac. Proszę przeczytać; jeśli uzna pan, że powinienem coś dodać...

– Na pewno nie trzeba nic dodać, nie będę teraz tego czytał. To, co się stało, to się stało, nie chcę byśmy o tym mówili. – Usiadł na krześle przy łóżku i nachylił się nad chorym. – Chcę, aby mi pan powiedział tylko jedno: dlaczego pan to zrobił?

– Naprawdę to pana interesuje?

– Nawet bardzo. I nie ciekawość mną powoduje...

– To miło z pana strony. Zresztą wydał mi się pan sympatyczny, gdy tylko pan przyszedł i zaczęliśmy rozmawiać. Chciałem jeszcze raz napić się z panem Veuve Cliquot... Gdyby nie to, wyjaśniłbym wszystko od razu, najlepiej mieć takie sprawy z głowy... – uśmiechnął się swym urzekającym, smutnym uśmiechem.

Weszła pielęgniarka, niosąc tackę ze strzykawką. Lemaitre wycofał się na korytarz. Gdy po dziesięciu minutach wrócił do pokoju, zastrzyk musiał już zacząć działać. Pelade jakby nieco lepiej wyglądał, prawie siedział wsparty o poduszki.

– Mam panu powiedzieć, dlaczego to zrobiłem... Boję się tylko, że moja opowieść będzie długa, a pan może nie ma czasu...

– Mam czas i nigdzie się nie spieszę.

– Muszę zacząć od bardzo zamierzczłych czasów, kiedy kończyłem studia. Kochałem dziewczynę, o której byłem pewny, że jest zrobiona z mojego zebra, tak jak Ewa była z Adamowego. Wszystko wskazywało, iż odwzajemnia moje uczucia. Na nieszczęście, jej ojciec był dyplomatą i wysłano go na placówkę do Stanów Zjednoczonych,

Sophie pojechała z rodzicami. Rozstanie traktowaliśmy jako chwilowe. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że po dyplomie, gdy otworzę własną pracownię i poproszę rodziców o jej rękę, zostanie moją żoną. Po jej wyjeździe pisywaliśmy, naturalnie, do siebie, choć potem zaprzątnięty po uszy pracą dyplomową nie miałem czasu na zbyt długie epistoły. Po pół roku listy Sophie stały się rzadsze, a wkrótce ustały zupełnie. Zaniepokojony wysłałem kilka kartek z pytaniem, dlaczego nie pisze, ale i na nie nie otrzymałem odpowiedzi. W końcu odwiedziłem którąś z jej dawnych koleżanek; powiedziała, że także nie ma od niej żadnych wiadomości, ale ktoś ze znajomych spotkał ją w Nowym Jorku na jakimś przyjęciu, gdzie była otoczona młodymi ludźmi, więc pewnie dobrze się bawi i nie ma czasu na pisanie.

– Pewna jednak jestem, że zawiadomienie o ślubie przyśle – zakończyła rozmowę o Sophie.

Wyszedłem ogłuszony i zdruzgotany. Niefrasobliwą wypowiedź uznałem za stwierdzony fakt, że Sophie wychodzi za mąż. Brak listów oznaczał zerwanie... Młodość jest chyba najtrudniejszym okresem życia, wszystko przeżywa się straszliwie mocno. Wydawało mi się, że utraty Sophie nie przeżyję, cierpiałem jak potępieniec. Dopiero po pewnym czasie odezwała się ambicja i zraniona miłość własna. Skoro ona tak, to ja też... tyle dziewczyn się w około kręciło nie wymagających nawet zachodu. Ożeniłem się z Adeliną Bossac, bo powiedziała, że jest w ciąży. Nie była, ale to nie ma znaczenia, myślę, że jeśli nie z nią, ożeniłbym się pewnie z inną. Przez cztery lata trwania tego małżeństwa nie byłem dobrym mężem, chociaż, jak to się mówi, zachowywałem się poprawnie. Któregoś dnia niespodziewanie spotkałem w Paryżu Sophie... Okazało się, że nie wyszła wtedy za mąż ani nie miała takiego zamiaru. Przestała pisywać, bo ktoś „życziwy” dla mnie doniósł, i to wtedy, gdy ja ślęczałem nad pracą dyplomową, że zacząłem z powodzeniem pocieszać się z innymi. Listowne pytania o przyczyny

jej milczenia jeszcze bardziej przekreślały wiarę w moją prostolinijność; gdybym się przyznał do flirtów, przebaczyłyby mi, okłamywania wybaczyc nie mogła.

To spotkanie zmieniło moje życie. Jeszcze tego samego dnia wieczorem poprosiłem Adeline o rozwód. Gdy spytała dlaczego, odpowiedziałem, że kocham inną kobietę. Może gdybym jej tego nie powiedział, trudności z rozwodem byłyby mniejsze, ale w końcu rozwód dostałem i pobraliśmy się z Sophie. Nieprawdą jest, że nie ma małżeństw tak zupełnie szczęśliwych, nasze było właśnie takie...

Pelade przerwał na parę minut, jakby zapomniał o obecności Lemaitre'a, nim zaczął znów mówić.

– Pracowałem bardzo dużo, miałem zamówienia z całej Francji, co oczywiście związane było z wyjazdami. Nie pamiętam dokładnie, kiedy się to zaczęło, w dwa czy trzy lata po ślubie Sophie zaczęła dostawać anonimy. Początkowo nie zawierały konkretnych insynuacji, lecz jakby ostrzeżenia. Radzono jej, by mi zbyt nie ufała, że jestem dwulicowy, potrafię prowadzić podwójne życie i tym podobne. Oczywiście, uznałem te anonimy za idiotyczne i początkowo oboje sobie z nich żartowaliśmy, ale kiedy zaczęły przychodzić następne powiadania, że mam kochankę, że moje wyjazdy z Paryża są przykrywką dla czułych *rendez-vous*, że trzeba być ślepą, by nie zauważyć, iż jest zdradzana, to zauważyłem, że Sophie już się z nich nie zaśmiewa. Gdy doszło do tego, że podczas każdej mojej nieobecności w Paryżu znajdowała w skrzynce nie list, który by można nie czytając podrzeć, ale kartkę zawierającą jedno, zawsze to samo zdanie: „znów jest z nią”, za którymś razem, pokazując mi ją po moim powrocie do domu, rozpłakała się.

Błagałem ją, żeby się tymi bzdurami nie przejmowała, że ktoś zrobił sobie z pisania tych anonimów ohydną zabawę, którą się znudzi, jeśli się przekona, że nie reagujemy na nie. Że jeśli tylko zechce, może

razem ze mną wyjeżdżać; dla mnie radością będzie świadomość, że jest blisko, że po dniu pracy w obcym mieście nie będę wracał do pustego hotelowego pokoju. Odpowiedziała, że nie może ze mną razem wyjeżdżać, bo by się wtedy mimo woli czuła, jakby mnie pilnowała, że jej miłość musi się opierać na zaufaniu.

Od tego dnia przed każdym wyjazdem poza Paryż prosiłem, by jechała ze mną. Nadaremnie. Za każdym razem wysuwała ten sam argument: brak zaufania zabiłby naszą miłość. Gdybym wiedział, do czego to może doprowadzić, zerwałbym wszystkie zawarte umowy wymagające wyjazdów. Ale mówiła przecież, że w dalszym ciągu mi wierzy, nie zdawałem sobie tylko sprawy, iż jest już na krawędzi...

Lemaitre obawiał się, że opowiadanie zbyt wyczerpie Pelade'a, mówił w ogromnym napięciu. Teraz na moment przerwał i poprosił o papierosa. Podając mu ogień, mimo woli zapytał:

– Nie zaszkodzi panu?

Chory zrobił tylko przeczący ruch głową. Zaciągnął się kilkakrotnie, jakby zbierał w ten sposób siły, widać było, że dalszy ciąg zwierzeń nie przychodzi mu łatwo. Wreszcie się przemógł:

– To był kwiecień. Wyjeżdżałem wyjątkowo na dłużej, wprawdzie do Lyonu, a stamtąd do Nicei, gdzie miałem uzgodnić z wykonawcą zamówiony u mnie projekt. Wróciłem po tygodniu. Ku memu zdziwieniu nie zastałem Sophie w domu, chociaż uprzedziłem ją o godzinie powrotu. Ledwo zdążyłem umyć ręce, zadzwonił telefon.

Pewien byłem, że to Sophie, ale usłyszałem męski głos pytający o mnie. Dzwonił policjant z dziesiątego komisariatu i zawiadamiał, że zapewne to moja żona uległa śmiertelnemu wypadkowi, nieostrożnie przechodziła jezdnię, odnaleźli mnie na podstawie adresu z koperty znalezionej w jej torebce i proszą, abym zidentyfikował ciało...

W torebce był ostatni anonim, informował, iż jeśli dotychczas nie

uwierzyła w moją zdradę, otrzyma niedługo fotografię mojej kochanki, a jeśli i to jej jeszcze nie przekona, dostanie także wyciąg z ksiąg hotelowych, które już nie pozostawią wątpliwości. Anonim przyszedł na dwa dni przed moim przyjazdem, przez te dwa dni musiała przeżywać piekło. Na godzinę przed zapowiedzianym powrotem wyszła z domu. Nie wiem, czy nie miała już odwagi czy siły na przeżycie sceny mojego powrotu, gdy wyobraziła sobie, że jak zwykle, wszedłszy do domu mówię, iż cieszę się, że nareszcie jestem, uśmiecham się do niej, całuję... Czy też potworny anonim dopełnił miary i przeraziła się, że już nie będzie mogła mieć do mnie zaufania, że zabił jej miłość? Nie wiem i nigdy się nie dowiem. I nie wiem, czy był to wypadek...

Świadomość, iż odeszła, myśląc, że ją zawiodłem, była nie do zniesienia, wydawało mi się, że dojdę do obłędu i byłem chyba tego bliski. Niedługo potem umarł nagle mój ojciec i trzeba było zająć się matką, zmusiło mnie to do życia.

Sięgnął po następnego papierosa i Lemaitre tym razem podał mu ogień bez słowa.

– Obudziło się też we mnie pragnienie: rozpoznać osobę, która pisała do Sophie anonimy. Na wszelkie sposoby starałem się dotrzeć do wieści i plotek, które mogły krążyć o mnie wśród znajomych, co pozwoliłoby mi wpaść na jakiś trop. Bezskutecznie. Wszelkie plotki, jakich zdołałem się o sobie dowiedzieć, nie dotyczyły kontaktów z kobietami. Kiedyś, chyba po dziesięciu latach od śmierci Sophie, podczas obiadu u znajomych toczyła się rozmowa na temat wierności, okraszona, jak zwykle przy takim temacie, dowcipami. Wychodziłem potem z tego domu razem ze starym przyjacielem. Gdy tak szliśmy, omawiając miniony wieczór, powiedział:

– A wiesz stary, że swego czasu nawet o tobie ktoś puścił plotkę, że nie jesteś wierny Sophie.

Stanąłem, jak wryty. – Kto to był?



Roześmiał się.

- Człowieku, skąd mogę wiedzieć.
- Od kogo to usłyszałeś?
- Nie pamiętam, po tylu latach...

Podszedłem blisko i niemal złapałem go za kołnierz.

- Dlaczego wtedy mi o tym nie powiedziałeś?!
- Nigdy nie powtarzam plotek, tym bardziej, jak mógłbym ci potwórzyć taką bzdurę, przecież wiedziałem, jak wygląda wasze małżeństwo.

Od tego dnia straciłem już całkowicie nadzieję, że odnajdę nadawcę anonimów.

Trzy lata temu, zimą, wracałem w niedzielę rano z podparyskiej miejscowości, gdzie u znajomych spędziłem sobotę. W pociągu było pusto, w moim przedziale jechała tylko jedna pasażerka. Siedziałem przy oknie na przeciwko niej i niejako siłą rzeczy musieliśmy na siebie spoglądać. Miała około pięćdziesięciu lat, mocno tlenione włosy, a jej ubranie nosiło wszelkie znamiona taniej elegancji. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że twarz tej kobiety kogoś mi przypomina, lecz nie mogłem sobie przypomnieć kogo. Również sposób, w jaki ona mi się przyglądała, świadczył, iż i moja osoba musi się jej z czymś kojarzyć. W pewnym momencie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Kto by pomyślał, że znów się spotkamy w podróży...

A więc musiałem ją spotkać podczas moich wyjazdów związanych z pracą.

- Mnie też się wydawało, że panią znam – powiedziałem – ale nie mogę sobie przypomnieć okoliczności...

– Cieszę się, że jeszcze po tylu latach rozpoznał pan mnie. Przypomnę: mijaliśmy się na korytarzach hoteli, kiedyś nawet przyszedłem do pana pokoju pożyczyć zapalki...

Z trudem sobie przypominałem. Rzeczywiście, zdarzało mi się spotkać w hotelach różnych miast młodą blondynkę, zapewne jeżdżącą

w interesach firmy, w której pracowała.

– Dziękuję za przypomnienie. Pani praca wymagała wyjazdów, jak i moja. Przypomniałem teraz sobie, że nawet śmiesznym zbiegiem okoliczności parokrotnie nasze pokoje sąsiadowały ze sobą.

Siedząca na przeciwko kobieta roześmiała się, pokazując złote koronki zębów.

– To nie był wcale zbieg okoliczności.

– Nie rozumiem... – odparłem zdziwiony.

– Tyle wody upłynęło od tego czasu w Garonne, że mogę panu powiedzieć. To pani Bossac zlecała mi jeździć tam, gdzie i pan, żeby było wiadomo, że zatrzymujemy się w tych samych hotelach i bierzemy sąsiednie pokoje.

A więc to ona była tą kobietą, o której donosiły Sophie anonimy! Byłem tak wstrząśnięty, że odruchowo wykrzyknąłem:

– Dlaczego pani się na to godziła?!

Teraz z kolei zdziwiła się ona:

– Przecież pani Bossac płaciła mi za to, i to dobrze. W dodatku nie był to ciężki zarobek. Nic ponadto nie musiałam robić, nie pchałam się przecież panu do łóżka, czyż nie?

To mi przypomniało scenę z zapalkami, o której wspomniała. Zapukała do mojego pokoju wieczorem, weszła i poprosiła o pożyczenie zapalek. Podałem jej pudełko, podziękowała i wyszła. W jej zachowaniu nie było najmniejszej prowokacji wiadomego rodzaju.

– Ale wtedy, kiedy przyszła pani pożyczyć zapalki, rzeczywiście ich pani zabrakło? – zapytałem.

– Och, ten jeden raz musiałam się nagłowić. Pewnie już pan nie pamięta, że wtedy w Amiens zatrzymał się w hotelu także jakiś pana znajomy i miał pokój na tym samym piętrze. Dałam więc w łapę boyowi, żeby dał mi znać, jak ten pan będzie wieczorem płacić rachunek w restauracji na dole. Wycelowałam tak, żeby mnie zobaczył wychodzącą z pana pokoju. Pani Bossac okropnie się z tego uśmieła i zapłaciła

mi dodatkowo.

Nie miałem już siły, by zapytać, czy ten numer był z jej inwencji, czy zaplanowała go Adelina. Nietrudno mi było sobie wyobrazić, jak kładła tej dziewczynie do głowy sposoby, którymi mogłaby mnie bez mojej wiedzy skompromitować... Na perfidii nigdy jej nie zbywało... Nie dojechałem tym pociągiem do Paryża, na następnej stacji wysiadłem.

Parę dni później zobaczyłem Adeline przypadkiem w teatrze. W pierwszej chwili musiałem się opanować, aby nie wstać i nie zadusić jej natychmiast własnymi rękami. Było przecież koło nas tyle ludzi, że na pewno by mnie od niej odciągnęli, w konsekwencji żyłaby dalej, a ja za usiłowanie morderstwa siedziałbym w więzieniu bez jakiegokolwiek możliwości uśmiercenia jej.

Od tego dnia pragnienie pomszczenia Sophie nie opuszczało mnie. Żeby pan wiedział, ile sposobów zgładzenia Adeliny przeszło mi przez głowę, ale, niestety, żaden z nich nie wydawał mi się w stu procentach pewny. Niby przypadkiem nawiązałem kontakt z Thérèse Tressaille, od czasu rozwodu nie podtrzymywałem wspólnych znajomości. Poświęciłem parę dni, przesiadując przy oknie w kawiarni vis-à-vis jej domu, by poznać pory, w których wychodzi. Potem kilka razy szedłem za nią, nim wreszcie zaaranżowałem niespodziewane spotkanie. Zacząłem u niej bywać, licząc, że za jej nieświadomym pośrednictwem znajdę wreszcie okazję, na jaką czekałem. Potem zresztą szczerze się z Thérèse zaprzyjaźniłem. Taką okazją stał się wtorkowy brydż, poznałem zwyczaj Adeliny siadania na berzerce, nad którą wisiała kamienna amfora przywieziona kiedyś przeze mnie z jakiejś zagranicznej podróży. Rok czekałem na zrealizowanie sposobu, który wydał mi się najpewniejszy ze wszystkich możliwych...

Pelade umilkł. Widać było, że jest krańcowo wyczerpany, na pergaminowej twarzy pojawiły się gorączkowe wypieki. Z trudem odwrócił

głowę w stronę Lemaitre'a i poszukał spojrzeniem jego oczu.

– Proszę mi teraz powiedzieć: Potępia mnie pan?

Lemaitre wstrzymał na moment oddech, potem spokojnym, pewnym głosem rzekł:

– Nie.

Wychudła twarz Pelade'a odprężyla się, jakby straciła wyraz cierpienia. Przymknął oczy.

Chyba taki wyraz ma wierzący grzesznik, któremu kapłan udzielił rozgrzeszenia – pomyślał Lemaitre.

Nachylił się nad chorym.

– Przepraszam, zmęczyłem pana... Już pójdę. – Chciał jeszcze dodać, że przyjdzie go odwiedzić, ale nic nie powiedział.

Wyszedł na palcach z pokoju.

\*

Sobotnia pogoda w Paryżu mogła przyczynić się do frekwencji w głosowaniu do Zgromadzenia Narodowego.

Było ciepło, lecz mglisto i deszcz wisiał w powietrzu, wyjazd z miasta groził zmoknięciem.

Kiedy po *déjeuner* Lemaitre zakomunikował Marcelle, że wychodzi, spytała, czy idzie głosować. Odpowiedział, że jego głos nie ma znaczenia, musi natomiast coś załatwić na mieście.

Jazda do Passy trwała dość długo, ruch samochodowy był większy niż zazwyczaj w soboty.

W pokoju nr 12 nie zastał nikogo. Zaczepił na korytarzu pielęgniarkę i spytał o Gastona Pelade'a. Poprowadziła go do jakichś drzwi i kazała poczekać. Za chwilę wyszedł do niego rostrym mężczyzna w płóciennym lekarskim kitlu.

– Pan chciał zasięgnąć informacji o zdrowiu pana Pelade'a? Jest pan jego krewnym? O ile pamiętam, mówił, że nie ma rodziny.

– Zgadza się, pan Pelade nie ma już krewnych.  
– Rozumiem więc, że jest pan dla niego kimś bliskim.  
– Tak. W jakim jest teraz stanie?  
– Nie mogę panu powiedzieć nic pocieszającego. Zrobiliśmy, co do nas należało, to znaczy otworzyliśmy jamę brzuszną, ale przerzuty okazały się tak duże, że...

– Że zaszyli panowie z powrotem?  
– Odsunęliśmy tylko część narośli z aorty brzusznej. To stadium jest już nieoperacyjne. Na podstawie badań rentgenowskich mieliśmy jeszcze nadzieję, że może da się coś zrobić, ale w przypadku raka jamy brzusznej wiadomo, co tam jest, dopiero po otwarciu.

– Jest przytomny?  
– Nie, i to lepiej dla niego. Stan jest krytyczny.  
– Bez szans?  
– Bez.  
– Jak długo to może potrwać?  
– Nigdy nie można przewidzieć, ale raczej bardzo krótko.  
– Kwestia godzin?  
– Godzin, a może minut.  
– Czy mogę do niego pójść?  
– Raczej nie, jest w pokoju intensywnej terapii, podłączony do aparatury.

Lemaitre zawahał się, nim zapytał:

– Czy mógłbym prosić, aby mnie zawiadomiono, gdy... – urwał.  
– Ależ oczywiście, proszę zostawić telefon w pokoju pielęgniarek.

Ze szpitala zatelefonowano o piątej po południu. Zaraz potem zadzwonił do Thérèse Tressaille. Usłyszawszy o śmierci Pelade'a, rozpłakała się i za ten płacz Lemaitre był jej wdzięczny. On sam musiał przecież uznać, że dla Gastona Pelade'a śmierć była najlepszym rozwiązaniem.

Wyniki głosowania zaskoczyły wiele osób. Wbrew większości prognoz rządząca partia przegrała, i to dość znaczną różnicą głosów. Oczekiwano teraz na uformowanie nowego gabinetu.

W połowie tygodnia Lemaitre zatelefonował do Debranche'a, że chciałby się z nim zobaczyć. Bratanek Adeliny Bossac poprosił go, by przyszedł nazajutrz do nich do domu.

Ku zdziwieniu Lemaitre'a przyjęli go w salonie oboje państwo Debranche. Witając się z nią, przypomniał sobie, choć było to już nieaktualne, że jednak spisu zabranej z Neuilly biżuterii mu nie dostarczyła. Denise Débranche podała mu rękę z uśmiechem, z jakim wypada witać gości. Z dywanu podniósł się duży seter i przyjaźnie go obwąchał.

Thérèse Tressaille się myliła, mają jednak psa – pomyślał.

Debranche przywitał się z nim kordialnie.

Pokojówka przyniosła herbatę. Przez piętnaście minut rozmowa dotyczyła pogody, nie wyłączając jej prognoz na lato, i Lemaitre zastanawiał się, jak przejść do właściwego tematu.

– Nie chciałbym państwu zabierać za dużo czasu... – wtrącił, gdy wydało mu się, że temat pogody został już dokładnie omówiony.

– No, przynajmniej tym razem możemy rozmawiać bez pośpiechu – stwierdził Debranche. – Wie pan, szczerze mówiąc, zadowolony jestem z wyników tych wyborów, nareszcie będę mógł trochę pożyć, jak normalny człowiek.

– Prawie nikt się takiego obrotu sprawy nie spodziewał – zauważył uprzejmie Lemaitre.

– Ten dureń Breçon w niesłychany sposób podbijał bębenka małym sklepikarzom i tym podobnym, dlatego im się udało...

Lemaitre rzucił dyskretne spojrzenie na panią Debranche. Upozowana z wdziękiem w fotelu głaskała psa, który oparł łeb na jej kolanach.

– Ale pewien jestem – mówił dalej Debranche – że w krótkim czasie się przewrócą. Szermowali hasłami, na których się potkną. I wszyscy ci, którzy na nich teraz głosowali, pierwsi będą mieli ich dość...

Lemaitre z uprzejmym wyrazem twarzy bąknął coś, co nic nie znaczyło. Pani Debranche odsunęła psa i wstała z fotela.

– Przepraszam, ale muszę omówić z kucharką jutrzejszy obiad. Jutro są urodziny męża i przyjdzie sporo osób... – ze zdawkowym uśmiechem skinęła na pożegnanie głową.

– Przyszedłem powiedzieć, że dochodzenie w sprawie zabójstwa pani Adeliny Bossac zostało zakończone – zwrócił się do Debranche'a po jej wyjściu.

– Ach, tak? To dobrze...

– Zabójca niedawno...

– Więc rzeczywiście było to zabójstwo? – przerwał mu Debranche – Byłem pewny, że przeciwnicy polityczni, chcąc mi dokuczyć próbowali podsunąć policji jakieś insynuacje...

– Niestety, nie. Hak, na którym wisiał wspornik utrzymujący wagę, rzeczywiście został podpiłowany.

– Któż mógłby chcieć pozbawić ją życia? Z jakich powodów?

Lemaitre pomyślał o kwietniowych gościach Adeliny Bossac, którym jej śmierć była na rękę.

– Człowiek, który to zrobił, już nie żyje.

– I któż to był?

Jakże chętnie nie wymieniałby tego nazwiska!...

– Pan Pelade.

Debranche niemal podskoczył w fotelu.

– Pelade! Ten słabowity, stary Pelade? – przez chwilę siedział ze zmarszczonymi brwiami, po czym, jakby przeszedł nad tym do porządku dziennego, dodał już normalnym tonem:

– No tak... chciał się widać zemścić za to, że swego czasu ciocia Adelina miała go dość...

– Nie był to ten powód – odparł z naciskiem Lemaitre – ale skoro pan Pelade już nie żyje, nie zachodzi chyba potrzeba roztrząsania motywów, dla których to zrobił. Przyszedłem też powiedzieć, że z racji zamknięcia dochodzenia może pan już zacząć przeprowadzać postępowanie spadkowe. Utrzymanie willi w Neuilly obciąża masę spadkową.

– Ma pan rację, trzeba będzie komuś zlecić, by zajął się jej sprzedażą. Nie chciałbym tam mieszkać, za dalekie dojazdy. Nie lubię zresztą Neuilly.

– Mnie natomiast bardzo się Neuilly podoba i jadąc po raz pierwszy do domu pani Bossac, pomyślałem sobie, że chętnie bym w tej dzielnicy zamieszkał – przyznał się Lemaitre, podnosząc się z fotela.

– Może pan to przecież zrealizować – z dobrodusznym uśmiechem zauważył Debranche.

– Niestety, nie stać mnie na dom w Neuilly – również się uśmiechnął – musiałbym na to żyć trzy razy i każde życie przepracować z pensją nie mniejszą niż mam obecnie...

Ale – pomyślał – wystarczyłoby raz się urodzić jako syn bankiera – ale tego już nie powiedział.

Debranche zrobił dość głupią minę, którą zatuszował ponownym uśmiechem.

– Każdy chciałby żyć trzy razy, toby było niezłe... Chociaż wszyscy narzekają, że im źle, każdy chętnie pożyłby sobie parokrotnie. Powinien pan ten pomysł podsunąć panu Bogu, może zechce go zrealizować. – Uśmiechnął się szeroko, wyciągając rękę na pożegnanie.



Wychodząc z pokoju, Lemaitre powstrzymał chęć obejrzenia się, ale i tak był pewien, że kordialny uśmiech zastąpił grymas niezadowolenia.

\*

Nazajutrz z samego rana zameldował się u dyrektora Rondoniera.

– Dochodzenie w sprawie Adeliny Bossac skończone – powiedział kładąc na biurku przed szefem plastikową teczkę... – Może pan będzie chciał przejrzeć te akta. Zabójstwa dokonał...

Rondonier przerwał mu zniecierpliwionym ruchem ręki:

– Przy okazji mi pan to zreferuje, ważne, że zamknął pan sprawę, diablo długo się to dochodzenie ciągnęło.

Teraz mu za długo, bo już się nie boi, że mordercą okaże się minister, jeden z filarów rządzącej partii... – pomyślał z wściekłością Lemaitre.

– Skoro więc ujął pan wreszcie mordercę – Rondonier odsunął teczkę w stronę Lemaitre'a – niech pan to zabiera i przekaże zaraz sędziemu Prudent.

– Przed oddaniem akt muszę jeszcze przygotować końcowy wniosek, ponieważ...

– Jeśli ma pan jeszcze przy tym coś do roboty – wtrącił natychmiast Rondonier – niech pan postara się zrobić to jak najszybciej. Chyba pan nie chce, by Prudent miał do pana pracy jakieś zastrzeżenia...

Bez słowa zabrał z biurka położone tam przed chwilą akta i spojrzał na szefa. Rondonier z zaferowaną miną podnosił już słuchawkę i zlecał sekretarce, aby go połączyła z..

W tym momencie Lemaitre głośno zamknął za sobą drzwi.